

Wychowankowie Internetu
uciekają z Polski → 6

Marcin Jakubowski zdobywa
naukowego Oscara → 56

Jan „Ptaszyn” Wróblewski
– gigant polskiego jazzu → 38

PRZE KROJ

47 (3514), 19 listopada 2012, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl



Powroty z piekła → 24

KS
424

ISSN 0033-2488

47 >

eksport
negocjacje waluta e-biznes technika
gospodarka zysk badania finanse
polityka efektywność
doradztwo
Bloomberg Businessweek
popyt
zarządzanie rozwój
import jakoś biuro globalne interesy
cena inwestycje outsourcing leasing
oszczędności technologie startup
doświadczenie

NAJWIĘKSZY NEWSROOM ekonomiczno-biznesowy

Teraz w nowej odsłonie, współtworzony z dziennikarzami
„Rzeczpospolitej”, „Parkietu”, ekonomia24.pl

PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

... o tym, czy
prof. Zbigniew Brzeziński
jest Polakiem. A tym bardziej
o tym, dlaczego prof. Brze-
ziński Polakiem nie jest.

... o tym, że Maciej Stuhr,
który zagrał ważną rolę
w „Poklesiu” Władysława Pasi-
kowskiego, przestał być uważany
za Polaka, „bo zdradził”.
Dziś niektórzy „dziennikarze”
szukają aktu chrztu Stuhra,
a my się za nich wstydzimy.

... o tym, że Artur Zawisza
nie wie, że Maria Konopnicka
była lesbijką. My nie wierzymy,
że Artur Zawisza był posłem.

... o tym, że niektóre stany
USA, na przykład Teksas albo
Luizjana, mogłyby odłączyć się
od federacji, gdyż ich mieszkań-
cy nie są zadowoleni z reelekcji
Baracka Obamy. Bo to zjed-
noczone stany desperacji.

... o tym, że na okładce
„Kurierza Związkowego”, wy-
danego przez Sierpień '80,
pojawiał się Adolf Hitler otoczony
wianuszkami dzieci. „Jego
państwo” – krzyczy tytuł. Uza-
sadniać raczej nie musimy.

... o tym, że wojna pol-
sko-polska przeniosła się
do Stowarzyszenia Dziennikarzy
Polskich. Czym miała się zajmo-
wać ta organizacja? Z pewnością
nie miała się mieszać do polityki.

NA POCZĄTEK



ZUZANNA ZIOMECKA

Mrozi mnie nasza niepodległość wi-
dziana przez oczodoły kominiarek.
Zamiast rozwijać pomysły na to, jak
zwierać szyki, by stawiać skutecz-
niejszy opór trudnej sytuacji gospo-
darczej, dzielimy się na frakcje i szu-
kamy wrogów w sąsiedztwie. Faktycznie, gospodarce nie
da się połamać żeber i podpalić domu. Za to squattersom
owszem, co z pewnością poprawi życie wszystkim wojow-
nikom lepszego jutra, którzy na nich napadli we Wrocławiu,
w ramach afterparty po obchodach niepodległościowych
(s. 14). Pomocne w zabezpieczeniu naszych miejsc
pracy, zdrowia i wykształcenia jest również dokopywanie
kolegom po fachu, ściganie innowierców, homoseksuali-
stów i wszystkich niepopierających jedynej słusznej teo-
rii o końcu świata. Problem ze świętem 11 listopada polega
między innymi na formie. Paradowanie po ulicach w towa-
rzystwie policji wygląda jak demonstracja siły czy akt stłu-
mionej groźby. Nic dziwnego, że w czasach wzmożonego
niepokoju ta groźba zamienia się w czyn. Co innego, gdy-
byśmy masowo na ulicach tańczyli mazurka lub zalewali
się młodym winem. Szkoda, że nie jemy wielkiego pieczo-
nego indyka w towarzystwie przyjaciół, jak w ten czwartek
zrobią Amerykanie (s. 78). Po takiej uczcie jedyne, co mie-
libyśmy ochotę zrobić sąsiadowi, to zaprosić go na deser.



MARCIN PROKOP

Idole mają naprawdę przerabane.
Wiadomo, że wcześniej czy później
muszą spaść z cokołu, na którym się
znaleźli. Taki jest mechanizm wy-
pracowany przez nasz uroczy ga-
tunek kilkadziesiąt wieków temu.
Najpierw lud wynosi bożka, pada przed nim na kolana,
a potem ten sam demos z lubością się go pozbywa. Prze-
cież już Aztekowie wybierali spośród siebie najpiękniej-
szego młodzieńca, czcili go przez kilka miesięcy, by osta-
tecznie rytualnie pozabawić go serca. Dosłownie. Od tamtej
pory zmieniło się naprawdę niewiele. Przede wszystkim
metody, które stały się bardziej wyrafinowane. Dzisiejsze
media oraz ich odbiorcy do spółki tworzą najpierw gwiaz-
dorów, celebrytów, autorytety i pseudoautorytety, bruku-
jąc im drogę do chwały. Potem jednak bezlitośnie wyko-
rzystują ich potknięcia, by móc zapełnić czołówki gazet
i żółte paski newsowych programów relacjami ze spek-
takularnych upadków, ku ucieście wiwatującego tłumu.
Piesiewicz, Marczuk-Pazura, Kammel, Figurski, Miller...
To tylko fragment listy tych, którzy zaliczyli rollercoaster
miłości/nienawiści. Parafrazując jednak tego ostatniego
– charakter idola poznaje się nie wtedy, gdy błyszczy, tylko
wówczas, gdy po takiej przejażdżce jest w stanie ponow-
nie wrócić na szczyt (s. 24).

RACZKOWSKI

CZY PO TO RAZEM WALCZYLIŚMY O WOLNOŚĆ,
ŻEBY SIĘ TERAZ POZERAĆ NA WZAJEM?



AKTUALNOŚCI

- 6 → **TEMAT TYGODNIA** Zmierzch ery pracoholików Joanna Ćwiek
rozmawia z prof. Januszem Czapieńskim
- 10 → **ŚWIAT** Co dalej, Hillary? Monika Libicka
- 12 → **AKTUALNOŚCI** Europa protestuje. Wenecja pod wodą
- 18 → **EWOLUCJE** Morze różnie od Północy Wojciech Mikołuszko

GRUBE SPRAWY

- 24 → **OBYCZAJE** Powstali z popiołów Maciej Andrzej Leszczyński
- 30 → **RELIGIE** Żydówka z wyboru Anna Polat opowiada o swojej konwersji na judaizm reformowany
- 34 → **ODKRYCIA** Niezastąpiona depresja O kreatywności nadwrażliwców pisze Tomasz Borejza
- 38 → **WYWIAD** Na eksperymenty już nie ma czasu Z Janem „Ptaszynem” Wróblewskim rozmawia Monika Brzywczy

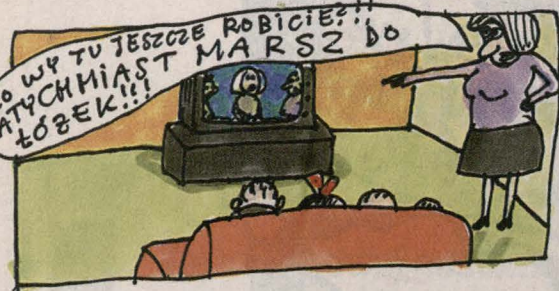


- 44 → **SUBKULTURY** Inwazja zakreślonych przebiegaczy Dominika Węclawek

ZAWODÓWKA

- 48 → **COACHING** Dziesięć e-przykazań. Jak budować wizerunek w sieci – radzi Anna Przybył
- 51 → **WARSZTAT MISTRZA** Dyrektor grupy specjalnej Michał Maltan sprawdza, kto rządzi polskim Grouponem

RACZKOWSKI



MONIKA KMITA

- 52 → **RETRO/FUTURO** Krawiectwo miarowe i pasowane Kurs kroju i szycia według Marty Mach i Agaty Napiórskiej
- 56 → **INNOWATOR** Geniusz z domku na prerii Za co Marcin Jakubowski dostał naukowego Oscara – wyjaśnia Michał Maltan
- 58 → **PLAN B** Italia zaprasza obrotnych Marianna Saska
- 60 → **FUNDUSZE UE** Mikropożyczki Anna Wróblewska-Cieślak

KULTURA

- 62 → **OPERA** Ugór w operze Ambicje władarzy Białegostoku ocenia Mike Urbaniak
- 70 → **KINO** Myśleć Tarkowskim Z Wadimem Jusowem, gościem specjalnym festiwalu Plus Camerimage, rozmawia Paweł T. Felis
- 76 → **LITERATURA** Cierpiący złodziej książek Cezary Polak o „Zakochanym jeńcu” Jeana Geneta
- 74 → **MUZYKA** Cukiereczki dla roztańczonych punków Z gitarzystą zespołu Gossip, Nathanem Howdeshellem, rozmawia Jan Mirosław

ROZMAITOŚCI

- 78 → **KUCHNIA** Nadzieniem człowiek żyje Co można faszerować – wyjaśnia Kamil Antosiewicz
- 80 → **WINO** Święto nieświęto To czas Beaujolais Nouveau, – przypomina Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 15 → **SZCZEPAN TWARDOCH GOŚCINNIE** Pisarz osiadły
- 17 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Podatek jego imienia
- 37 → **TYMON TYMAŃSKI** Wysokie progi na ringu
- 68 → **MACIEJ NOWAK:** Stara krew

PRZE
KROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00
www.przekroj.pl, e-mail:
doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydewska
Monika Brzywczy
(Redaktor działu Kultura)
Redaktor działu Zawodówka:
Grażyna Raszkońska
Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka
Współpracownicy:

Wojciech Bońkowski, Kuba
Dąbrowski, Mateusz Ferenholz,
Paweł T. Felis, Karolina Kotowska,
Aga Kozak, Monika Libicka,
Angelika Kucińska, Marja Mach,
Monika Maciejewska, Michał
Maltan, Wojciech Mikołuszko,
Agata Napiórska, Agata Nowicka,
Grzegorz Piątek, Cezary Polak,
Anna Przybył, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szablowski, Mike Urbaniak

Projekt graficzny: Magdalena Piwora
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotodyscja: foto@przekroj.pl,
Karolina Sekuła, Katarzyna Serek

Obróbka zdjęć: Bogumiła
Kreczmańska, Bartosz Wójcik,
Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszutek

Korekta: Ling Brett

Strona internetowa: KRMedia.pl
Wydawca: Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Agnieszka Gajzler – Dyrektor
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro reklamy:
Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
faks: 22 621 46 58, 22 675 61 57
Dyrektor działu agencyjnego:
Filip Weichert – 22 463 01 88
(reklamainfo@presspublica.pl)



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

Prenumerata redakcyjna
Cena prenumeraty 2012 r.:
roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł
kwartalna: 41,60 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać: e-mailem: prenumerata@
przekroj.pl lub faxem: 22 521 22 61.

Dodatkowe informacje
pod nr. tel. 800 120 195
Prenumerata kolporterska
oddziały Ruch SA, 22 693 72 27,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata e-wydania www.egazety.pl
Prenumerata zagraniczna Ruch SA
www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75,
22 693 67 43

Dostęp na stronie WWW i wersji na IPADA
Prenumerata redakcyjna
Cena abonamentu na IPada
i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł,
kwartalny – 30,75 zł;
roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł.
Do wykupienia na www.przekroj.pl
oraz w App Store.
Informacje: wsparcie@przekroj.pl

Ilustracja na okładce:
Patrik Mogilnicki
www.patrikmogilnicki.com

PRZEKROJ numer 47

PRENUMERATA 2013

Zamów pakiet optymalny dla Ciebie!

do prenumeraty papierowej
wersja elektroniczna
GRATIS!



Oszczędź do 20%
kupując wersję elektroniczną

PAKIET PODSTAWOWY

- „Rzeczpospolita” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Sukces” – e-wydanie
- „Newsletter Księgowego”
- „Newsletter Kadrowego”
- „Newsletter Orzecznictwo”
- Dostęp do serwisów: rp.pl, rp.pl/prawo, Ekonomia24
- E-learning – szkolenia on-line



dynamiczny rozwój

PAKIET PLUS

- „Rzeczpospolita” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Sukces” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Przekrój” – e-wydanie
- „Ekspert Księgowego”
- Vademecum „Kadry i płace w firmie”
- „Newsletter Księgowego”
- „Newsletter Kadrowego”
- „Newsletter Orzecznictwo”
- Orzecznictwo NSA i SN – dwa roczniki
- „Podsumowanie prawne miesiąca” – e-book
- Baza aktów prawnych
- Dostęp do serwisów: rp.pl, rp.pl/prawo, Ekonomia24



mocne podstawy

PAKIET PROFESJONALISTA

- „Rzeczpospolita” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Parkiet” – e-wydanie
- „Sukces” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Uważam Rze”, „Uważam Rze Historia” – e-wydanie
- „Przekrój” – e-wydanie
- „Ekspert Księgowego”
- Vademecum „Kadry i płace w firmie”
- „Newsletter Księgowego”
- „Newsletter Kadrowego”
- „Newsletter Orzecznictwo”
- Orzecznictwo NSA i SN – dwa roczniki
- „Podsumowanie prawne miesiąca” – e-book
- Baza aktów prawnych
- Dostęp do serwisów: rp.pl, rp.pl/prawo, Ekonomia24



profesjonalizm w biznesie

Zadzwoń pod 800 120 195 lub wejdź na www.rp.pl/prenumerata

Pobudzamy myślenie



RZECZPOSPOLITA



ROZMAWIA JOANNA ĆWIEK

Zmierzch ery pracoholików

Dwudziestolatkowie nie żyją po to, żeby się napracować, zarobić, napłodzić dzieci, najeść się, zachorować, przeżegnać i umrzeć – a tak postrzegają harujących w korporacjach 30- i 40-latków. Według **psychologa społecznego prof. Janusza Czapińskiego** wychowane przez Internet tzw. pokolenie Y chce żyć przyjemnie.

Lekarze alarmują, że 30- i 40-latkowie mają coraz większe problemy ze zdrowiem. Skarżą się na depresję, problemy gastryczne, choroby serca i alergie. Co robią źle?

Dali się zapędzić do niewolniczej pracy i powoli zaczynają się pojawiać tego konsekwencje. Co prawda po trzydziestce są to na razie jednostki. Poważne problemy pojawiają się dopiero bliżej czterdziestki.

Jak to się stało, że pokolenie 30- i 40-latków godzi się na pracę w tak morderczym rytmie? Zależy im na awansie? Chcą wywołać zazdrość sąsiadów? Czy może pamiętając swoje dzieciństwo w szarym PRL, chcą kupić sobie zabawki, których wtedy nie mieli – samochód, dom... A wszystko to na kredyt?

Do niedawna praca w korporacjach była bardzo modna. Ludzie o nią zabiegali, bo oznaczała nie tylko duże pieniądze, ale także wygodne życie i ściśle określone ścieżki kariery. Taka praca była pewna. Kto tam trafił, miał gwarancję zatrudnienia. Wtedy łatwo było zaciągnąć kredyt. Zresztą same banki ich do tego namawiały. Nikt nie spodziewał się, że przyjdzie taki kryzys. Ale przyszedł. Stracili pracę, mają kłopoty ze znalezieniem kolejnej, banki domagają się zwrotu pożyczki, a ludzie żyją w ciągłym stresie.

Czy 20-latkowie patrząc na swoich rodziców i na starszych kolegów, chcą żyć lepiej? Zdrowiej?

Może to zaskakujące, ale młodzi 20-letni żyją dziś zupełnie inaczej niż ich rodzice. Widzą, co się dzieje ze starszym pokoleniem, i to utwierdza ich w przekonaniu, że żyć należy inaczej. Oni już wiedzą, że nie można spędzać całego dnia w nudnej pracy, bo to właśnie kończy się wypaleniem zawodowym, kłopotami i ciągłymi wizytami u lekarzy. Patrzą na nich i nie mogą uwierzyć, że oni sami, z własnej woli zamknęli się w domu i w pracy jak w twierdzy. Nie obejrze-li świata, smaków nie poznali... Znają smak sushi? Nie zna-

ją przecież... Dwudziestolatki zamiast biegać po szpitalach, wolą żyć przyjemnie. To pokolenie hedonistów – zgadzają się robić tylko to, co daje im zadowolenie.

I jak planują życie?

Oni chcą żyć kolorowo. Oczywiście rzucą palenie, które najczęściej i najmocniej odbija się na zdrowiu, ale od innych używek nie stronią. W tym pokoleniu jest dwa razy więcej alkoholiczków niż w pokoleniu ich rodziców. Lubią pić, bo wtedy lepiej się bawią. Nieobce są im też narkotyki – liczba osób z nich korzystających wzrosła w ostatnich latach aż czterokrotnie. Wśród młodzieży królują amfetamina i marihuana. Czasami wpadają z tego powodu w silne uzależnienie.

Ale uzależnienie od pracy już im chyba nie grozi. To nie jest pokolenie pracoholików. W przeciwieństwie do 30-latków i 40-latków nie wezmą udziału w wyścigu szczurów, nie będą siedzieli w pracy po godzinach. Kiedyś jeden z rekruterów opowiadał mi o chłopaku, który nie chciał podjąć proponowanej pracy, bo nie mógłby wtedy latać na parolotni. A to była jego pasja.

Dwudziestolatkowie to nie są osoby, które wyrabiają nadgodziny i tłuką kasę. Oni są zadaniowi. Czas dzielą sprawiedliwie między poszczególne aspekty życia i z niczego nie rezygnują. Jest robota, ale potem są też pub, spotkanie towarzyskie, spotkanie internetowe w portalu społecznościowym, atrakcyjna wycieczka. Nie żyją po to, żeby się nahałować, zarobić, napłodzić dzieci, najeść się, przeżegnać i umrzeć.

Nie zależy im na pieniądzu?

Liczą się z pieniędzmi, ale zdecydowanie większy sens widzą w samej pracy. Szmal ma dla nich drugorzędne znaczenie. Natomiast praca ma być wyzwaniem, a nie obowiązkiem. Spędzania wielu nudnych godzin. Jeśli mieliby tylko odbyć osiem godzin, to rezygnują z podjęcia takiej pracy.



GRZEGORZ KOZAKIEWICZ/FORUM

JANUSZ CZAPIŃSKI

Psycholog społeczny, profesor i wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, wieloletni kierownik badań panelowych „Diagnoza społeczna”, analizujących warunki i jakość życia Polaków.

A potem narzekają, że są bez pracy albo pracują na tzw. umowach śmieciowych. Doradcy zawodowi często opowiadają, że gdy szukają pracowników, to chętnych zazwyczaj brak.

Bardzo często zwracają się do mnie wysokiego szczebla menedżerowie i proszą, abym pomógł im znaleźć kontakt z najmłodszymi pracownikami. W czym jest problem? Otóż ci ludzie próbują zarządzać młodym zespołem przy pomocy starych metod, które doskonale się sprawdzały, gdy byli młodzi. Obiecują im podwyżki albo premie, czasami grożą wyrzuceniem z pracy. I trafiają na mur, bo takie argumenty do młodych nie trafiają. Młodzi słuchają ich i myślą sobie: „Możesz mnie wywalić stary zgredzie, ja i tak się nie zmienię”. Mogą pozwolić sobie na taką nonszalanecję, bo wiedzą, że nowa praca dla nich i tak się znajdzie – są młodzi, wykształceni, znają języki. Poradzą sobie – jak nie w kraju, to za granicą.

Co pan radzi tym menedżerom, którzy się do pana zgłaszają?

Żeby sami się zmienili, innego wyjścia nie ma. Dla młodych kariera to nie tylko możliwość dorobienia się. Nie chodzi o sprzęt kuchenny, dom i samochód. Oni żyją w zupełnie innym wymiarze. Dla nich kariera to możliwość rozwijania się, rozwijania własnych umiejętności, czerpania radości z tego, co się robi i za co dostaje się pieniądze. Jeśli trafią do miejsca, w którym pozwala się im rozwinąć skrzydła, to dadzą z siebie wszystko. Problem tylko w tym, że w Polsce pracy dla nich jest bardzo mało.

Według najnowszych badań CBOS 36 proc. młodych do 24. roku życia chce szukać pracy za granicą.

Nasza gospodarka jest mało innowacyjna. Pracujemy, bo realizujemy cudze pomysły, a praca odtwórcza to dziś dla młodych zdecydowanie za mało. A innych ofert nie ma, stąd taka popularność emigracji. Paradoksalnie młodzi, wykształceni Polacy mają większą szansę na ciekawą i ambitną pracę na Zachodzie niż w kraju, bo tam właśnie są centra badawczo-rozwojowe oraz zapotrzebowanie na wiedzę i kreatywne myślenie. Dlatego uważam, że w najbliższych latach skala emigracji będzie rosła, bo Polska tych młodych ludzi sama z kraju wypycha. A że nic ich tu nie trzyma – ani rodzina, ani kredyty na mieszkanie – to jadą chętnie. Zwłaszcza że barierą przestaje dla nich już być nieznanomość języków obcych.

Chyba nie do końca tak jest, że nic ich tu nie trzyma. Ludzie są przecież związani ze swoją ojczyzną, rodziną i środowiskiem lokalnym.

To pokolenie Internetu, a sieć nie ma ojczyzny. Wśród 20-latków mniejsze znaczenie ma też rodzina, a z rodzicami, nawet gdy wyrosli już z okresu buntu i dobijają trzydziestki, trudno im złapać kontakt. Dla nich podstawą funkcjonowania są przyjaciele. W tym pokoleniu ponaddwukrotnie wzrosła wartość przyjaciół w stosunku do tego, co było 20 lat temu. Bo są elementem stylu życia, spotykają się z nimi i chcą spotykać. Nie chcą siedzieć do 20 w pracy, potem wracać i oglą-



MACIEJ ZIENKIEWICZ/AG

dać tę samą twarz żony, męża i dzieci. Chcą być w coraz to innym towarzystwie. Nie przywiązują ich do kraju także religia, bo aż 40 proc. z nich do kościoła nie chodzi. Zdecydowanie dzisiejsi 20-latkowie nie są patriotami.

11 listopada manifestowało sporo młodych ludzi.

Nie uogólniamy. Kilka tysięcy młodych to nie cała populacja. Tam byli fighterzy, ale to nie oni stanowią większość. Nie oni tworzą normy kulturowe, które w tym pokoleniu obo-

Dwudziestolatek wychował Internet, dlatego rodzina, Kościół i przyjaciele ze szkoły przestali być dla nich autorytetem. Z 30- i 40-latkami łączy ich tylko nieufność wobec innych, nieumiejętność współpracy i niechęć do dialogu z ludźmi, którzy mają odmienne opinie.

wiązują. Oni się liczą 11 listopada w telewizorze, w pozostałe dni już nie.

Ale w pewnym momencie ci młodzi Polacy też się przecież pobierają i mają dzieci.

Coraz rzadziej. W ostatnich latach liczba małżeństw stopniała – jeżeli już, to prędzej zdecydują się na luźny związek. Mają też mniejszą ochotę na posiadanie dzieci, co też świetnie widać w statystykach. Becikowe raczej tego trendu nie odwróci.

A co odwróci? Rząd właśnie zapowiedział nowy program polityki rodzinnej, którego głównym elementem jest długi, bo aż roczny urlop rodzicielski. Czy te ułatwienia zachęcą młodych do rodzenia dzieci?

Szansa jest raczej niewielka. Oni stawiają na samorozwój, nie widzą wyzwania czy szansy w wychowywaniu pierwszego, drugiego czy trzeciego dziecka. Owszem, gdyby państwo zapewniło im dochód od każdego dziecka w wysokości – po-

wiedzmy – 1000 zł miesięcznie (licząc na dzisiejsze warunki), to pewnie spora część z nich by się skusiła. To byłby do- bry interes dla tych kobiet, które na karierę zawodową nie sta- wiają, i ratunek dla polskiej demografii.

Mówi pan, że młodzi nie mają apetytu na dzieci. W Polsce rzeczywi- ście tak, ale gdy ci sami ludzie pojadą do Wielkiej Brytanii, to już dzie- ci rodzą chętnie. Na Wyspach tzw. współczynnik dzietności wśród Po- laków jest dwa razy wyższy niż w kraju.

To dlatego, że tam dziecko nie oznacza przerwania kari- ery zawodowej. W Wielkiej Brytanii posiadanie dziecka jest obudowane opieką instytucjonalną tak, że rodzice napraw- dę nie muszą się o nic martwić. Pracę spokojnie można prze- rwać na pół roku, a potem zawsze znajdą się w okolicy żłobek i przedszkole. Nie będą mieć problemu.

Z tego, co pan opowiada, wynika, że te dwie grupy – 20- i 30-40-lat- ków – dzieli gigantyczna przepaść. Skąd ona się wzięła?

Ze sposobu wychowania. Pokolenie 40-latków było kształto- wane przede wszystkim przez dom rodzinny i szkołę. Dwu- dziestolatek wychował głównie Internet. Sieć wyproduk- wała kompletnie inne pokolenie, zwane w literaturze poka- leniem Y. Są to ludzie, którzy nigdy nie żyli w świecie, w któ- rym nie istniał Internet. To od zawsze było ich główne źródło wiedzy o świecie. Spowodowało, że automatycznie stopnia-

łże autorytet rodziny i przyjaciół ze szkoły czy podwórka, bo Internet pozwalał rozszerzyć krąg znajomych poza grani- ce kraju. Młodzi ludzie poznawali opinie zagranicznych ko- legów, widzieli, jak oni żyją, i to był dla nich wyznacznik tego, jak powinno się funkcjonować w świecie.

Czy jest coś, co te pokolenia łączy?

Tak, to jest nieufność wobec innych, nieumiejętność współ- pracy, niechęć do dialogu z ludźmi, którzy mają odmienne opinie. Niski poziom kapitału społecznego to od dawna jed- na z największych bolączek Polski. I nie się pod tym wzglę- dem nie zmienia już od lat.

Wśród 20-latków też nie?

Kapitału społecznego przez Internet się nie nabędzie, a ro- dzice im tego nie przekazali, bo sami nim nie dysponują.

Ale przecież coraz częściej jeździmy po świecie. Dlaczego nie przejęli- śmy tych wzorców z zagranicy?

Jeśli ludzie jadą za granicę na dłużej i podejmują pracę, któ- ra odpowiada ich kwalifikacjom, to po pierwszym okresie szoku, że oni tam muszą uczyć się współpracy, zaczynają się dostosowywać do tych reguł gry. Tam to jest wymuszone, a w Polsce nikt od nich tego nie wymaga, więc się tym za bar- dzo nie przejmują.

Skutki niezdrowej pracy w korpo oceniają specjaliści

REFLUKS ZAMIAST WRZODÓW

→ **Dr Anna Cybulska, gastrolog i specjalista chorób wewnętrznych**

Jedną z głównych przyczyn wzrostu zapadalności 30- i 40-latków na choroby cywilizacyjne, m.in. gastroen- terologiczne, jest otyłość. To ona pociąga za sobą inne schorzenia. Wrzodów nabawiają się najczęściej pracownicy i zestresowani, ale należy pamiętać, że to schorzenie infekcyjne. Przypadłością XXI w. okrzyknięto jednak chorobę refluksową. Pierwsze wzmianki na jej temat pochodzą z początku minionego wieku, kiedy określono 200 przypadków tego schorzenia, a dziś już około 25 proc. konsultacji dziennych u gastrologa dotyczy objawów refluksu. Przypadłość ta polega na cofaniu treści pokarmo- wej z żołądka do przełyku i górnych dróg oddechowych. Powoduje też bezsenność i erozję zębów. Na coraz bardziej powszechne występowanie refluksu wpływ mają styl życia i jedzenie wysoko przetworzonej żywności. Refluks może też o sobie dawać znać uciążliwym kaszlem, chrząkaniem i bólami w klatce piersiowej. Skąd bierze się tak duży wzrost zachorowań na refluks u 30-, 40-latków? Przede wszystkim z braku czasu, co utrudnia odpowiednio częste i powolne jedzenie. Aby uniknąć tego schorzenia, wystarczy celebrować jedzenie, a najlepiej po prostu samemu goto- wać. Tymczasem ludzie w wieku 35+ jedzą chaotycznie, szybko, często na noc, przez co ich żołądki wariują. Do tego niewiele się ruszają. To oni potrzebują najczęstszych kon-

sultacji gastrologicznych. Przychodzą do lekarza, gdy skarżą się już na poważne dolegliwości, a tabletki przeciwbólowe czy inne leki bez recepty już nie działają. Zapytani, dlaczego nie pojawili się wcześniej, odpowiadają, że pracują po kilka- naście godzin dziennie i nie mieli czasu. Zapadają też coraz częściej na choroby alergiczne. Mamy wręcz do czynienia z „alergizacją” życia, co podobnie jak refluks wynika z tego, co i jak jemy. Do tego dochodzi stres, który modyfikuje przebieg różnych chorób i je zaostża.

WYPALENIE ZAWODOWE MOŻE BOLEĆ

→ **Katarzyna Stefańska, kierownik centrum psychologicznego Enel-Med w Warszawie**

Wśród osób z problemami psychologicznymi znacząco przybywa zapracowanych i zestresowanych młodych ludzi. Ostatnio miałam pacjenta w wieku 42 lat, który nie jest w żadnym związku, bo – jak mówi – poświęcił się pracy. Niestety, po sześciu latach spędzonych w korporacji został zwolniony. Okazało się, że wcześniej korzystał z pomocy psychiatry z powodu złej atmosfery w pracy. Mimo że przyjmował leki psychotropowe, nie dawał sobie rady z emocjami i do dziś ma problemy ze snem. Ten pacjent nie może się też pogodzić z tym, jak wiele poświęcił pracy. Ma typowy syndrom wypalenia zawodowego. Takich ludzi, którzy nie radzą sobie z sytuacjami stresowymi związanymi z pracą i tempem życia, jest coraz więcej, szczególnie wśród 30-40-latków. To pokolenie, które bardzo angażuje

się w to, co robi, jest ambitne, ignoruje istnienie granicy obciążenia, której przekroczenia organizm już nie znieś. Konsekwencje takiego zachowania są poważne. Początkowo pojawiają się błahe dolegliwości, przede wszystkim zmęczenie. Do lekarza wybierają się dopiero wtedy, kiedy dochodzą inne symptomy, np. bóle i klucia serca, problemy gastrologiczne i kłopoty z kręgosłupem. Osoby z wypaleniem zawodowym częściej chorują na zwykłe przeziębienia i wszelkiego rodzaju infekcje, ponieważ życie w ciągłym napięciu osłabia układ immunologiczny. W gabinecie psychoterapeutycznym pojawia się też sporo osób skierowanych do mnie przez dermatologa, które uskarżają się na alergiczne zmiany skórne wywołane właśnie przez stres. Rośnie także liczba uzależnień od alkoholu. Spotykam też coraz więcej przypadków tzw. uzależnień behawioralnych, czyli na przykład pracoholików, którzy stres rozładowują zakupami.

BRAK SENSU

→ **Prof. Bartosz Łoza, dyr. ds. lec- nictwa Szpitala Neuropsychiatrycznego w podwarszawskich Tworkach**

O pomoc z powodu przepracowania i wynikających z tego kłopotów psychicznych zgłasza się coraz więcej osób z przedziału 30-45 lat. W ciągu ostatnich 20 lat liczba zaburzeń emocji wzrosła 10-krotnie, zaobserwowano też 12-krotny wzrost przyjmowania substancji psycho- aktywnych, np. środków uspokajających, nasennych czy

przeciwbólowych. Taka tendencja będzie się nasilać, ponieważ szczególnie młodzi ludzie biorą coraz więcej obowiązków na siebie. Są przekonani, że dadzą radę zrobić jeszcze projekt. Moment zatrzymania następuje, gdy już nie dają rady. Zgłaszają się do lekarza najczęściej wtedy, gdy przestaje im się chcieć robić cokolwiek. Mówią, że mają depresję, odczuwają przewlekłe zmęczenie, poczucie chronicznego braku sensu i uskarżają się na stany bólowe trudne do zdiagnozowania.

ARYTMIA TO JUŻ STANDARD

→ **Dr Longina Małecka, kardiolog z warszawskiego Enel-Medu**

Pokolenie 30-40-latków, które pije dużo kawy, pali, stymuluje się środkami farmakologicznymi, żeby wydłużyć dzień pracy, jest niewątpliwie narażone na problemy kardiologiczne, które mogą z kolei prowadzić do nie- wydolności serca i różnego rodzaju powikłań. Z badań wynika, że jedna trzecia Polaków ma nadciśnienie tętnicze, którego nie leczy, bo nie ma czasu. Niestety, zaniedbane schorzenie rozwija się i wywołuje poważne skutki, często nieodwracalne w starszym wieku. Młodzi ludzie, często z racji zatrudnienia, mają zapewnione przez pracodawcę prywatne ubezpieczenie zdrowotne, ale z braku czasu i tak z niego nie korzystają. W tej grupie wiekowej najbardziej powszechne są zaburzenia rytmu serca, postrzegane jako kołatanie serca. Jeśli objawy te mają łagodną postać, aby

się ich pozbyć, wystarczy dieta bogata w warzywa i potas. Niski poziom potasu w organizmie powoduje zarówno wa- hania ciśnienia, jak i arytmie oraz uczucie nierównego bicia serca. Teraz gros moich pacjentów uskarża się na kołatanie serca i problemy z nadciśnieniem. Średnio to pięć osób dziennie przed 40. rokiem życia. W porównaniu z latami 90. wzrasta też liczba zawałów i ostrych zespołów wieńcowych u osób w tym przedziale wiekowym. Na szczęście zawały u młodych ludzi rzadziej niż kiedyś kończą się zgonem.

CEL: ZAJŚĆ W CIĄŻĘ

→ **Dr Aneta Tramś-Sujka, ginekolog ze stołecznego Enel-Medu**

Przybywa par w wieku 30-40 lat, które otwarcie mówią, że mają problem z zajściem w ciążę. Podłożem tych schorzeń, tak jak w przypadku innych chorób cywilizacyjnych, jest stres. U pań szybko żyjących, zestresowanych i przepracowanych często występuje podwyższony poziom prolaktyny, nazywa- nej hormonem stresu. Może on blokować owulację i powodo- wać trudności w zajściu w ciążę. U kobiet, które dużo pracują i nie odżywiają się prawidłowo, częściej występują zaburze- nia miesiączkowania, a zaniedbywanie organizmu przekłada się o niestety na czasową, a nawet nieodwracalną niepłod- ność. Poza tym bardzo wiele par podejmuje decyzję o stara- niu się dziecko trochę za późno. Najpierw budują dom, kupu- ją samochód i zapewniają sobie stabilizację, a dziecko planują na 40. urodziny. Biologia jest jednak nieubłagana i pojawiają

A można się tego nauczyć?

Tak, trzeba tylko zmienić formułę polskiej szkoły. Moim zda- niem zajęcia na wszystkich przedmiotach powinny realizo- wać zespoły uczniowskie. Inaczej nie nauczymy Polaków współpracy. Wtedy mamy szansę, że kiedy za kilka lat będzie- my na rozdrożu, ci doskonale przygotowani zaczną budować zespoły, które wypuszczą na rynek innowacyjne produkty.

Jaka przyszłość czeka przedstawicieli obu pokoleń – X i Y?

To zależy od tego, jak będzie zmieniała się polska gospodarka. Dopóki w Polsce będą konkurencyjnie niskie koszty pracy, to w pokoleniu 30- i 40-latków nie się nie zmieni. Będą mieli robotę, będą realizować te swoje marzenia o lepszym domu czy samochodzie. Pewnie im to wystarczy, bo większych am- bicji to pokolenie nie ma.

Jeśli chodzi o to młodsze pokolenie, to nic ich tu ciekawego nie czeka. Oni wyfruną, i to większą falą niż obecnie.

Jeśli natomiast koszty przestaną być konkurencyjne, to albo zainwestujemy w innowacyjną gospodarkę, albo znajdzie- my się w sytuacji Grecji. Pozostaje pytanie, czy zdołamy wejść na ścieżkę gospodarki innowacyjnej? W każdym przypadku młodzi są tak doskonale przygotowani do życia w nowocze- snym społeczeństwie, że na pewno sobie poradzą. Bardziej martwić trzeba się tymi, którzy tu zostają. ➔

się kłopoty z zajściem w ciążę wynikające z fizjologii. Kobie- ta po 36. roku życia jest mniej płodna. Stres przekłada się też na żywotność plemników, dlatego panowie, którzy pracują kil- kanaście godzin na dobę, palą papierosy, piją alkohol i nie są aktywni fizycznie, mają coraz większe problemy.

RAK ATAKUJE WCZEŚNIEJ

→ **Dr Janusz Meder, prezes Polskiej Unii Onkologii**

Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy grupa 30-40-latków częściej niż kiedyś choruje na nowotwory. Na razie nikt nie przeprowadza w Polsce takich badań. Poza tym od mo- mentu inicjacji procesu nowotworowego do wystąpienia pierwszych objawów czasami upływa nawet 15-20 lat. Obecne pokolenie 30-, 40-latków będzie więc można ocenić pod tym względem dopiero za dwie dekady. Wiemy jednak, że stres – w połączeniu ze złym odżywianiem, brakiem stałej rekreacji fizycznej i uczestnictwem w tzw. korporacyjnym wyścigu szczurów – sprzyja zapadalności na nowotwory. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu rak atakował głównie po 60. roku życia. Obecnie chorują także osoby w średnim wieku. Niepokojąco wzrasta liczba zachorowań i śmiertelność na raka płuc u kobiet. Widoczny jest też wzrost zachorowań na nowotwór złośliwy skóry, co jest niewątpliwie związane z nadmierną ekspozycją na promie- nie ultrafioletowe, m.in. w popularnych dziś solariach.

➔ Kamilla Gębska

MONIKA LIBICKA

Co dalej, Hillary?

Hillary Clinton, zgodnie ze swoją obietnicą, ma niebawem opuścić gabinet Baracka Obamy. Trudno sobie wyobrazić, kto ją może zastąpić, ale jeszcze trudniej uwierzyć, że na zawsze żegna się z polityką. Demokraci chcą, by w następnych wyborach **walczyła o prezydenturę**.

Jedno z najsłynniejszych zdjęć w historii amerykańskiej polityki zostało zrobione 1 maja 2011 r. Przedstawiło ono prezydenta Baracka Obamę i jego współpracowników w napięciu obserwujących transmisję z ataku na kryjówkę Osamy bin Ladena w Pakistanie. Wśród osób zgromadzonych w Białym Domu największą uwagę przykuwa twarz amerykańskiej sekretarz stanu Hillary Clinton, która, jakby chcąc opanować wydobytą się z gardła jęk, przysłania ręką usta i ze zgrozą obserwuje rozwój wypadków. Wydaje się bardziej zaangażowana niż sam prezydent. Właśnie z takim ogromnym zaangażowaniem pracowała dla swojego szefa (i zarazem byłego przeciwnika w prawyborach) przez całe cztery lata jego prezydentury. Teraz, gdy ma odejść, Amerykanie wstrzymują oddech w oczekiwaniu na jej dalsze decyzje.

Gdy zaproponowano jej stanowisko sekretarza stanu, początkowo odmówiła. Podobno Obama unikał jej telefonów, czekając, aż zmieni zdanie. W końcu je zmieniła i stała się jednym z filarów jego administracji – lojalną i oddaną współpracowniczką, która w dużej mierze wzięła na siebie ciężar prowadzenia polityki zagranicznej, umożliwiając prezydentowi skupienie się na wewnętrznych problemach kraju. Tuż po objęciu stanowiska jasno sprecyzowała, że kończy pracę po pierwszej kadencji i teraz, gdy prezydent Obama ustala skład nowego gabinetu, komentatorzy polityczni w USA obsesyjnie krążą wokół pytania: „Co dalej, Hillary?”. Odpowiedź

na nie jest o tyle ważna, że teoretycznie to ona wydaje się mieć największe szanse na kontynuację rządów demokratów w Białym Domu. Potwierdziło to niedawno przeprowadzone badanie sympatii politycznych w stanie Idaho, który jest papierkiem lakmusowym amerykańskich prawyborów. Jej przewaga nad drugim potencjalnym kandydatem, Joe Bidenem, jest wprost miażdżąca (58 do 17 proc. poparcia). Czy zatem Hillary wystartuje w wyborach 2016 r.? Jak zauważa publicystka „New York Timesa”, Gail Collins, gdyby Clinton się na to zdecydowała, byłaby zapewne najlepiej przygotowanym kandydatem na prezydenta, jaki kiedykolwiek walczył o ten urząd. Zostawiłaby daleko w tyle wszystkich mężczyzn, którzy stali się o ten zaszczyt wcześniej. Byłaby też pierwszym kandydatem, a właściwie kandydatką, która znała bodaj wszystkich ważniejszych panujących tego świata jeszcze przed zaprzysiężeniem.

Clinton jest świetnie wykształconym prawnikiem z imponującym politycznym CV, w którym rozmowy z prezydentem Miedwiediewem w jego podmoskiewskiej daczce w Barwice są tylko

65 powodów, by ją kochać

Portal Huffington Post z okazji 65. urodzin Clinton opublikował „65 powodów, by ją kochać”. Wśród nich są między innymi: list, w którym będąc małą dziewczynką, pytała pracowników NASA, jak zostać astronautą (odpisano jej, że kobiet nie zatrudniają), oraz próba zapisania się do marines prawie 40 lat temu, która się nie powiodła, bo była „za stara i do tego kobieta!!!”.

jedną z setek pozycji pośród negocjacji z przywódcami państw na wszystkich kontynentach. Jak sama twierdzi, politykę ma zapisaną w DNA, co dało się zauważyć już wtedy, gdy w przeciwieństwie do swoich poprzedniczek aktywnie pełniła obowiązki pierwszej damy. Jako żona prezydenta Billa Clintona promowała (z dość miernym skutkiem) reformę służby zdrowia, która teraz jest jednym z głównych tematów polityki wewnętrznej Obamy. Zajmowała się prawami kobiet, dziećmi, sprawami socjalnymi i podróżowała. Wraz ze swoim mężem odwiedziła 80 państw, w których docierała nie tylko na prezydenckie salony i dyplomatyczne rauty, ale do odległych wiosek, klinik czy pozarządowych organizacji. Gdy Jackie Kennedy przyjechała do Indii, do prasy trafiło jej zdjęcie na słoniu; gdy po latach dotarła tam Hillary, na słonie nie było czasu. Jej kalendarz wypełniono dziesiątkami spotkań z organizacjami dobroczynnymi.

Prezydentura Billa Clintona zakończyła się jej osobistym dramatem, w którym na oczach całego świata wywlekała szczegóły zdrady jej męża. To właśnie styl, w jakim zniosła upokorzenie, i klasa, z jaką się z niego podniosła, zjednały jej rzeszę sympatyków w Stanach i na całym świecie. W kolejnych latach zdobywała doświadczenia w Senacie, a w roku 2008 wystartowała w prawyborach demokratów, odnosząc spory sukces. Gdy w końcu wyborcy zdecydowali, że to Obama stanie się oficjalnym kandydatem Partii Demokratycznej, zmieniła front i gorąco go



poparła. Swoim przynębnym współpracownikom tłumaczyła, że i tak dokonała ogromnego przełomu, bo „od teraz fakt, iż kobieta stara się o najwyższy urząd w USA, nie będzie już sensacją”.

Dziś, gdy kończy swoje urzędowanie, jest ceniona zarówno za dyplomatyczne wyczucie, umiejętność pracy w zespole, jak i pracowitość. Przez ostatnie cztery lata jej kalendarz był wypełniony nieustannymi podróżami i spotkaniami na całym świecie. Towarzyszyły jej podróży i kwękania dziennikarzy, próbujących nadążyć za jej 18-godzinnym rytmem pracy. Dziennikarka pisma „Marie Claire”, Ayele Waldman, która wybrała się z Clinton w ostatnią dyplomatyczną podróż do Afryki, opisuje mordercze

tempo konferencji prasowych, spotkań z oficjalnymi, pracownikami amerykańskich ambasad i baz wojskowych. Waldman dodaje, że na samo wspomnienie tego przepełnionego harmonogramu podróży odczuwa „silną potrzebę wypicia drinka i drzemki”. Wytrzymałość Hillary Clinton stała się legendarna, podobnie jak jej umiejętność zasypiania i regenerowania się w każdych okolicznościach. Podczas jednej z europejskich podróży, która trwała sześć dni i zakończyła się na konferencji w Hadze, przemawiała aż 26 razy. W czerwcu tego roku tygodnik „Time” zauważył, że odbywa właśnie 100. podróż i niedługo pobije rekord miliona przebytych między innymi na pokładzie swojego boeinga 757. Sprawując

Towarzyszyły jej podróży i kwękania dziennikarzy, próbujących nadążyć za jej 18-godzinnym rytmem pracy.

urząd, Hillary Clinton musiała mierzyć się z kryzysami podczas arabskiej wiosny ludów, wyciekami amerykańskich dokumentów dyplomatycznych na portalu WikiLeaks czy antyamerykańskimi rozruchami spowodowanymi podarciem Koranu lub nakręceniem filmu obrażającego proroka Mahometa. Nie dziwnego, że jest zmęczona.

Pytana o dalsze plany, odpowiada, że chce odpocząć. „Marzę o tym, by się zrelaksować. Chcę się po prostu wyspać, poćwiczyć i podróżować dla przyjemności. To brzmi tak zwyczajnie, ale nie robiłam tego od 20 lat”. Podobno ma zamiar napisać książkę i poświęcić więcej czasu rodzinie oraz działalności filantropijnej. Ale niezależnie od tego, jak często powtarza, że wyścig do Białego Domu jej nie interesuje, zawsze znajdują się tacy, którzy jej nie wierzą lub mają nadzieję, że zmieni zdanie, gdy odpocznie. Do podjęcia ostatecznej decyzji ma jeszcze czas, a chętnych namawiających ją do sięgnięcia po prezydenturę nie brakuje. W końcu jest jedną z najpopularniejszych kobiet w historii USA. Instytut Gallupa ogłaszał ten wynik już 16 razy, a co ważniejsze – według jego danych, w marcu 2011 r. Hillary była bardziej lubiana przez Amerykanów niż Barack, Joe i inni politycy Partii Demokratycznej.

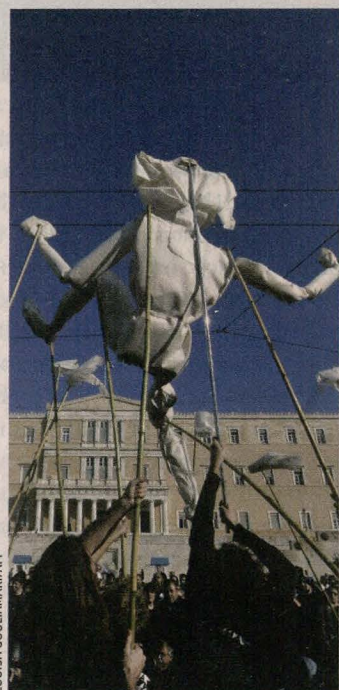
Jeśli politykę ma się w genach, nie tak łatwo od niej odejść. Szczególnie że największą polityczną pasją Clinton jest walka o równouprawnienie kobiet, a objęcie prezydentury byłoby ukoronowaniem jej wieloletnich starań. Poza tym jej start w wyborach mógłby zmusić republikanów do wystawienia kandydatury Condoleezy Rice, co zapewne byłoby zapowiedzią najciekawszych wyborów w historii USA.



WŁOCHY

Wenecja pod wodą jeszcze bardziej niż zwykle

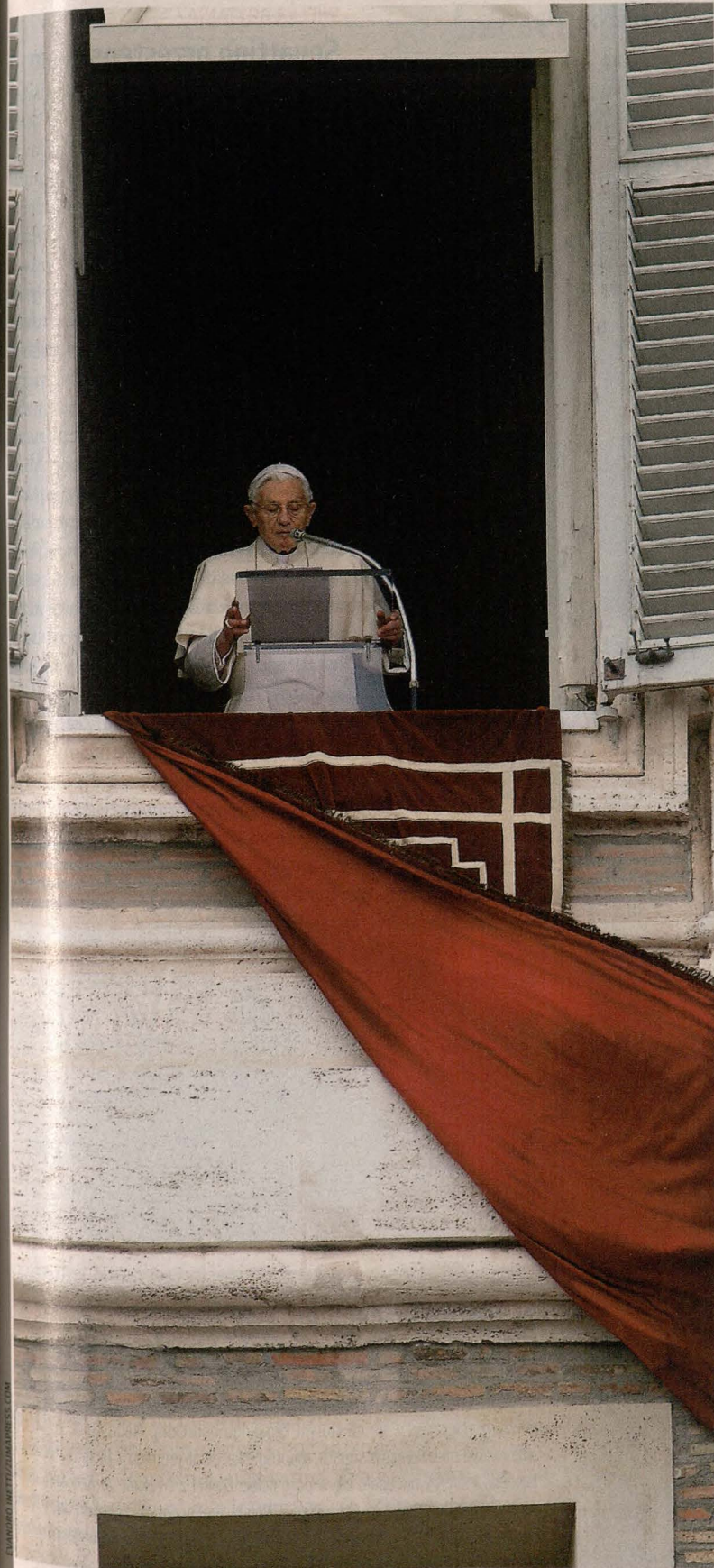
Turyści odwiedzający właśnie Wenecję mają okazję wykazać się umiejętnościami pływackimi, gdyż poruszanie się po słynnym mieście inaczej niż wplaw na razie nie jest możliwe. Choć trudno w to uwierzyć, miasto laguna jest jeszcze bardziej ukryte pod wodą niż do tej pory, a wszystko za sprawą obfitych opadów deszczu nad północną i środkową częścią Włoch. Poziom kanałów w Wenecji podniósł się o półtora metra, co oznacza, że 70 proc. miasta jest zalane i o ile po niektórych ulicach da się, powiedzmy, przejść (w kałozach), o tyle przez słynny plac św. Marka można tylko... przepłynąć. Nie podano jeszcze informacji dotyczących skali zniszczeń wywołanych przez powódź, jednak nie tylko Wenecja ucierpiała z powodu kiepskiej pogody. W Toskanii w ciągu kilku godzin spadło 23 cm deszczu, przez co rzeki Ricortola i Parmignola wylały, niszcząc uprawy oliwek i winorośli. To czwarty raz od 2000 r., kiedy Wenecja została zalana, i na pewno takie sytuacje będą się powtarzać – jako przykry efekt zmieniającego się klimatu. → Mateusz Farenholt



EUROPA

Fala protestów

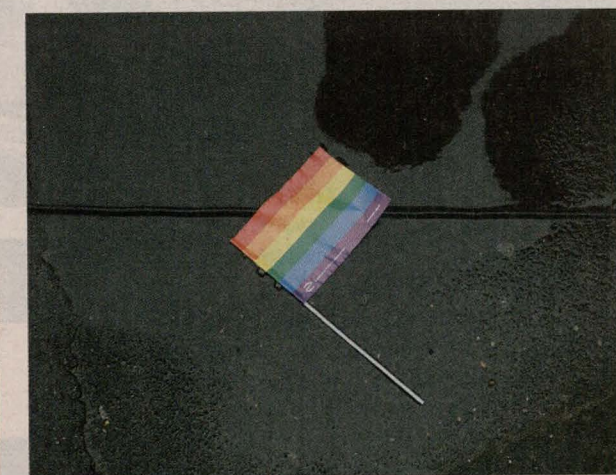
W Belgii na 24 godziny wstrzymano większość połączeń kolejowych. We Włoszech zorganizowano niemal 100 demonstracji, a w Rzymie i Mediolanie studenci starli się z policją. W Portugalii odwołano kilkadziesiąt połączeń lotniczych, natomiast w Hiszpanii, w wielu miastach, stanęły blokady uliczne. W ten sposób Europa w połowie minionego tygodnia zaprotestowała przeciwko polityce drażniącej oszczędności, jaka aktualnie wdrażana jest przez władze kolejnych państw. Do demonstrowania obciążonych kryzysem Europejczyków wezwała Europejska Konfederacja Związków Zawodowych (ETUC). Co ciekawe, kiedy w Barcelonie płonęły opony pod siedzibami wielkich banków, w Niemczech toczył się względnie normalny dzień pracy. W tym państwie odzew na apel związków zawodowych był słaby. Głównie dlatego, że Niemców na razie kryzys nie dotknął tak, jak Greków, Portugalczyków czy Hiszpanów. To Niemcy są jednak największymi orędownikami odchudzania wydatków w krajach południowej Europy. Trudno się dziwić, że ostatnio Lizbona nie powitała Angeli Merkel zbyt ciepło. → hr



WATYKAN

@BenedictusPPXVI

Siłą napędową Twittera są celebryci i być może dlatego ta forma mikrobloggingu u nas wciąż raczkuje. W końcu trudno byłoby jakiegokolwiek polskiej serialowej aktorce choćby minimalnie zbliżyć się popularnością do, dajmy na to, królowej reality show – Kim Kardashian. Wkrótce jednak wiele może się zmienić, bo do grona użytkowników Twittera dołączy sam Benedykt XVI. 85-latek co prawda nie ukrywa, że średnio pała sympatią do komputerów i technologii, Watykan jednak zdaje sobie sprawę z potęgi mediów społecznościowych. Nie spodziewajcie się więc tweetów opisujących prywatne życie papieża – statusy będą podsumowaniem kazań i homilii, wraz z linkami do całych tekstów, lub wyrazem reakcji Kościoła na ważne wydarzenia na świecie. Nick nowej gwiazdy Twittera jeszcze nie został ujawniony, ale wszystko wskazuje na to, że będzie to @BenedictusPPXVI. Profil ma wystartować przed końcem roku, a sam zainteresowany oficjalnie pobłogosławił media społecznościowe. → mf



Watykan nie lubi gejów, koniec kropka

Po tym, jak małżeństwa homoseksualne zostały zalegalizowane w referendach w amerykańskich stanach Maryland i Maine, a hiszpański Trybunał Konstytucyjny potwierdził ich legalność, Watykan dość jasno dał światu do zrozumienia, jaki ma stosunek do sprawy. Kościół katolicki przypominał, że sam homoseksualizm nie jest grzechem, w przeciwieństwie do „czynów homoseksualnych”, i potępił światowe tendencje do równouprawnienia gejów. Ksiądz Federico Lombardi, rzecznik prasowy Watykanu, zarzucił niekonsekwencję władzom regionów, które zalegalizowały związki partnerskie, porównując homoseksualizm do poligamii, której nikt obecnie nie spieszy się zatwierdzać. Ostre słowa było więcej: w watykańskiej gazecie „L'Osservatore Romano” równouprawnienie gejów i lesbijek nazwano ideologią opartą wyłącznie na politycznej poprawności. Watykan instytucję heteroseksualnego małżeństwa określił z kolei mianem „osiągnięcia naszej cywilizacji”, przeciwko „wymazaniu” którego zobowiązuje się walczyć do końca. Podsumowując, wydźwięk reakcji Kościoła katolickiego jest prosty i czytelny. Za to Francja jest kolejnym krajem, który przyjął projekt legalizacji małżeństw homoseksualnych. Wymazywanie jednak trwa. → mf



HISZPANIA

Eksmisje zamrożone

Odmienne podejście do problemów mieszkaniowych niż władze Wielkiej Brytanii ma rząd Hiszpanii. W ciągu ostatnich czterech lat ponad 400 tys. Hiszpanów straciło mieszkania kupione na kredyt w latach prosperity. Po tym, jak kolejna osoba zagrożona eksmisją popełniła samobójstwo, na pomoc dręczonym przez banki ruszył wreszcie rząd Mariano Rahoya, który chce zamrozić na dwa lata wszelkie eksmisje. Trwają też prace nad zmianą liczących sobie ponad sto lat paragrafów, regulujących zasady polityki mieszkaniowej. Ludzi bezdomnych lub mających kłopoty mieszkaniowe jest w Hiszpanii dużo, ale jeszcze więcej jest pustych lokali (ich liczba szacowana jest na 2 mln). Nic więc dziwnego, że niektórzy wyrzuceni przez banki zajmują takie budynki na dziko. „New York Times” opisuje historię rodziny, która oglądała mieszkania razem z pośrednikiem nieruchomości tylko po to, by wybrać jakieś ustronne miejsce, z prądem i wodą, do zasiedzenia. Inne rodziny, najpierw wyrzucone przez banki, wracają do swoich mieszkań, by tam nocować. Oto, jak można zostać squattersem we własnym domu. Dobrze, że rząd Hiszpanii zamierza walczyć z tym absurdem. → sm



MARCELO DEL POZO/REUTERS

WIELKA BRYTANIA

Squatting przestępstwem

Na terenie Anglii i Walii komuny squattersów liczą kilkadziesiąt tysięcy osób. Teraz członkowie tych grup, za zamieszkiwanie w porzuconych prywatnych budynkach, mogą zostać skazani na więzienie i grzywnę – squatting w Wielkiej Brytanii zaczął być traktowany jak przestępstwo. Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowuje się już do sprawnego egzekwowania przepisów. Regułą wspiera choćby premier David Cameron, argumentując, że ułatwi ona obronę prywatnej własności oraz będzie narzędziem zwalczania antyspołecznych postaw. Mike Weatherley – pomysłodawca projektu – twierdzi, że ci, którzy myślą inaczej, to anarchiści, natomiast „wszystkim innym obywatelom” karanie za squatting się podoba. To o tyle odważna teza, że Wielka Brytania przechodzi ostatnio okres wielkich cięć wydatków socjalnych. Liczba rodzin, które straciły domy, wzrosła w ostatnich trzech latach o 25 proc. – do 50 tys. Nie musimy chyba pytać, czy to dobry czas, żeby walczyć ze squattingiem, prawda? → Szymon Mucha



POLSKA

Napad na Wągenburg

Tymczasem w Polsce squaty stają się celem chuligańskich ataków. Po Marszu Patriotów – zorganizowanym we Wrocławiu 11 listopada przez Narodowe Odrodzenie Polski – grupa 100 zamaskowanych mężczyzn wdarła się na squat Wągenburg, mieszczący się na starym kempingu nad Odrą. Napastnicy zniszczyli całe mienie mieszkańców squatu, a potem skatowali jednego z nich, 34-letniego Daniela, któremu nie udało się w porę uciec. Daniel z ciężkimi obrażeniami trafił do szpitala. A Narodowe Odrodzenie Polski na Facebooku chwali wandalizm i agresję „patriotów”. Prezes NOP Adam Gmurczyk twierdzi, że przyjechali oni wysprzątać squat. Zapewne z wrogich Polsce elementów. → hr

Szczepan Twardoch

Pisarz osiadły



TOMASZ JODŁOWSKI

Czy da się być pisarzem, jeśli się samego siebie nie ogołociło z przeszłości, z ojczyzny, nie wyrwało korzeni, jeśli nie stało się wobec życia całkiem nagim?

Dla wielu moich przyjaciół przeprowadzka to zwykła rzecz. Przeprowadzają się ciągle i są zawsze jakby trochę spakowani. Zazdroszczę im tej wolności bycia wszędzie u siebie, a trochę współczuję, że nigdzie nie są zdomowieni. Ponieważ jestem pisarzem, przyglądam się życiu pisarzy, szczególnie tych mniej lub bardziej przeklętych, bliskich mi lub nieznanym, jak chociażby Orbitowski albo Limonow: z jedną walizką, z pokoiów hotelowych do wynajmowanych mieszkań, spod mostu do pałaców, z pałacu pod most, zawsze gotowi, aby porzucić wszystko. Patrząc na ich życie, myślę o moim byciu antynomią koczownika. Jestem człowiekiem osiadłym. Umiem żyć tylko w zasięgu grobów, w których leżą ci, od których pochodzę. W tych grobach chcę skończyć, moja trumna przy starych trumnach.

Właśnie przeprowadziłem się drugi raz i – mam nadzieję – ostatni w życiu. Nienawidzę przeprowadzek. Pierwsza była 10 lat temu: skończyłem studia, ożeniłem się i zamieszkaliśmy na parterze brzydkiej „kostki polskiej”. Obiecaliśmy sobie, że to na rok, może dwa lata. Zostaliśmy 10. Wynoszę właśnie ostatnie graty. Dziwna rzecz, taki dom nie dom. Tutaj jadłem, tutaj spałem, tu tańczyłem, w kuchni piłem wódkę z przyjaciółmi, tu w nocy kołysałem na rękach płaczące niemowlę, tutaj czytałem. A teraz dziury po meblach i kurz. Tylko dlaczego trochę mi smutno? Przecież nie lubiłem tego mieszkania, jest wilgotne, zimne, cienkie ściany pleśniały, ile węgla nie wrzuciłbym nad ranem w ziejące piekielnym ogniem czeluście pieca c.o. To już nie jest mój dom. Ale w suficie haki po huśtawce mojego syna. Ślady małych rączek na ścianie.

Przypominam sobie początki. Moja żona studiowała, ja pisałem, lecz myślałem o tym w kategoriach szlachetnej pa-sji, nie zawodu. Przez kilkanaście miesięcy miałem nawet normalną pracę, w wydawnictwie, potem mnie wyrzucili. Dziś ze strachem człowieka, który o włos uniknął katastrofy, myślę o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie zadano mi tego coup de grâce. Sam nie miałbym na tyle odwagi, pierwsze dziecko w drodze, żona na stypendium doktoranckim. Kim byłbym teraz? Pewnie od dawna byłbym już wewnętrznie martwy. Chociaż raczej tylko tak się oszukuję co do własnej wrażliwości. Życie dowodzi, że mamy grubszą skórę, niż się nam wydaje. Teraz nie jest łatwo, ale przecież żyję, nie mam szefa ani kolegów z pracy. To już coś. Mam własne przekleństwa, lecz wolę je od tam-

tych udręk. W końcu się wprowadziłem, do domu, który zaprojektowała moja żona, bo jest architektem. Dom stoi na łąkach, horyzont daleko. Przestrzeń natychmiast wciska się przez oczy – nie tylko otacza, ale również wypełnia człowieka od środka i człowiek staje się tym, na co patrzy. Jestem tu inny, niż byłem w starym domu, którego okna wychodziły na okna innych brzydkich domów. Pijąc rano kawę, podglądam sarny, nocami przychodzą pod same drzwi. Wszystko to dzieje się w dziwnym miejscu, które jest nigdzie. Leży na Górnym Śląsku, ale krajobraz, jaki widzę za oknem, skraj lasów, brzozy i sosny, łąki, sarny, dziki i zające, jest zupełnie nieadekwatny do tego, co się jako Górny Śląsk rozpoznaje, a co najczęściej oznacza czerwoną cegłę Nikiszowca, kominy i kopalnie. Więc gdzie jest mój dom? Na łąkach? Na wsi? Pod kilkumilionowym miastem, którego łuna pomarańczowym światłem rozjaśnia nocne niebo od wschodu?

Mój dom jest nigdzie. Mój dom jest tutaj. W Pilchowicach. To wieś i niewieś, bo ma coś na kształt rynku, kamieniczki, pałac, barokowy kościół i klasztor, który dziś jest szpitalem chorób płuc. Ani wieś, ani miasto. Kiedyś określano je niemieckim terminem Städtel, czyli miasteczko, albo wieś targowa, ale dziś są to słowa od dawna martwe. A Pilchowice obrastają nowymi domami, jak mój. Chociaż ja jestem tutaj jednak inaczej niż migrująca z miast klasa średnia. Jo zech je stōnd. Mam te moje przeklęte, święte groby na wyciągnięcie ręki.

Tak, jestem stąd. Ale co z tego wynika? Kiedyś miałem siebie wymyślonego, a teraz już nie mam. Szarpie mnie obsesja fizycznego zespolenia z małym kawałkiem ziemi, na którym moi przodkowie mieszkali, od kiedy sięga rodzinna pamięć. Myślę często o tych, z których krwi i ciała jestem, o tych, którzy jeszcze żyją, i o tych, którzy już się rozpuszcili w grobach, i tylko czekać, aż dołączę do nich sam, rozpuszczę się i stanę się krajobrazem, drzewem albo trawą i zostanę tu już na zawsze. Boję się, że tak naprawdę nigdy stąd nie wyjechałem. Jakim mogę być pisarzem, skoro nigdy nie wyjechałem? Zjechałem Syberię pociągiem, konno i UAZ-em przemierzałem Mongolię, a jednak nigdy nie wyjechałem. Czy da się być pisarzem, jeśli się samego siebie nie ogołociło z przeszłości, z ojczyzny, nie wyrwało korzeni, jeśli nie stało się wobec życia całkiem nagim? Nie wiem, czy się da, ale próbuję. Nie umiem żyć inaczej. Jestem pisarzem osiadłym. Chociaż akurat ostatnią powieść napisałem o Warszawie. →

Autor jest pisarzem i publicystą. Studiował socjologię i filozofię. Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się właśnie jego szósta powieść – „Morfina”.



DANIEL ROUSSELOT/CORBIS

POLSKA

Znak, że Lubimyczytac.pl

Krakowskie wydawnictwo Znak przejęło serwis Lubimyczytac.pl. Użytkownicy „społecznościówki” od początku jej istnienia, przez trzy lata, przygotowali około 300 tys. rozbudowanych opinii i recenzji o wydawanych książkach. Miesięcznie na portal zagląda około miliona użytkowników, a na stałe swoje konta zarejestrowało już 130 tys. internautów. Dla Znaku inwestycja ma być sposobem na ustabilizowanie dochodów. Wydawnictwo ma też plan, by rozwijać rynek czytelnicy za pomocą serwisu – tym bardziej że serwis zarabia nie tylko na internetowej reklamie, ale także na pośrednictwie w sprzedaży książek. Ile warte były dla Znaku udziały w Lubimyczytac.pl, nie wiadomo, ale mówi się o paru milionach złotych. Pomysł na serwis jest dość prosty. Użytkownicy budują w nim wirtualne półki z książkami, oceniają je i komentują rynek wydawniczy. Dla moli książkowych serwis może być też ułatwieniem, bo pomaga „zarządzać” domową biblioteką: ułatwia poszukiwanie tomów lub ustalenie, komu zostały pożyczone. Obok recenzji użytkowników publikowane są też teksty profesjonalistów. Lubimy to! → szm



WARSZAWA

Być jak Steve Blank

Do 22 listopada możecie się zapisać na globalne warsztaty Startup Weekend Next, które rozpoczyna się 28 listopada w Warszawie. Szkolenie jest kontynuacją kultowej już imprezy o nazwie Startup Weekend, podczas której w ciągu 52 intensywnych godzin początkujące zespoły przygotowują prototypy swoich programów. Dodatek „Next” oznacza, że młody narybek przedsiębiorczości internetowej podczas trzytygodniowych warsztatów dopracuje swoje programy i modele biznesowe. Zdobędzie też cenne kontakty i nauczy się posługiwać tym samym językiem, którego używają inwestorzy, co w przyszłości może ułatwić zdobycie finansowania. Warsztaty odbywać się będą pod okiem specjalistów z branży internetowej. Wśród organizatorów szkolenia – rozpoczynającego się w tym samym czasie w kilkudziesięciu miastach na całym świecie – znaleźli się organizacje Startup Weekend, Startup America i Udacity oraz amerykański fundusz inwestycyjny TechStars. Imprezie patronuje Steve Blank, guru świata start-upów oraz nauczyciel przedsiębiorczości z Doliny Krzemowej. Po stronie polskiej szkolenie organizuje SPIN Szkoła Przedsiębiorczości. Warto tam być. → Aleksandra Stanisławska



WARSZAWA

Kultowe kino po liftingu

Warszawskie kino Iluzjon wróciło do swojej właściwej siedziby. Projekcja filmu z 1918 r., z Polą Negri w roli głównej, zainaugurowała powtórna działalność kina FilMOTEKI Narodowej w odświeżonym budynku, usytuowanym na skwerze Stolimskiego, w sercu Mokotowa. Budynek wyremontowano z poszanowaniem oryginalnego projektu, pochodzącego z lat 40. XX w., sygnowanego przez

Mieczysława Piperka. Retrodesign został jednak uzupełniony o nowoczesną technikę, którą nafaszerowano dwie kinowe sale. U uruchomiono też mediatekę. W Iluzjonie nie zmienia się za to repertuar – pod nowym-starym adresem zobaczyć będzie można arcydzieła światowej kinematografii, autorstwa m.in. Bergmana, Felliniego czy Buñuela. W czasach, w których stare kina przekształca się w całą Polskę w supermarkety, udana odnowa Iluzjonu cieszy podwójnie. → hr

Mariusz Ziomecki

Podatek Ziomeckiego



FRANCISZEK MAZUR

Postuluję,
by uznać płoty
za zagrożenie
dla społecznego
zdrowia i poważny
polski problem.

Nie sądziłem, że nadejdzie taki dzień – gdy wezwę nasze wiecznie głodne państwo do sięgania głębiej do kieszeni obywateli. To trochę jak wzywać zbóję Madeja, by sprawił sobie większą maczugę. Jednak człowiek uczy się dokonywać trudnych wyborów. Niniejszym postuluję, całkowicie serio, żeby w Polsce wprowadzić zaporowy podatek od płotów i ogrodzeń wszelkiego rodzaju. Nie widzę innego sposobu, by zacząć przełamywać nasz główny anachronizm kulturowy: społeczność, głęboko zakorzenioną, absurdalną, chorobliwą i coraz bardziej szkodliwą w nowoczesnym świecie. Gdy rozum śpi, a łagodna perswazja nie działa, pozostają tylko środki radykalne. A portfel to najbardziej wrażliwy i racjonalny organ człowieka. Podatek ten możecie nazwać podatkiem Ziomeckiego; z daniną swego imienia żyje jako prezes NBP prof. Marek Belka, a były minister finansów Jarosław Bauc ma wręcz własną dziurę, więc i wasz sługa da jakoś radę. Podatek powinien być tym wyższy, im słabiej uzasadniona jest obecność ogrodzenia w danym miejscu.

Za mur wokół więzienia stawka podatku wyniosłaby zatem zero, a za ogrodzenie z metalowych prętów wokół spółdzielczego bloku czy wypaszonego osiedla w centrum miasta – podatek maksymalnie zniechęcający. Nawet tysiąc złotych rocznie za metr bieżący ogrodzenia. Ogrodzenia masywne, np. wysokie mury ceglane bądź cementowe, z twardym szkłem na wierzchu, byłyby opodatkowane wyżej niż np. niskie żywopłoty lub ażurowe, symboliczne konstrukcje.

Wszystkie nowo wznoszone ogrodzenia – włącznie z tzw. słupkami w miastach – podlegałyby opodatkowaniu od razu. Natomiast właściciele już istniejących konstrukcji powinni dostać np. dwa lata na podjęcie decyzji: zostawić fortyfikację i bulić jak za zboże czy zlikwidować, a koszt rozbiórki odpisać od podatku.

Zdaje sobie oczywiście sprawę, jaki podniósłby się rwetes od morza do Tatr. Grodzenie się jest głęboko zakorzenioną potrzebą psychologiczną większości Polaków. Ludzie wydają na to uderzająco dużo kasy; z reguły pierwszą rzeczą, w jaką inwestuje nabywca działki budowlanej, jest betonowy fundament pod solidne ogro-

dzenie. Kwestią, która generuje najwięcej emocji na zebraniach w spółdzielniach mieszkaniowych, jest to, jak utrudnić „osobom postronnym” przechodzenie przez „nasz” teren. Lokatorzy, którzy zajadłe wyklócają się z zarządem wspólnoty o każdy grosz, wydatki na płoty akceptują bez szemrania. To również nie jest przypadek, że groteskowo przegięliśmy z odgradzaniem nowych dróg ekranami dźwiękochłonnymi (w tej sprawie chyba dojdzie do korekty prawa). Z każdym rokiem Polska coraz bardziej przypomina wybieg dla ciał, a osiedla w naszych miastach zmieniały się w niemożliwe do przejścia labirynty.

Wariactwo to uzasadniamy głównie względami bezpieczeństwa. Jednak w 99,9 proc. przypadków taki argument nie wytrzymuje rzeczowej analizy. Według międzynarodowych statystyk Polska jest jednym z najbezpieczniejszych krajów na świecie (najświeższy raport brytyjskiego instytutu Legatum), a płoty nigdy nie stanowiły przeszkody dla przestępców. Jedynymi, którzy odnoszą faktyczną korzyść z naszej obsesji grodzenia się, są producenci siatki i firmy budowlane. Jest też inny motyw tego zjawiska. Moi krewni spod Brodnicy, którzy po usamodzielnieniu się dzieci przemysłnie podzielili rodzinne podwórko na trzy części – każda z własną, zamykaną na klucz furtką – wyjaśniają, że „każdy woli być na swoim”. Wygodna wspólna przestrzeń – nawet jeśli jest to wspólnota rodzinna – nie cieszy polskiego serca tak jak malutka, ale do końca własna. „Pies siostry nie będzie mi łaził”. Takie myślenie w skali makro niesie koszty, które wykraczają poza marnowanie środków i oszpecanie ojczyzny. Zamiast otwierać się na innych, izolujemy się. Zamiast budować nasze poczucie bezpieczeństwa na sile wspólnoty, budujemy dla siebie koszmarnie malutkie więzienia. I frustrujemy się, że ktoś inny, jacyś mistycy „oni”, nie robią porządku „w tym kraju”.

Z takim myśleniem daleko nie zajedziemy w XXI w. Dlatego postuluję, by uznać płoty za zagrożenie dla społecznego zdrowia i poważny polski problem. Akcyza na ogrodzenia jest nie mniej uzasadniona, uważam, niż na alkohol i papierosy. ☞

Autor jest redaktorem,
dziennikarzem,
publicystą, biznesmenem.
U nas pisze o ekonomii.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Morze rośnie od północy

Tam, gdzie najzimniej, lodowce topnieją najszybciej. Przynajmniej na Grenlandii.

I znów przyroda zaskoczyła naukowców. Swoje urządzenia poustawiali przecież na południu Grenlandii. Za ich pomocą obserwują, jak globalne ocieplenie rozpuszcza miejscowe lodowce. To ważne, bo stopienie się pokrywy lodowej samej Grenlandii doprowadziłoby do podniesienia się poziomu mórz o 7 metrów. – Drugie tyle doszłoby po rozpuszczeniu się lodowców zachodniej Antarktyki – mówi „Przekrojowi” dr Andreas Born z Uniwersytetu w Bernie w Szwajcarii.

Taki wzrost wystarczyłby, by zalać nisko położone wyspy Tuvalu czy Malediwy. Woda zajęłaby też gęsto zamieszkane delty Gangesu i Nilu. Wdarłaby się na wybrzeża Holandii, Florydy i północnych Niemiec. Częściowo zalałaby nawet wielkie miasta: Londyn, Tokio, Buenos Aires...

Problem w tym, że naukowcy śledzą chyba nie te lodowce, które trzeba – wynika z badań dr. Borna i prof. Kerima Nisancioglu opublikowanych w najnowszym numerze „The Cryosphere”. Swoje wnioski uczeni oparli na analizie klimatu sprzed 126 tys. lat. Wtedy temperatura Ziemi z przyczyn naturalnych była do pięciu stopni wyższa niż dzisiaj. Symulacje komputerowe Borna i Nisancioglu dowiodły, że lodowce zniknęły wówczas na północnym obszarze Grenlandii. Przypuszczalnie dlatego, że na południu padało więcej śniegu, który rekompensował część ubytków.

Podobny proces może się powtórzyć niedługo. Już pod koniec obecnego stulecia temperatury osiągną zapewne poziom zbliżony do tego sprzed 126 tys. lat. Lodowce z północy Grenlandii, niedokładnie obserwowane przez naukowców, będą się wtedy rozpuszczać szybciej niż na południu. Naukowcy powinni więc chyba przenieść swe urządzenia na północ. A mieszkańcy nisko położonych miejscowości – przygotować się do przeprowadzki. 📡



Natura 2000 dla samorządowców



Gdyby wszystkie obszary ujęte w sieci Natura 2000 nagle zniknęły, wydatki państw Unii Europejskiej wzrosłyby nawet o kilkaset miliardów euro rocznie! Komisja Europejska szacuje, że tyle warte są usługi, jakie świadczy nam chroniona przyroda.

Dostarcza i oczyszcza wodę, hamuje erozję wybrzeży, magazynuje związki węgla, łagodzi skutki zmian klimatu, zapobiega klęskom... Lista świadczeń, jakie otrzymujemy od przyrody, jest długa. Dyrekcja Generalna ds. Środowiska Unii Europejskiej ocenia na przykład, że obszary objęte w całej Europie ochroną Natura 2000 przechowują 35 mld ton ekwiwalentu dwutlenku węgla. Wartość tylko tej usługi to od 607 do nawet 1130 mld euro!

Droga rehabilitacji

Inwestując publiczne pieniądze, warto więc mieć na uwadze przyrodę. To nie lada wyzwanie dla samorządowców. Bo choć polskie gminy i powiaty pilnie potrzebują obwodnic, zbiorników retencyjnych czy oczyszczalni ścieków, to

jednak w dłuższej perspektywie okazuje się, że lepiej dokładnie ocenić wpływ realizacji dużych inwestycji na środowisko, w tym najcenniejsze przyrodniczo obszary ujęte w sieci Natura 2000, niż realizować projekty bez szczegółowych analiz. Szybko nie znaczy wcale lepiej, a już na pewno – taniej. Rachunek ekonomiczny jest nieubłagany. – Koszty rewitalizacji przyrodniczej ponoszone dziś w krajach „starej” Unii Europejskiej są ogromne i znacząco przewyższają nakłady, które wynikają z zadań, przed jakimi stoją polskie samorządy – ocenia dr Piotr Otawski, zastępca Generalnego Dyrektora Ochrony Środowiska. – Bardziej opłacalne jest prowadzenie inwestycji zgodnie z zasadami ochrony środowiska niż realizowanie ich kosztem przyrody i późniejsze próby rehabilitacji – dodaje.

Powódź na sztucznym dopingu

Jak dotkliwie finansowo jest naprawianie nieprzemyślanych decyzji, przekonali się między innymi Niemcy. Na odtworzenie naturalnego koryta Renu, które uregulowano niegdyś na niemal całej długości, z niemieckiego budżetu wydano już ponad pół miliarda euro. Po latach dostrzeżono, że tylko naturalne rozlewiska mogą uchronić nadreńskie miejscowości od tragicznych w skutkach powodzi. O ile kilkadziesiąt lat temu fala powodziowa pokonywała odcinek między Bazylem a Karlsruhe (ok. 250 km) w 65 godzin, o tyle wzdłuż betonowych ścian koryta zabierało jej to tylko 30 godzin. Dziś inżynierowie trapią się, jak szybko oddać Renowi naturalne tereny zalewowe, na które bezkarnie mógłby wylewać się nadmiar wody. A to niestety słono kosztuje!

Natura 2000 on-line

Polska przyroda na szczęście jest zachowana w bardzo dobrym stanie. By za kilkanaście lat nie wydawać olbrzymich sum na odtwarzanie jej walorów, musimy dbać o ochronę środowiska już teraz. – Świadomość bilansu ekonomicznego powinna skłonić wójtów, burmistrzów, starostów czy prezydentów do refleksji nad programem Natura

2000 – zachęca dr Piotr Otawski. – Koncentrowanie się na teraźniejszych potrzebach bez wizji na przyszłość jest krótkowzroczne – mówi. Dlatego Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska stworzyła dla samorządowców internetowy kurs o programie Natura 2000. Szkolenie dostępne na stronie www.e-natura2000.pl pozwala zdobyć nową wiedzę i nabyć umiejętności praktyczne go jej wykorzystania w pracy samorządowej (więcej informacji na stronie internetowej www.projekty.gdos.gov.pl). Kurs jest bezpłatny, a pomyślnie zaliczenie testu końcowego oznacza uzyskanie certyfikatu. Wszyscy, którzy go otrzymali, mogą wziąć udział w organizowanych w listopadzie spotkaniach eksperckich (daty i dane patrz ramka).

www.e-natura2000.pl

Bezpłatny kurs on-line o programie Natura 2000, z którego skorzystało już ponad 1300 samorządowców. Więcej informacji na stronie www.projekty.gdos.gov.pl. Zdobądź wiedzę i certyfikat!

Spotkania eksperckie

Samorządowcy, którzy ukończą szkolenie o sieci Natura 2000 dostępne na stronie www.e-natura2000.pl, mogą wziąć udział w spotkaniach eksperckich. Szczegóły i zapisy – tel. 535-000-523, www.inplusconsulting.pl.

19–20 listopada 2012 r. – Warszawa
21–22 listopada 2012 r. – Lublin
21–22 listopada 2012 r. – Police
29–30 listopada 2012 r. – Białystok
29–30 listopada 2012 r. – Gdańsk

Ostoja Warmińska

Komisja Europejska namawia samorządy do inwestowania w ochronę środowiska i dowodzi, że każde euro wydane na przyrodę zwraca się z nawiązką.

Czy program ochrony bociana może pomóc w rozwoju lokalnej społeczności? Od dwóch lat Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Olsztynie i Polskie Towarzystwo Ochrony Ptaków udowadniają, że może! Za unijne pieniądze pomagają przyrodzie i mieszkańcom jednego z najbardziej zagrożonych regionów Polski.

Bociania ostoja

„Ostoja Warmińska” ciągnie się wzdłuż granicy polsko-rosyjskiej, w północnej części województwa warmińsko-mazurskiego. To obszar włączony do sieci Natura 2000 ze względu na jego walory przyrodnicze, głównie licznie występujące tu bociany. Na terenie tym gniazduje aż 1000 par i jest to największa lokalna populacja tego ptaka

w naszym kraju. Niestety, rokrocznie kilkaset osobników ginie w wyniku kolizji z sieciami energetycznymi i rażenia prądem. Za unijne pieniądze przyrodnicy prowadzą więc dokładną ewidencję miejsc, w których najczęściej dochodzi do takich wypadków, i wskazują urządzenia wymagające odpowiedniego zabezpieczenia. Lepsze warunki życiowe bocianom zapewnić ma też odtworzenie stawów ziemnych, stworzenie spiętrzeń wody i rozlewisk. Przyczyni się to do wzrostu liczebności płazów, które stanowią dla ptaków cenne pożywienie.

Lokalne korzyści

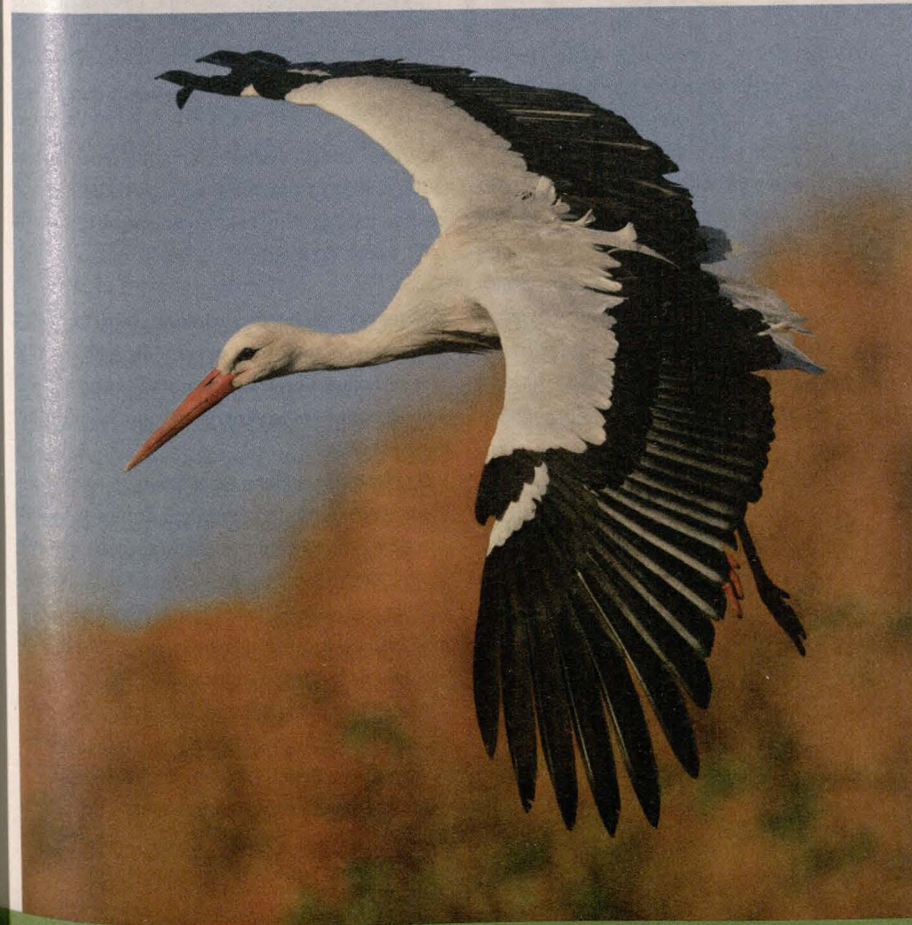
Na realizację projektu w „Ostoi Warmińskiej” do końca 2013 roku wydanych zostanie prawie 1,6 mln

euro. Gdzie trafiają te pieniądze? Przede wszystkim do lokalnych firm, które wykonują izolację sieci energetycznych, przebudowy stacji transformatorowych, prace ziemne czy remonty zniszczonych dachów, na których bociany uwiły gniazda. Okresowo przyczynia się to do wzrostu zatrudnienia. Ponad 360 tys. euro przeznaczono też na zakup sprzętu dla sześciu miejscowych jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, który posłuży do wykonywania prac interwencyjnych przy bocianich gniazdach, a na co dzień – również do działań pożarniczo-ratunkowych. W dłuższej perspektywie skorzysta też lokalna branża turystyczna. Budowa Centrum Edukacyjno-Informacyjnego w Żywkowie oraz rozwijanie „bocianich wiosek” – to magnes na turystów. Już dziś ostoja jest największą atrakcją regionu!

LIFE finansuje przyrodę

Głównym źródłem współfinansowania projektów i programów środowiskowych na terenie Unii Europejskiej jest program LIFE. To z niego pochodzą pieniądze na realizację projektu ochrony bocianów w „Ostoi Warmińskiej”. W ciągu ostatnich dwudziestu lat z LIFE wydano aż 2,8 mld euro na działania służące zachowaniu środowiska naturalnego, walkę z utratą bioróżnorodności i zanikiem cennych siedlisk, nowoczesne gospodarowanie odpadami oraz przeciwdziałanie zmianom klimatycznym. Z funduszu współfinansowane jest funkcjonowanie sieci Natura 2000, obejmującej już ponad 26 tys. cennych przyrodniczo obszarów Unii Europejskiej, które stanowią prawie 18 proc. terytorium całej Wspólnoty. Pieniądże pozwoliły odtworzyć 320 tys. hektarów cennych siedlisk, takich jak lasy aluwialne, łąki czy tereny podmokłe, oraz opracować ponad 1500 planów ochrony miejsc włączonych do sieci Natura 2000. Fundusze przeznaczono też na ratowanie zagrożonych gatunków zwierząt, m.in. niedźwiedzi brunatnych, rysów iberyjskich, kumaków nizinnych, kozic pirenejskich, węgierskich żmij łąkowych czy orłów cesarskich.

Bocian biały podlega ochronie programu Natura 2000



Zielona Stolica Europy?

Położona w sąsiedztwie obszarów Natura 2000 Bydgoszcz jest jedynym polskim miastem, które ma szansę na tytuł Zielonej Stolicy Europy 2014. W ostatecznej rywalizacji musi pokonać Bristol, Brukselę, Dublin, Glasgow, Lublanę, litewskie Kaunas i turecką Kutahję. – Pieniądże wydane na ekologię są sporym, ale opłacalnym nakładem – mówi Rafał Bruski, prezydent Bydgoszczy.

Dlaczego Bydgoszcz zasługuje na tytuł Zielonej Stolicy Europy?

Rafał Bruski: Naszą siłą jest kompleksowe podejście do tematu, czyli konsekwentna realizacja dużych projektów proekologicznych. Bydgoszcz jako pierwsze miasto w Polsce na tak ogromną skalę zaangażowało się w uporządkowanie gospodarki wodno-ściekowej. Niemal wszyscy mieszkańcy mają w kranach bardzo czystą i wysokiej jakości wodę, a tylko 2 proc. mieszkańców nie ma jeszcze uporządkowanej gospodarki ściekowej – to ewenement na skalę kraju. Oczywiście, to nie stało się od razu i bez kosztów. Wiemy doskonale, że inwestycje w ekologię, niezwykle potrzebne, są też bardzo kosztowne.

Jednym z kryteriów oceny kandydatów do tego prestiżowego miana jest realizacja przyszłościowej polityki środowiskowej. Jakimi eko-innowacjami wyróżnia się Bydgoszcz?

R.B.: Przystępujemy do kompleksowego uporządkowania gospodarki odpadami – budujemy Zakład Termicznego Przekształcania Odpadów Komunalnych. Słowo „spalarnia” budzi jeszcze wiele negatywnych emocji. W Europie Zachodniej ten sposób przekształcania odpadów jest jednak standardem. Możemy pochwalić się także unikatowym rozwiązaniem trzech linii tramwaju wodnego; dwie z nich obsługiwane są przez nowoczesne jednostki o napędzie solarnym. Ponadto aż 20 proc. paliw stosowanych w pojazdach komunikacji zbiorowej oraz przez Komunalne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej stanowią biopaliwa. Sukcesywnie zamieniamy zwykłe żarówki w sygnalizacjach świetlnych na LED-y, a latarnie rteciove zastępujemy wysokoprężnymi

lampami sodowymi. Długo by jeszcze wymieniać, bo na wielu poziomach zarządzania myślimy o ekologii.

Miasto uczestniczy w projekcie współfinansowanym z funduszy LIFE, realizującym działania na rzecz ograniczenia emisji gazów cieplarnianych. Jakie są doświadczenia tej współpracy?

R.B.: Projekt LAKS skupia się na odpowiedzialności za realizację celów Protokołu z Kioto. Projekt ma na celu przeciwdziałanie zmianom klimatu związanym z globalnym ociepleniem przez zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych. Łącznie w międzynarodowym projekcie, wartym 1,3 mln euro, bierze udział pięciu partnerów. Liderem projektu jest Reggio Emilia (Włochy). Ponadto w projekcie uczestniczą Padwa (Włochy), Girona (Hiszpania), a także Regionalna Agencja Ochrony Zdrowia i Środowiska w regionie Emilia Romagna (Włochy) oraz Bydgoszcz. Przede wszystkim dzięki projektowi dokonaliśmy inwen-

Zielone Stolicy Europy

2010
Sztokholm (Szwecja)
2011
Hamburg (Niemcy)
2012
Vitoria-Gasteiz (Hiszpania)
2013
Nantes (Francja)



Rafał Bruski, prezydent Bydgoszczy

taryzacji emisji gazów cieplarnianych za lata 2005–2009. To pozwoliło nam opracować szereg działań mających na celu zmniejszenie tych emisji o 18,7 proc. do 2020 r.

Bydgoszcz to bardzo zielone miasto, pełne naturalnych walorów przyrodniczych, w tym również chronionych przez sieć Natura 2000. Jak można to wykorzystać w zarządzaniu samorządem?

R.B.: Pieniądże wydane na ekologię są sporym, ale opłacalnym nakładem. Wracają do nas w postaci turystów, którzy cenią nasze miasto za ilość obszarów zieleni w centrum miasta czy za największy w kraju park miejski, jakim jest Myślęcinek (ponad 800 ha). Bydgoszcz położona jest nad dwiema rzekami: Brdą, przepływającą przez ścisłe centrum, i Wisłą. Nad Brdą jeszcze kilkanaście lat temu nikt nie chciał nawet spacerować, bo bardziej przypominała zielony... ściek. Dziś budujemy bulwary spacerowe, a otoczona wodami Brda i tzw. Młynówki Wyspa Młyńska to miejsce, w którym bydgoszczanie i goście najchętniej wypoczywają.

Natura 2000 w sąsiedztwie Bydgoszczy

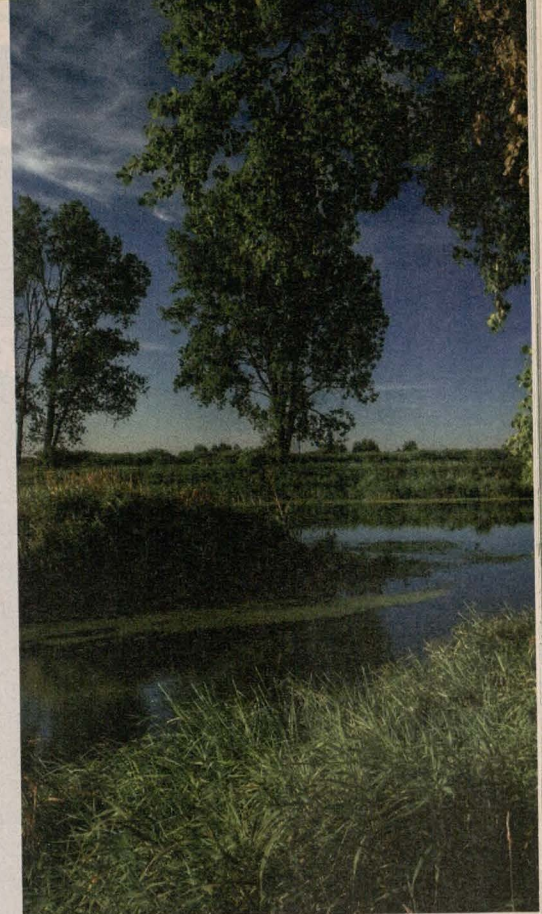
Aż 1060 hektarów leżących w granicach Bydgoszczy objętych jest europejską siecią Natura 2000. Zachodnią część miasta znajduje się w granicach obszarów Natura 2000 Dolina Środkowej Noteci i Kanału Bydgoskiego oraz Dolina Noteci. Na całym tym terenie występuje co najmniej 18 gatunków ptaków zagrożonych w skali Europy. Szczególne znaczenie mają populacje podróżniczka i derkacza. Obszar ten jest też korytarzem migracyjnym o znaczeniu międzynarodowym. W czasie wędrówek spotyka się tu dużą liczbę łabędzi czarnodziobych i krzykliwych, gęsi zbożowych i białoczelnych oraz siewek złotych i czajek.

Głównym zagrożeniem są zmiany stosunków hydrologicznych, zaniechanie pastersko-ląkarskiego użytkowania terenów zajętych przez użytki zielone, a na stawach rybnych zarówno zaniechanie, jak i intensyfikacja gospodarki stawowej. Ponadto jednym z istotnych zagrożeń dla walorów tego niezwykłego miejsca jest zanieczyszczenie wód, zwłaszcza substancjami pochodzenia rolniczego i przemysłowego oraz ściekami komunalnymi. Dlatego

prowadzone przez władze Bydgoszczy inwestycje w uporządkowanie gospodarki wodno-ściekowej nie tylko podnoszą komfort życia mieszkańców miasta, ale korzystnie wpływają też na realizację programu ochrony cennych przyrodniczo terenów Doliny Środkowej Noteci i Kanału Bydgoskiego.

Wschodnią część Bydgoszczy leży na terenie dwóch innych obszarów Natura 2000 – Soleckiej Doliny Wisły oraz Doliny Dolnej Wisły. Wisła na tych odcinkach zachowała swój naturalny, nieregulowany bieg. Gdy stan wody jest niski, z koryta rzeki wynurzają się piaszczysto-muliste łachy. Gdy zaś woda wzbiera, nabrzeżne kępy stają się wyspami. Występują tu starorzecza i naturalne obszary zalewowe. Dlatego też w okresie lęgowym występują tu takie gatunki ptaków jak bielik, derkacz, rybitwa białoczelna, rybitwa rzeczna, jarzębka, a w okresie migracji i zimowania licznie spotykane są tu siewka złota, czajka, gągół, nurogęs czy kulik wielki. Spośród występujących tu gatunków ryb szczególnie cenne są: kiełb białopłetwy, koza, różanka oraz reintrodukowany łosoś atlantycki.

Bogactwo przyrody nad Notecią



Fundusze LIFE dla samorządów

Bydgoszcz, wspólnie z partnerami z Włoch i Hiszpanii, za unijne pieniądze realizuje projekt ograniczenia emisji dwutlenku węgla. Z funduszu LIFE korzystać mogą także inne polskie samorządy. Oto dobre przykłady wykorzystania tego wsparcia.

Zielony transport publiczny Prowincja Viterbo, Włochy

Władze włoskiego regionu Viterbo postanowiły zastąpić autobusy spalinowe pojazdami niskoemisyjnymi, napędzanymi biopaliwami i energią elektryczną z baterii słonecznych. Dzięki pomocy finansowej z funduszy LIFE lokalne samorządy zakupiły dwa zakłady produkcji biopaliw. Przedsiębiorstwa te z zużytych olei roślinnych produkują rocznie ok. 1500 litrów paliwa, co wystarcza do zasilenia floty autobusów hybrydowych. Akumulatory w tych pojazdach ładowane są zaś energią elektryczną pochodzącą z dwóch ogniw fotowoltaicznych, przetwarzających energię słoneczną w prąd. W ciągu dwóch lat ekologiczne autobusy w Viterbo przewiozą 20 tys. pasażerów.

Mniej śmieci na wysypisku Niort, Francja

Jak skutecznie przekonać mieszkańców, by kupowali produkty w ekologicznych opakowaniach i w ten sposób ograniczali ilość odpadów trafiających na lokalne wysypisko śmieci? Władze gminy Niort we Francji rozesłały do 160 tysięcy gospodarstw domowych praktyczny przewodnik dla konsumentów wraz z... 69 bonami zniżkowymi na ponad 100 ekologicznych produktów! Mieszkańcom udostępniono też listę 500 zakładów i warsztatów, w których można naprawić zużyty sprzęt elektryczny, zamiast wyrzucać go na śmietnik i zastępować nowym. Ponadto na 3451 osiedlach zamontowano kompostowniki do przetwarzania odpadów organicznych, np. resztek jedzenia.

Oszczędności wody Ceuta, Hiszpania

Władze położonej w północnej Afryce hiszpańskiej eksklawy Ceuta postanowiły ograniczyć straty pitnej wody, która szczególnie deficytowa w tej części świata. W 3800 gospodarstwach domowych zamontowano elektroniczne wodomierze wraz z oprogramowaniem pozwalającym śledzić w komputerze bieżące zużycie, a tym samym znajdować potencjalne możliwości jego ograniczenia. W rodzinach, u których testowano nowy system, pobór wody spadł aż o 10 proc. Ponadto szczegółowym badaniom poddano cały system lokalnej kanalizacji – zdiagnozowane przecieki usuwano za pomocą nowoczesnych technologii, ograniczając hałas i minimalizując prace ziemne.

MACIEJ ANDRZEJ LESZCZYŃSKI

Powstali z popiołów

Tomasz Wróblewski, zwolniony redaktor naczelny dziennika „Rzeczpospolita”, przyznaje, że z powodu afery trotylowej rozsypało się 26 lat jego pracy zawodowej. **Czy jeden skandal może bezpowrotnie pogrzebać postać publiczną?** Bywa. Ale zdarza się też, że dzięki odpowiedniej strategii można wrócić na szczyt.

W oświadczeniu zamieszczonym na YouTube (133 tys. wyświetleń w tydzień) Wróblewski opowiada o zdarzeniach poprzedzających publikację feralnego tekstu. Tego o obecności trotylu na wraku tupolewa. Opowiada własną wersję wydarzeń, przyznaje, że mógł działać ostrożniej i... znika. Poza tym jednym, wyreżyserowanym i w pełni kontrolowanym przez niego wystąpieniem nie zabiera głosu w szalejącej w mediach debacie. Co będzie dalej z Wróblewskim, Cezarym Gmyzem, Bartoszem Marczukiem i Mariuszem Staniszewskim, którzy zostali odesłani po publikacji tekstu z wilczym biletem? To w dużym stopniu zależy od nich samych.

Podobne historie spektakularnych upadków w branży politycznej i rozrywkowej uczą, że dzięki odpowiednim trikom akcja ratowania wizerunku może się powieść. Podstawa to dobre wychowanie. Niby rzecz oczywista, ale nie wszyscy zdają się wiedzieć, że za popełnione błędy i wyrządzone szkody należy przeprosić. Druga ważna rzecz: postępować zgodnie z instynktem samozachowawczym – schować się w mysiej dziurze i czekać, aż burza minie. Na razie strategia Wróblewskiego jest więc poprawna. Jednak dopiero zastosowanie trzeciej zasady to klucz do sukcesu. Po publicznym wyrażeniu skruchy i usunięciu się w cień trzeba wpaść na zupełnie nowy pomysł na siebie i nie bać się wrócić na salony już w no-

wej odsłonie. Alternatywą, szczególnie popularną w polskich realiach, jest beczynne czekanie i liczenie na cud. Jednak, jak pokazują przeanalizowane przez nas przykłady, na happy end mogą liczyć przede wszystkim aktywni winowajcy.

Niezwyczajny przypadek Eliota Spitzera

Rok po skandalu i rezygnacji ze stanowiska gubernatora Nowego Jorku Eliot Spitzer powrócił i czaruje. Pełno go na bankietach, choć dziś zjawia się na nich w pojedynkę, już bez wianuszka prostytutek i podejrzanych

Pierwszym krokiem do odbudowy wizerunku jest wyrażenie skruchy. Im wcześniej opinia publiczna usłyszy słowo „przepraszam”, tym prędzej gotowa jest dać winowajcy drugą szansę.

maklerów. Ironicznie nazywany Sze-ryfem z Wall Street albo Klientem nr 9 (od wpisu w notatniku jednego z nowojorskich sutenerów), Spitzer prezentuje inną twarz. Dziś mieni się ekspertem od skomplikowanych transakcji giełdowych oraz społecznych problemów w kryzysie. To obecnie jeden z najbardziej poczytnych komentatorów na popularnym portalu Slate.

W rocznicę własnego skandalu wystąpił w najpopularniejszym programie „Today Show”, gdzie w trzy minuty uporał się z pytaniem o rozwiązłą przeszłość, płynnie przeszedł do kryzysu na rynkach finansowych i anomalii społecznych. Następnego dnia pojawił się w popularnym poranku MSNBC „Morning Joe”, gdzie rozprawiał o nowych lewarach giełdowych. Ani słowa o jego podejrzanych kontaktach z oszustami giełdowymi i uprawianiu seksu w rozpędzonym samochodzie z Bostonu do Nowego Jorku.

Spitzer sam sobie wytyczył strategię odbudowy wizerunku. Zamiast poprosić o pomoc ekspertów medialnych i specjalistów od wprowadzania tylnymi drzwiami na salony, przez dwa tygodnie studiował przypadki wielkich poprzedników – Billa Clintona, Mike’a Tysona i Marthy Stewart.

Pierwsze, co zrobił, to uznał swoje błędy. Uwaga – błędy, a nie winy. Błędzimy, bo zabrakło nam siły charakteru albo utraciliśmy trzeźwe spojrzenie, ale w tym wszystkim nikogo nie chcieliśmy skrzywdzić. Przy czym całą winę Spitzer wziął na siebie (podobnie jak biskup Jarecki, który przyznał się, że prowadził pod wpływem alkoholu). Nie próbował racjonalizować problemów ani zrzucać odpowiedzialności na innych. Nie odszczekiwał się. Natychmiast odszedł z urzędu, spakował się i z podniesioną głową opuścił gabinet. Następnego dnia zatrudnił

się w firmie ojca na stanowisku analityka rynku nieruchomości. Media doniosły, że zapisał się z żoną na terapię, i wszelki słuch po nim zaginął.

Żal i pokuta

Trudno powiedzieć, czy strategia Spitzera sprawdziłaby się w każdej szerokości geograficznej. Amerykanie głęboko wierzą, że każdemu człowiekowi należy się w życiu druga szansa. Są oni przekonani, że porażka buduje nasz charakter. W niezwykle interesującym opracowaniu przygotowanym na potrzeby kryzysowe Partii Republikańskiej jej główny strateg, psycholog Mark

Prezydent Richard Nixon (1913–1994) utracił władzę po aferze Watergate. Nigdy nie wrócił na szczyty, ale po kilku latach przestał być dla opinii publicznej wyłącznie czarnym charakterem.

McKinnon, napisał: „Wyborcy wybaczą ci, pod warunkiem że wbijesz się na własną szpadę, przeczołgasz się po potłuczonym szkle i przez rok będziesz się ubierał na czarno”.

Bob Ney, były kongresmen z Ohio, który odsiedział wyrok za przyjmowanie prezentów od lobbystów, po ujawnieniu afery natychmiast przyznał się do błędu. Przed kamerami poprosił o szybki proces i o sprawiedliwy wyrok. Ta medialna skrucha bardzo się Neyowi opłaciła. W październiku, za ledwie osiem miesięcy po wyjściu z więzienia, podpisał kontrakt na autorski program radiowy.

Więzienie, na pozór upokarzające, z PR-owskiego punktu widzenia ma swoje dobre strony. Pozwala zniknąć z pola widzenia. A po wyjściu z za krat odpowiadać: „Ja swoje winy odpokutowałem. A ty?”. Ale przecież nie wszyscy trafiają do więzienia. „Jeżeli nie mieliście tyle szczęścia, żeby dostać wyrok z odsiadką, zachowujcie się, jakbyście tam siedzieli” – pisał Ed Rollins, doradca innej skandalistki, Marcie Stewart, twórczyni lifestyle’owego imperium, autorce programów i książek kulinarnych. W 2004 r. Stewart została skazana na rok więzienia za utrudnianie śledztwa w sprawie nielegalnej transakcji giełdowej.



BOB GOMEL/CORBIS

Zdaniem Rollinsa na szczególną uwagę i odrębne studia, jeżeli oczywiście odbudowa wizerunku jest nauką, zasługuje przykład Richarda Nixona i Billa Clintona. Obaj sięgnęli dna i wrócili z przytupem. Nixon, dzięki książkom i komentarzom, prezentował się jako niezwykle przenikliwy obserwator sceny politycznej. Dziś to przykład mistrza, który potrafił wyciągnąć wnioski z największego skandalu politycznego w historii USA.

W przypadku Clintona receptą okazała się globalna fundacja pomocy biednym i chorym. Angażując się w problemy światowe, odsunął od siebie wizerunek erotomana. Jeżeli się pojawiał w mediach, to tylko jako mąż stanu, który dba o dobre imię Ameryki w najodleglejszych miejscach globu.

Nowe szaty pani minister

Anna Kalata, która przez 15 miesięcy była ministrem pracy z Samoobrony w czasach koalicji z Prawem i Sprawiedliwością oraz LPR, nigdy specjalnie nie narozrabiała. Ale korpulentna szatynka w okularach jako minister nie miała łatwego życia. Media nie pozostawiały na niej suchej nitki. Uznano, że jest niezbyt mądra i nie nadaje się na kierowanie ministerstwem, choć wcześniej skończyła studia doktoranckie w SGH i prowadziła własną firmę. Wyśmiewano też jej wygląd – w szczególności fryzurę w kok i grzywkę. – To nie były miłe czasy, ale uznałam, że to cena bycia osobą publiczną – wspomina Kalata.

Po upadku koalicji PiS-Samoobrona-LPR w 2007 r. Kalata całkowicie zniknęła z oczu obserwatorom sceny politycznej. I może nikt nigdy nie dowiedziałby się o jej niezwyklej metamorfozie, gdyby nie zaproszenie jednej z telewizji śniadaniowych do programu o Indiach. Kalata była już wówczas panią wiceprezes Indyjsko-Polskiej Izby Gospodarczej, którą założyła ze znajomymi Hindusami. Ale to jedna strona jej przemiany – oprócz tego była ministrem pracy nauczyla się angielskiego, zrzuciła 38

kg, rozpuściła włosy, ufarbowała je na jasny blond, zrezygnowała z grzywki, a granatową garsonkę zastąpiła złotoczerwonym sari. Szara urzędnicza mysz stała się kolorowym ptakiem, który olśnił te same, wcześniej nieżyczliwe media. Wydawca programu, który ją zaprosił, nie wierzył własnym oczom i zażądał, by oprócz Indii porozmawiać też o metamorfozie by-

niami. Mnie pomogły medytacje i joga – twierdzi pani minister.

Po burzy cisza

Czas i odległość od miejsca „zbrodni” zwykle wystarczą, żeby zatrzeć ślady w pamięci społecznej. Według Rollinsa ludzie po roku od skandalu pamiętają sprawę, ale zapominają o jej szczegółach. Nasza nieobecność pomoże



CAP/PL/FORUM

Roman Polański spędził w areszcie domowym 10 miesięcy. Ten czas poświęcił na nakręcenie autobiograficznego dokumentu.

Tomasz Kammel potrzebował roku, by wydostać się z medialnego niebytu i wrócić do pracy w telewizji.

lej minister. Potem był triumfalny pochód przez tabloidy, portale internetowe, telewizje śniadaniowe i programy rozrywkowe, aż do udziału w „Tańcu z gwiazdami”, w którym Kalata wystąpiła oczywiście w roli gwiazdy.

– Nie przypuszczałam, że zrzucenie 38 kg i zmiana fryzury mogą mieć dla kogoś takie znaczenie, ale cieszę się, bo okazało się, że dla wielu kobiet mogę być inspiracją – mówi Kalata w rozmowie z „Przekrojem”. Nie kryje jednak, że wyjście z życiowego zakrętu nie jest łatwe. – Trzeba mieć dużo samozaparcia i nie zrażać się niepowodze-

w namnożeniu się dwuznaczności. Często się zdarza, że tabloidy, nie mając dostępu do „złych” bohaterów, zaczynają szukać pobocznych wątków, które z czasem przykrywają główną opowieść. „Nasz umysł jest bardzo wybiórczy. Skandal był, ale o co w nim chodziło?” – tłumaczy Rollins. Jeżeli opinia publiczna nie pamięta, zaczyna sobie wmawiać, że rzecz była sztucznie rozdmuchana przez media. Ludzie mają wówczas tendencję do przerzucania odpowiedzialności na telewizję i gazetę.

Taką właśnie strategię zastosowała Kate Moss, brytyjska ikona mody.

W 2005 r. została przyłapana na zażywaniu kokainy. Wybuchł skandal. Kilka domów mody zerwało z nią kontrakty, a media wieszczyły koniec jej kariery. Moss się nie załamała. Nie wykonała żadnych nerwowych ruchów, nie roniła łez i nie użalała się w wywiadach. Zamiast tego odmawiała komentarzy. Czas mijął i w końcu sprawa przycichła, a ona triumfalnie wróciła na światowe



MARCIN DŁAWICHOWSKI/FORUM

nych działań prewencyjnych. Odmówił wywiadów i rozmów z terapeutami. Nie robił nic, nikogo nie przeproszał. Przeciwnie, co niedzielę z nową żoną chodził do kościoła, a oboje udzielali się w parafii. Gingrich twardo przestrzegał jednak pierwszej zasady wyciągania się z wizerunkowego szamba – siedział cicho. Dotąd wszystko było jak z podręcznika. Ale Gingrichowi najwyraźniej nie spodobała się dobra passa, więc wystartował w wyborach prezydenckich. A wiadomo – to konkurencja, w której przeciwnicy lubują się w wypominaniu starych grzechów. W przypadku Gingricha historia powróciła. Nic więc dziwnego, że polityk przepadł w republikańskich przedbiegach. Nie posłuchał Rollinsa, który radzi: „Jeśli wrócisz, nie próbuj być tym, kim byłeś”. Nigdy w tej samej roli społecznej, w jakiej cię przyłapano. I nie ważne, czy była to zdrada, oszustwo, kradzież, czy po prostu głupota.

Spitzer skrócił roczną kwarantannę zalecaną przez ekspertów, ale tylko z uwagi na swoje doświadczenia giełdowe. Mało kto znał się tak dobrze na machinacjach finansowych. Czas okazał się dla niego idealny. Kryzys spowodował, że rynek szukał nowego autorytetu. Samo to, że wraca z niebytu, czyniło z niego godnego uwagi eksperta. Ironiczne określenie Szeryf z Wall Street nabrało nowego znaczenia. Mało kto pamiętał, o co chodziło z tym szeryfem, dlatego na wszelki wypadek do dziś słuchają. I będą słuchali go tak długo, aż nie przyjdzie Spitzerowi do głowy, by ponownie spróbować szczęścia w polityce czy prokuraturze.

Wielkie polskie rezurekcje

We wrześniu 2009 r. Roman Polański, na polecenie amerykańskiej prokuratury, został zatrzymany w Szwajcarii. Dopadła go historia z 1978 r., gdy został oskarżony o uprawianie stosunków seksualnych z 13-latką i – zamiast stawić się przed sądem – uciekł do Europy. Odgrzanie tej historii wywołało burzę na całym świecie. Polański spędził 10 miesięcy w areszcie domowym

i – jak się później okazało – poświęcił ten czas na nagranie arcykiekawego, momentami wstrząsającego dokumentu „Roman Polański: moje życie”. Nie tylko więc wyszedł obronną ręką z życiowego kryzysu, ale na dodatek przekuł go w sukces. Trzeba jednak pamiętać, że osobie sławnej, bogatej i otoczonej wpływowymi przyjaciółmi, a Polańskiemu mimo kryzysu ich nie brakowało, łatwiej pokonać przeciwności losu. Gorzej, gdy trzeba się z nimi zmagać w samotności.

Takiej sytuacji doświadczył Leszek Miller, dzisiejszy szef SLD, były premier, który po aferze Rywina spadł w polityczny niebyt ze szczególnie wysokiego konia. Jego dymisję z funkcji

Niezastąpione „przepraszam”



Anna Garwolińska
prezes firmy Glaubicz-Garwolińska Consultants specjalizującej się w zarządzaniu kryzysowym

Trudno podać jeden, uniwersalny przepis na wyjście obronną ręką z każdego kryzysu, ale słowo „przepraszam”, wypowiedziane w odpowiednim momencie, uratowało już niejedną osobę publiczną i firmę. Toyota, która w 2010 r. wyprodukowała tysiące samochodów z wadliwą skrzynią biegów, przeprosiła i mimo że kryzys związany z tą wpadką trwał kilka miesięcy, ogólna sprzedaż firmy nie ucierpiła.

Umiejętność przyznania się do błędu i przeprosiny są skuteczne w ratowaniu reputacji zarówno w Japonii, jak i na całym świecie, także w Polsce. Taką mamy naturę, pod wieloma względami podobną do zwierzęcej. Kiedy jeden z dwóch warczących na siebie psów pokaże podbrzusze, ten drugi go już nie zaatakuję. My też możemy w ten sposób uniknąć ataku, a słowo „przepraszam” może nas wręcz wzmocnić, obrócić złe emocje przeciwnika czy krytyka, który nie może nam darować jakiegokolwiek wpadki, gąfy czy błędu, na naszą korzyść. Tracimy tylko wtedy, kiedy w zaciętrzewieniu nie potrafimy się wycofać.

Innym skutecznym sposobem radzenia sobie z kryzysem jest pokazanie, że mamy do swoich błędów dystans. Można też spróbować zamienić wpadkę w chętnie opowiadaną przez innych anegdotę. Wszyscy pamiętamy gafę, którą popeliła żona byłego premiera Leszka Millera. Goszcząc japońską parę królewską, wystąpiła w różowej sukience z nadrukiem „Love”. Premier odpowiedział wówczas wszystkim krytykom słowami: „Przecież się z tego powodu z moją żoną nie rozwiodę”. Zyskał w ten sposób sympatię wielu kobiet, a krytyka ucichła.

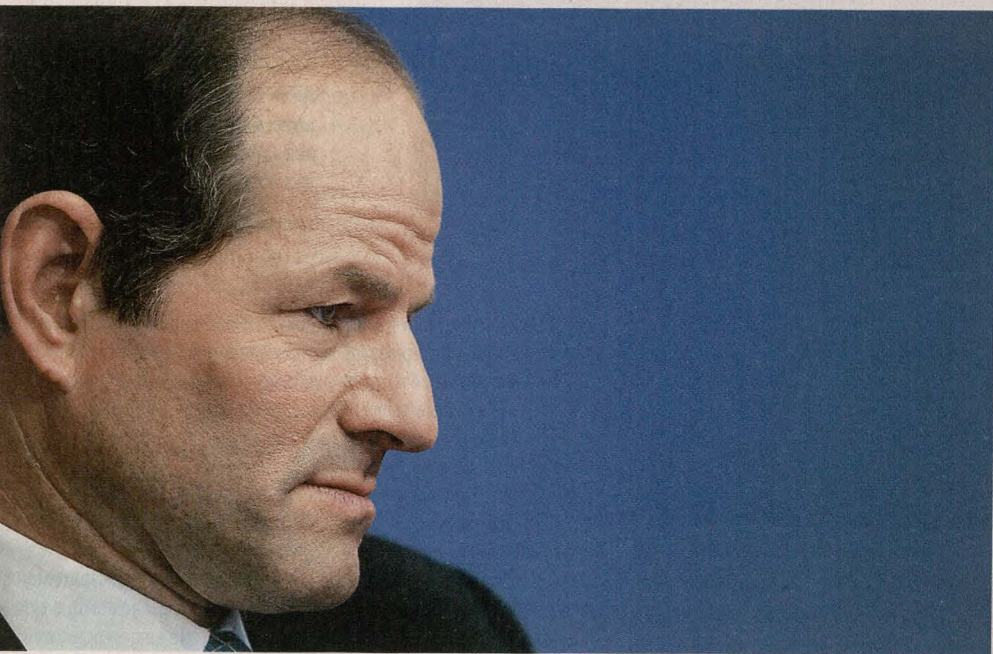
Z kryzysem poradził sobie też znakomicie Jeffrey Archer, brytyjski pisarz, który z powodu finansowych przekrętów przesiedział dłuższy czas w więzieniu. Kiedy wyszedł na wolność, w zabawny sposób opisał odsiadkę w następnej książce. Na dodatek nieźle na tym zarobił.



NEIL MCKEON/FILMMAGIC/GETTY IMAGES/FPM

dnia czeka się na jakieś wydarzenie, które to zmieni, a ono nie nadchodzi, za to kłopoty narastają – opowiada premier. I nie kryje, że w takiej sytuacji łatwo podejmować błędne decyzje. W jego przypadku był to krótkotrwały związek z Samoobroną. – Zgubiła mnie pycha. Sądziłem, że mam takie nazwisko i dorobek, że to o mnie będą zabiegać, tymczasem okazało się, że to wszystko nie ma znaczenia – mówi.

Miller odbił się jednak od dna. Wrócił do SLD, a potem zdobył mandat poselski i ponownie został szefem Sojuszu. Jak to się robi? – Trzeba być cierpliwym, bo czasami potrzebny jest pomyslny splot okoliczności, na co można długo poczekać – wylicza Miller.



BRENDAN McDERMID/REUTERS/FORUM

szefa rządu w 2004 r. poprzedziła seria afer. To o nim krążyło powiedzenie: „Lepiej być zerem niż Leszkiem Millerem”. Po odejściu z urzędu premiera z dnia na dzień stał się polityczną persona non grata. Media nie chciały z nim rozmawiać i nawet własna partia patrzyła na niego z niechęcią. Co wtedy czuł?

– Poczucie klęski jest niesłychanie dojmujące. Nic się nie udaje, każdego

W 2005 r. Kate Moss została przyłapana na zażywaniu kokainy. Wystarczyło kilka miesięcy, by świat mody jej wybaczył.

Eliot Spitzer, gubernator Nowego Jorku, po skandalu rzucił politykę i zajął się światem finansów. Z powodzeniem.

– Trzeba być walecznym, bo jak się człowiek podda, to już nie ma dla niego nadziei. Przyda się też oczywiście odrobina szczęścia.

Przypadek Millera jest zaprzeczeniem tezy Eda Rollinsa: nie wracaj tam, gdzie nabroiłeś. Podobna sztuka udało się nie tylko jemu. Tomasz Kammel, jeden z najbardziej znanych prezenterów telewizyjnych, był prawdziwą gwiazdą, telewizja pokochała go od pierwszego

wejrzenia, a on to wykorzystał i błyskawicznie piął się po szczeblach kariery. Było go wszędzie pełno – prowadził programy telewizyjne i ważne eventy. Zniknął z ekranu w 2009 r. w atmosferze skandalu. Został oskarżony o to, że zachował się nieetycznie, prowadząc szkolenia medialne w banku, w którym kierownice stanowisko pełniła jego partnerka życiowa Katarzyna Niezgoda.

W wywiadzie dla „Gali” twierdził, że padł ofiarą nikczemnego, głupiego spisku. „W prasie i na plotkarskich portalach czytałem o sobie niestworzone rzeczy. Człowiek w takiej sytuacji popada w lęk, którego nie potrafi opanować. (...) Jesteś w wiecznym napięciu, skulony zadajesz sobie pytanie: co złego jeszcze się stanie? Serce kołacze, zasycha w gardle. Te objawy ustępują tylko wtedy, gdy przystępujesz do walki ze strachem” – opowiadał Kammel.

Przez rok żadna stacja nie chciała go zatrudnić. Dostał jednak szansę powrotu i dziś znowu błyszczy w telewizji. Po tych doświadczeniach napisał książkę „Jak występować publicznie i nie tylko”. Wielokrotnie podkreśla w niej odkrywczą radę: „uwierz w siebie”.

Uwierzył w siebie Włodzimierz Czarzasty, były wszechwładny sekretarz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i jedna z najbardziej wpływowych osób w polskich mediach. W 2003 r. dopadła go, podobnie jak Millera, afera Rywina i na długie lata zmiotła go z życia publicznego. Czarzasty został uznany przez Zbigniewa Ziobrę za członka tzw. grupy trzymającej władzę, która wysłała Rywina z korupcyjną propozycją do Adama Michnika. I choć nikomu z tej grupy tego nie udowodniono, nazwisko Czarzasty latami było wymieniane jednym tchem z aferą Rywina.

– O mnie i Leszku Millerze mówiono, że jesteśmy niewybieralni. Starano się nas marginalizować, a jednak wywalczyliśmy swoje – mówi Czarzasty, który dziś jest szefem mazowieckiego SLD, a za dwa lata zamierza walczyć o mandat poselski i jest przekonany, że go zdobędzie. Ale, zdaniem Czarzastego, takie doświadczenia są pouczające, bo z naj-

gorszej sytuacji można wyciągnąć coś dla siebie. – Gdy zostałem członkiem grupy trzymającej władzę, moja rozpoznawalność wzrosła o 80 proc. – śmieje się Czarzasty.

Najwyraźniej z tego samego założenia wyszedł Roman Giertych, były lider LPR i założyciel Młodzieży Wszechpolskiej, a także były wicepremier i nienawidzony minister edukacji. W czasie jego urzędowania mainstreamowe media atakowały go za to, że chce wyrzucić Witolda Gombrowicza z kanonu lektur szkolnych, że chce tworzyć getta dla niegrzecznych uczniów, że ciągnie za sobą członków Młodzieży Wszechpolskiej, którzy w młodości bawili się w neofaszystów.

Internet oszalał ze szczęścia, gdy Giertych w „Kropce nad i” powiedział, że autorem „Naszej szkapki” jest Henryk Sienkiewicz, a nie Maria Konopnicka. Gdy LPR wypadła ze sceny politycz-

nej, nikt po niej nie płakał. Giertych też twierdził, że nie płacze po polityce. Ale wyraźnie ciągnie wilka do lasu. Niegdyś konserwatywno-narodowy bojownik dziś złagodził swoje poglądy i ulokował się w nurcie bliskim Platformie Obywatelskiej, a nawet pokajał się, stwierdzając w „Gazecie Wyborczej”, że niektóre jego wypowiedzi były zbyt ostre. Został za to nagrodzony sympatią tych samych mediów, które kiedyś z lubością go zwalczały.

Właśnie pojawił się kolejny winowajca. To David Petraeus, emerytowany generał i były już szef CIA, którego romans z 40-letnią biografką wywołał w Ameryce gigantyczny skandal. Petraeus natychmiast ustąpił ze stanowiska i przyznał, że zawałił na całej linii, po czym dodał, że nie zasługuje na swoją żonę. Pierwszy krok w drodze powrotnej na szczyt zrobiony.

Martha Stewart trafiła do więzienia w 2001 r. Dziś znów jest przykłądną obywatelką i bizneswoman.



PETER KRAMER/GETTY IMAGES/FPM

REKLAMA

PRZEKROJ

patronuje

plusCAMERIMAGE

XX Międzynarodowy Festiwal Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych

David Byrne

24.11-1.12.2012

Bydgoszcz, Opera Nova

www.pluscamerimage.pl

Honorowy Patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego

ZREALIZOWANO Z UDZIAŁEM ŚRODKÓW URZĘDU MIASTA BYDGOSZCZY, MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, POLSKIEGO INSTYTUTU SZTUKI FILMOWEJ, WOJEWÓDZTWA KJAWSKO-POMORSKIEGO ORAZ PRZY WSPARCIE PROGRAMU MEDIA UNI EUROPEJSKIEJ

SPONSORZY I PARTNERZY OFICJALNI

BYDGOSZCZ, Kultura i Dziedzictwo, MEDIA, ARRI, CONSUM, Kodak, SONY, TELEWIZJA POLSKA, OSRAM, Panasonic, Discovery, PIP, INTERVIEW, LIGHTER

WYDARZENIE WSPÓLFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW EUROPEJSKIEGO FUNDUSZU ROZWOJU REGIONALNEGO W RAMACH REGIONALNEGO PROGRAMU OPERACYJNEGO WOJEWÓDZTWA KJAWSKO-POMORSKIEGO NA LATA 2007-2013 ORAZ BUDŻETU WOJEWÓDZTWA KJAWSKO-POMORSKIEGO

plus



ANNA POLAT

Żydówka z wyboru

Kiedy jechałam windą na spotkanie z rabinami, czułam, jak mi dygoczą kolana. Rabin Maller chyba to zauważył, bo powiedział: „Nie przejmuj się, **my groźniej warczymy, niż gryziemy**”. Dwa piętra wyżej czekała komisja, która miała zdecydować, czy zostanę Żydówką.

Krakowski Kazimierz. Kilkanaście godzin wcześniej zameldowaliśmy się w hotelu razem z moim izraelskim narzeczonym. Był późny wieczór, wokół knajpki gwarno, dużo młodych ludzi. Tal, wykończony

ny podróżą, kategorycznie odmówił udziału w życiu nocnym i padł do łóżka. Przed zaśnięciem zdążył jeszcze wskazać jedyne w pokoju okienko nad podłogą i stwierdzić z wisielczym humorem, że czuje się, jakby grał w „Li-

ście Schindlera”. W nerwowym oczekiwaniu na nadchodzący dzień bejt dinu, czyli religijnego sądu, zabrałam się za powtarzanie modlitw. Wertowałam notatki świadoma, że nauka w judaizmie nigdy się nie kończy – jednym

z najważniejszych micwot, czyli przykazań, jest studiowanie Tory. Ale samo to nie wystarczy, aby zostać dopuszczonym do konwersji. Najpierw trzeba znaleźć synagogę i rabina, który nas przygarnie. I, co jeszcze trudniejsze, któremu my damy się z ochotą przygarnąć.

Moja reforma

Kiedy podjęłam decyzję o przejściu na judaizm, wiedziałam, że musi się ono odbyć w nurcie reformowanym. Nie dla mnie ortodoksja, która zawsze kojarzyła mi się z chasydzką lisią czapą, Żydem z pieniążkiem i grubą mamele w peruce. Jak wiadomo, stereotypy nad Wisłą mają się dobrze, więc kiedy informuję znajomych o mojej decyzji, kolega z pracy pyta żartobliwie, kiedy zapuszczę pejsy. Równie dobrze mógłby zapytać, czy wyhoduję brodę.

W Polsce zajęcia przygotowujące do konwersji reformowanej prowadzi Związek Postępowych Gmin Żydowskich Beit Polska. Założnikiem tej organizacji był Beit Warszawa, od 2003 r. członek Światowej Unii dla Judaizmu Postępowego, działający jako stowarzyszenie kultury żydowskiej. Nie tej jarmarcznej, dziadowskiej, z piosenek o miasteczkach, których już nie ma, bo okrył je niepamięci kurz, ale tej bliższej światu Hanocha Levina czy Etgara Kereta. Takiej, którą z Polską łączy nie tylko widmo krematoriów, ale na przykład genialne inscenizacje sztuk w polskich teatrach.

Synagoga reformowana Beit Warszawa, od 2009 r. widniejąca w rejestrze kościołów i innych organizacji wyznaniowych, znajduje się kilka kroków od meczetu przy ulicy Wiertniczej. Wygląda niepozornie, zupełnie nie jak świątynia: pośrodku dużej sali rzędy krzeseł, pod ścianami regały pełne książek, głównie w języku angielskim, sporo dzieł żydowskich filozofów. Na ścianach współczesne malarstwo. Inicjatorem i dobrym duchem tego miejsca jest Seweryn Aszkenazy, urodzony w Tarnopolu polski Żyd, któ-

ry większość życia spędził w Kalifornii. Filantrop, wizjoner. „Nie mamy rogów, nie przerabiamy dzieci na macę. Jesteśmy zwykłymi ludźmi” – mówi ładną polszczyzną, z delikatnym wschodnim zaśpiewem, w telewizyjnym programie Jarosława Gugały. „U nas drzwi są otwarte. Ci, którzy nie są Żydami, powinni wreszcie zobaczyć, jak to prawdziwe żydostwo wygląda”.

Po raz pierwszy przyszedł tu sama. Nie znałam nikogo. Nie znałam też hebrajskiego, nie mówiąc już o modlitwach czy religijnych pieśniach. Nie ja jedna. Do środka zakradłam się chłystkiem z jakąś katolicką wycieczką z Elbląga. Do Beit Warszawa na szabatową kolację trafia chyba tyle samo katolików

ry z własnej woli chcą zostać Żydami. I to akurat w Polsce, gdzie wciąż się trąbi o antysemityzmie, a prawdziwych Żydów mieszka tu niewiele. Z moich obserwacji wynika, że chętnych, którzy decydują się na konwersję reformowaną, można z grubsza podzielić na trzy grupy. Pierwsza to poszukiwacze, niespokojne dusze, którym od zawsze było niewygodnie w katolickim pancerzu. Doskonale wykształceni, często już niemłodsi, mają w nosie, co powie sąsiadka czy szefowa w pracy. Kiedyś często aktywni w kościelnych wspólnotach, otrząskani z Biblią jak mało kto. Druga to osoby, jak ja, planujące życie z halachicznym (w rozumieniu żydowskiego prawa

☞ **Wśród kilkudziesięciu Polaków, którzy co roku decydują się przejść na judaizm, są osoby, które po latach dowiedziały się o swoich żydowskich korzeniach albo robią to dla swojej połówki, mimo że wcześniej wcale nie były religijne.**

co Żydów. Żeby poznać, podyskutować, oswoić inne zwyczaje. Ewenementem był chłopak, który regularnie odwiedzał synagogę, twierdząc, że chce zmienić styl myślenia, który wbili mu do głowy dziadkowie antysemita. Po dwóch miesiącach gdzieś jednak przepadł.

W synagodze reformowanej wszyscy modlą się w jednej sali, a kobiety rabinki i kobiety kantorki (śpiewaczki) prowadzą nabożeństwa. Zgodnie z deklaracją zasad judaizmu postępowego, obowiązuje pełna tolerancja dla orientacji seksualnej. Dyskutuje się o filozofii, feminizmie i biblijnych sprzecznościach. Otwarcie, każdy na tyle, na ile potrafi.

Dwie kartki

Ciekawość wobec innej religii to jedno, ale chęć jej zmiany to jednak coś zupełnie innego. Kiedyś Tal zapytał mnie, kim są ci wszyscy ludzie, któ-

religijnego – przyp. red.) Żydem, niezaangażowane wcześniej w żadną religię. Intuicyjnie czujące, że to jest właśnie to. Trzecia z kolei to ci, którzy nagle dowiedzieli się o swoich żydowskich korzeniach. Trochę jak w filmie „Cud purymowy”, gdzie robotnik Kochanowski dowiadywa się, że naprawdę nazywa się Cohen i jest potomkiem żydowskich kapłanów. To historie najciekawsze. Sławek – Saul – jako dorosły facet od umierającej babki usłyszał, że jest Żydem. Kiedy zaczął kojarzyć fakty, okazało się, że jako dziecko w katolickim domu obchodził wszystkie żydowskie święta: jadł macę na Wielkanoc, jabłka w miodzie na Rosz Haszana i palił świeczki w Chanukę, czyli w okolicach Bożego Narodzenia. Małgosia – Miriam – już po czterdziestce dowiedziała się o swoim pochodzeniu, kiedy przypadkiem wykryto u niej prawie niespotykaną w naszej

MAGDA STAROWIEJSKA

Przygotowanie do konwersji trwa na ogół minimum rok. Według Anny Polat (na zdjęciu druga z lewej), obok żony rabina, właśnie tyle czasu potrzeba na to, by przyzwyczaić się do nowego stylu życia i oswoić się z żydowskimi świętami.

szerokości geograficznej anomalie genetyczną. Przypomniła sobie, że gdy w głębokiej komunie leżała w szpitalu po kolejnych komplikacjach, lekarze sugerowali, by podleczyła się w Morzu Martwym, u swoich. Dziś Miriam dumnie stoi na straży nowej-starej wiary. Także w autobusowych awanturach o to, czy wszystkiemu winne jest „żydostwo u władzy”. Sporo w niej neofickiej gorliwości, podobnie jak u innych Żydówek z odzysku, noszących na piersiach symbol gwiazdy Dawida wielkości ziemniaczanego placka.

Przygotowanie do konwersji reformowanej trwa na ogół minimum rok – tyle potrzeba, aby przeżyć na własnej skórze wszystkie święta, oswoić nowy styl życia i jakoś się z nim zsynchronizować. Oprócz opanowania kwestii czysto technicznych konwersja polega przede wszystkim na nauce sposobu myślenia. Rabini, z którymi pracowaliśmy, powtarzali nam, że jako żydzi z wyboru tym właśnie będziemy się

chem i popiołem”, a na drugiej zdanie z traktatu Sanhedryn: „To dla mnie został stworzony świat”. W zależności od potrzeby wymować i czytać kartkę z jednej albo z drugiej kieszeni.

Nowe imię

Ile osób w Polsce decyduje się przejść na judaizm? Statystyki wszystkich kongregacji każą twierdzić, że kilkadziesiąt rocznie. Nie wszyscy jednak kończą ten proces. Haim Dov Beliak, rabin Beit Polska, potwierdza, że w tym roku na konwersję reformowaną prowadzoną przez tę organizację zdecydowało się 15 osób. Ale podobny program prowadzi też Ec Chaim, grupa reformowana prowadzona przez rabina Stasa Wojciechowicza, działająca przy Gminie Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie. W zajęciach „Judaizm krok po kroku”, które przygotowują do konwersji pod okiem rabina Gila Nativa z Beit Warszawa, uczestniczy ponad 20 osób. Ile z nich jest zainteresowanych judaizmem czysto reli-

ni twierdzą, że kobiety konwertytki na ogół przyjmują stare biblijne imiona pramatek, czyli Rachela, Rebeka albo Sara.

Nasza grupa częściowo potwierdziła tę tezę, choć wybór padł też na takie imiona jak Teszura, Hadassa i Kalanit. Najtrudniej umotywić swój wybór. Ja – po trosze ścigana okropną wizją mamele Racheli w peruce, a po trosze na znak solidarności z hasłem, że siła jest kobietą – wybrałam nowocześnie brzmiące imię Jael. Moja nowa biblijna patronka była osobą mądrą, a duchem silniejszą niż niejeden facet, czego dowiodła, rozprawiając się z wrogiem Siserą przy pomocy ciepłego mleka i palika od namiotu. Za co otrzymała zasłużone miano błogosławionej.

Świeczka dla rabina

W dzień beit dinu Hana, mama Tala, obiecuje zapalić świeczkę rabiemu Me-irowi, którego wstawiennictwo podobno działa przy różnych egzaminach.

Na miękkich nogach wchodzę do sali, gdzie za ogromnym stołem, na przeszkłonym pięttrze Jewish Community Centre z widokiem na dachy Kazimierza, siedzi trzech rabinów. Gil Nativ z Warszawy i dwóch z zagranicy: korpulentny, dowcipny Walter Rotschild z Berlina oraz szczupły, serdeczny Allen Maller z Los Angeles. Pytają o motywację, plany i – na samym końcu – o wiedzę praktyczną. Jak było do przewidzenia, zależy im bardziej na poznaniu historii każdego z nas niż przepytывanie z hebrajskich modlitw.

Najwidoczniej konwersja też wchodzi w zakres specjalizacji rabiego Me-ira od egzaminów, boczesnym popołudniem, razem z siódmką triumfujących konwertytek, wędruję do mykwy. To rytualna łaźnia, ulokowana w podziemiach krakowskiego hotelu Eden. Mykwa to miejsce nie byle jakie – musi zasilać ją żywa woda, czyli nie żadna kranówka. Najlepsza jest deszczówka lub woda ze źródła. Cennik korzystania z krakowskiej łaźni też odpowiedni. Tabliczka głosi: 20 zł od osoby, 10 zł

od gościa hotelowego, 50 zł od kobiety. Na próżno próbuję dociec, dlaczego kobieta płaci dwa razy więcej niż „osoba” i co to niby ma znaczyć. Dyplomatycznie duszę też w sobie pytanie, dlaczego gnieździ się w mykwie jakiegoś hotelu, w której panuje klimat basenowej szatni, skoro w Polsce dziesiąt-

ki żydowskich łaźni popadają w ruinę. Jedną, 150-letnią, mam nawet pod nosem, w podwarszawskim Piasecznie. Z powodzeniem funkcjonuje jako lokalna piwiarnia. Ale to nie pora na bunt na pokładzie.

Przed wejściem do wody trzeba porządnie się umyć, zdjąć biżuterię i soczewki kontaktowe. Literatura fachowa zaleca, aby dzień wcześniej zeszkrobać martwy naskórek, ale nam na szczęście nikt pięt nie sprawdza. Zanurzamy się po trzy razy, wypowiadając błogosławieństwa, a żony rabinów egzaminatorów pilnują, żebyśmy robiły to ko-szernie, czyli zgodnie z zasadami. Iza – Ryfka – ćwiczyła wcześniej w wannie, więc daje nura najbardziej fachowo. Na zakończenie wszyscy razem odkorkowujemy czerwone wino z hebrajskim okrzykiem „lechaim”, który znaczy „za życie”, bardziej adekwatnie niż słowiańskie „na zdrowie”.

Następnego dnia w krakowskiej synagodze każda z nas dostaje swoją kipę i lniany talit. Teoretycznie tego dnia zostajemy członkiniami reformowanej kongregacji.

Wyznanie bliskim, że chce się zostać żydem, można bez żadnej przesady nazwać coming outem. Zwłaszcza jeśli jeszcze wczoraj się żydem nie było. I zwłaszcza w przypadku rodzin, gdzie semickie korzenie ktoś skrzętnie ukrył. Może wiązać się z porządną traumą dla starszego pokolenia. Kilko z nas zdecydowało się zataić ten fakt przed bliskimi ze względu na jakiś inny problem w domu. Wiele osób odkłada to wyznanie na potem. Ale są rodziny, które reagują entuzjastycznie. – Mój wnuk bardzo się cieszy, że będzie miał babcię żydówkę – mówi Krystyna Bat Sheva Bert w wywiadzie dla „Mariv”, największego izraelskiego dziennika, którego reporter towarzyszy nam w oczekiwaniu na beit din. Zaintrygowany obserwuje naszą huśtawkę nastrojów – od przerażenia po euforię.

Rabini reformowani niezbyt mocno wnikają w relacje rodzinne, ale zawsze ważne są dla nich szczere inten-

cje konwertyty. Podobno panuje w dużych miastach moda na judaizm, ale nie poznałam nikogo, kto zdecydowałby się na konwersję tylko po to, by być trendy. Poza tym żaden rabin nigdy w życiu nie dopuściłby takiej osoby do beit dinu.

Miłą dla ucha każdego konwertyty teorię ma Allen Maller, specjalista od judaizmu mistycznego, autor książki „God, Sex and Kabbalah”, nieprzetłumaczonej jeszcze na język polski. Wyjaśnia w niej, że czasem impuls do zmiany wiary może wynikać z wędrówki dusz. Kabała – w przeciwieństwie do buddyzmu – naucza, że odrodzenie w innej postaci, zwanej gilgul, dotyczy dusz istot najbardziej świadomych, czyli nas, ludzi. Ponieważ judaizm jest religią optymistyczną, większość kabbalistów naucza, że ludzie osiągają swój życiowy cel już przy pierwszym wcieleniu. Nieliczne, wybitne dusze mogą rozpaść się na dziesiątki cząsteczek, które reinkarnują się nawet kilkanaście razy.

Zaintrygowana tą interpretacją dużo bardziej niż czerwoną nitką na rękach celebrytów, poddałam się testowi, który Maller podsuwa na swojej stronie internetowej. Wynik był zaskakujący. Wybrałam podobno judaizm, bo odezwały się we mnie geny jakiegoś praszczura, o którego istnieniu do dziś nie mam bladego pojęcia. Osobiście w to wątpię, ale nie chcę robić rabinowi przykrości.

Co się zaś tyczy słynnej nitki, to można ją kupić za 3 zł na Allegro albo za 26 dol. w specjalnym kabbalistycznym sklepie. Niczym się specjalnie nie różni. Swoją pierwszą dostałam od zaszuszonego dziadka, siedzącego niedaleko Ściany Płaczu. Zbierał co łaska i, szepcząc błogosławieństwa, wiązał przechodniom na nadgarstkach czerwone kawałki wełny. Wzięliśmy ich wtedy z Talem całą garść. Kiedy wróciliśmy do domu, Hana, która właśnie gotowała obiad, popukała się w czoło i powiedziała, że nie trzeba się było tłuc godzinę samochodem do Jerozolimy, bo ona ma w szufladzie cały motek. ☞

Anna Polat: – Zmiana religii jest jak rozpoczęcie życia na nowo. To gruba krecha, która oddziela od przeszłości. Zamiast we wrześniu 1977 r. rodę się nagle w Tiszri 5773! Taka podróż w czasie zobowiązuje.

różnić od tych halachicznych – świadomym, dojrzałym wyborem. Nękanie przez nas pytaniami, chętnie cytowali rabina Hillela, który 2000 lat temu mawiał, że Torę można streścić w jednym zdaniu: „Nie czyń bliźniemu, co tobie niemiłe. Reszta jest komentarzem”. Mnie najbardziej przypadł do gustu uniwersalny przepis na życie pewnego rabina z Przysuchy: każdy człowiek powinien nosić przy sobie dwie kartki w dwóch osobnych kieszeniach. Na jednej kartce należy napisać werset z Księgi Rodzaju: „Jestem pro-

gnozawczo? Okaże się za rok, przed beit dinem. Wykłady przygotowujące do konwersji prowadzone są też w Łodzi, Lublinie i Białymstoku.

Zmiana religii to trochę jak rozpoczęcie życia na nowo. Gruba krecha, która oddziela od przeszłości. Zamiast we wrześniu 1977 r. rodę się nagle w Tiszri 5773! Taka podróż w czasie zobowiązuje. Nowe „ja” musi dostać nowe imię, dlatego ci, którzy są zdecydowani na konwersję, w pewnym momencie zaczynają się głowić nad wyborem żydowskiego imienia. Rabi-

Kobiety konwertytki na ogół przyjmują popularne imiona biblijne i zostają Rachelami, Rebekami i Sarami. Anna Polat wybrała imię Jael, bo choć starotestamentowe, brzmi nowocześnie.



MAGDA STAROWIEYSKA

TOMASZ BOREJZA

Niezastąpiona depresja

W czasach kryzysu warto zwrócić się o pomoc do **ludzi ponadprzeciętnych**. Na przykład chorych psychicznie. W trzeźwej analizie rzeczywistości najlepszy może się okazać człowiek lekko depresyjny. Osoby kreatywne najłatwiej znajdziemy wśród maniaków.

Człowiek zdrowy jest zarazem przeciętny. Jak twierdził Cesare Lombroso, XIX-wieczny włoski kryminolog i lekarz, geniusz zawsze idzie w parze z odrobiną szaleństwa. Jest tak, ponieważ wielkość wymaga wyjścia poza utarte schematy. Dziś w ten sposób na choroby psychiczne patrzy prof. Nassir Ghaemi. Psychiatra, który wykłada w Tufts University School of Medicine, uznał, że doskonałego lidera w okresach kryzysu gospodarczego charakteryzują empatia, kreatywność oraz realizm, a takie cechy mają często ludzie chorzy na depresję. Badania Ghaemiego pokazują, że objawy chorób takich jak zaburzenia afektywne dwubiegunowe lub depresja, na które cierpi coraz więcej z nas, pojawiają się i znikają, pozostawiając specjalny typ wrażliwości, którego zwykle nie posiadają ludzie zdrowi.

Łamacz schematów

Jednym z objawów manii – występującym niemal w 80 proc. przypadków – są gonitwy myśli, czyli ciągi luźno powiązanych idei i pomysłów. Na ogół dotyczą drobiazgów i powodują, że człowiek cierpiący na manię przeskakuje z tematu na temat w sposób, który wprawdzie ma sens dla niego samego, ale jest niezrozumiały dla otoczenia. Kiedy jednak stanie przed problemem do rozwiązania i jest przygotowany, by się z nim zmierzyć, efekty mogą

być zaskakująco pozytywne. Ludzie w manii są hiperaktywni, szybko myślą i mówią, potrzebują niewiele snu; dużo piszą; zarysowują, planują, proponują i wdrażają. Myślą szybko, ale – co istotne – robią to w określony sposób. Ta kreatywność jest bowiem innego rodzaju niż u zdrowych ludzi, którzy ograniczają się zwykle do odnajdywania nowych odpowiedzi na już postawione pytania. Gonitwa myśli pozwala stawiać nowe pytania i wyszukiwać nowe problemy. Dzięki temu niekiedy udaje się przeformułować zagadnienia w sposób, który prowadzi do nowych rozwiązań.

Intrygującym przykładem jest gen. William Tecumseh Sherman, dowódca, który w czasie wojny secesyjnej złamał opór Południa. A zrobił to na tyle nieszablony sposób, że bywa nazywany „pierwszym generałem nowoczesności”. Przed wojną, która przyniosła mu sławę, jego życie było ciągiem epizodów depresji oraz manii, które prowadziły do nieudanych inwestycji biznesowych. Sherman nigdzie nie mógł zagrać miejsca. Nic nie wciągało go na tyle, by się temu poświęcić. Przeprowadzki były tak częste, że jego żona wolała zamieszkać z ojcem. Jednak kiedy rozpoczął się konflikt, okazało się, że to, co było balastem w czasach pokoju, pozwoliło mu odnaleźć się w kryzysie. Epizod manii, który pojawił się po depresji, pomógł Shermanowi przeformułować podstawowe

Mahatma Gandhi miał za sobą co najmniej jedną próbę samobójczą i ciężkie załamanie nerwowe. Jednak dzięki empatii, którą wykształcił w trakcie ataków depresji, potrafił zrozumieć motyw działania innych ludzi.



pytanie stawiane przez głównodowodzących. Dotąd generałowie, wychowani na kampaniach napoleońskich, debatowali o tym, co zrobić, by lepiej rozegrać poszczególne bitwy. Ograniczali się do myślenia o taktyce, strategię uznając za oczywistą. Koncentrowali siły i po uzyskaniu przewagi dążyli do starcia z przeciwnikiem. Dlatego pół wieku wcześniej rozegrały się w Europie. Sherman to zmienił. Zamiast zastanawiać się nad tym, jak najlepiej rozegrać kolejną bitwę, postawił pytanie: jak wygrać tę wojnę? Uznał, że kluczowe nie są kolejne bitwy, ale zniszczenie potencjału gospodarczego Południa, który był skon-

centrowany w kilku stanach we wschodniej części kraju.

Postanowił, na co uzyskał zgodę Ulyssesa Granta, głównodowodzącego wojsk Unii, na przeprowadzenie czegoś w rodzaju wojny błyskawicznej. Przeformułowanie problemu spowodowało, że wojska Shermana zamiast szukać kolejnego starcia z wojskami konfederatów, zaczęły go unikać. Wkroczyły za to na Południe, gdzie stosowały taktykę spalanej ziemi i na cel wzięły farmy, zakłady przemysłowe i tory kolejowe. Zniszczono linie zaopatrzeniowe konfederatów. Kampania, która rozpoczęła się od spalania Atlanty, zyskała miano „Mar-szu ku morzu”. Jej przeprowadzenie zła-

mało morale i zniszczyło przemysł secesjonistów, a w konsekwencji odebrało im możliwość prowadzenia działań zbrojnych i dało Unii zwycięstwo. Jednocześnie sukces wojny totalnej Shermana zmienił sposób, w jaki sztaby zaczęły myśleć o konfliktach. Strategią wojskową na kolejne lata zaczęły rządzić zupełnie nowe zasady.

Być jak pustynny lis

Jednak nieokiełznana kreatywność to nie wszystko, co towarzyszy manii. Łączy się ona także z dużą impulsywnością i skłonnością do podejmowania ryzyka. A to z kolei pozwala realizować pomysły, których nie zrealizował-

Depresja i okresy manii, na które cierpiał generał William Tecumseh Sherman, paradoksalnie pomogły mu w czasie wojny secesyjnej. Sherman postawił sobie nietuzinkowe pytanie o to, jak wygrać nie tyle bitwę, ile całą wojnę, i jako jedyny dowódca Północy doszedł do wniosku, że trzeba zniszczyć potęgę gospodarczą przeciwnika.

by nikt zdrowy. Gdzie? Choćby w biznesie. Tak w każdym razie było w przypadku Teda Turnera, który również cierpiał z powodu zaburzeń nastroju.

Pod koniec lat 70. Turner zauważył, że rozwój sieci kablowych otwiera możliwości dla nowego rodzaju telewizji: kanałów tematycznych. Wcześniej na rynku panowały stacje, które starały się w swojej ramówce zmieścić „coś” dla każdego.

Było w nich miejsce na bajki, na filmy, programy rozrywkowe i na wiadomości. Założyciel CNN zauważył w tym słabość i postanowił to wykorzystać. Całkowicie zmienił podejście do układania ramówki. Zamiast rywa-

lizować na zagospodarowanym polu – wołał stworzyć własne.

Efektem była pierwsza tematyczna stacja telewizyjna, która nadawała jedynie programy informacyjne i publicystyczne. Później dołączyły do niej kanały oferujące przez całą dobę filmy, kreskówki itd. Dziś będące oczywiście prawdziwą rewolucją na rynku, którą można było rozpocząć, wychodząc daleko poza przyjęty schemat myślenia. Na to pozwoliła wyjątkowa kreatywność. Jednak gdzie tu impulsywność i skłonność do ryzyka? Otóż Turner nie miał pieniędzy na realizację swojego pomysłu. A właściwie miał, ale za mało. Stać go było na finansowanie go przez zaledwie rok, co uważano za daleko niewystarczające.

Uznał jednak, że pomysł jest doskonały i udany start z pewnością pozwoli zdobyć nowych inwestorów lub pożyczki. Nawiasem mówiąc, porównywał wszystko do wojny, a siebie do Erwina Rommla. – Przy kilku okazjach niemiecki generał atakował Brytyjczyków, wiedząc, że nie ma paliwa na przeprowadzenie całej ofensywy. Zamierzał zaatakować, kiedy się tego nie spodziewali. Przekroczyć ich linie i zdobyć brytyjskie zbiorniki benzyny. Wtedy mógł zatankować czołgi i kontynuować ofensywę. Moja wizja finansowania CNN była podobna, nie miałem wystarczających środków, ale projekt ruszył – mówił. Taki sposób myślenia zbliżał go zresztą nie tylko do „Lisa Pustyni”, ale też do Shermana.

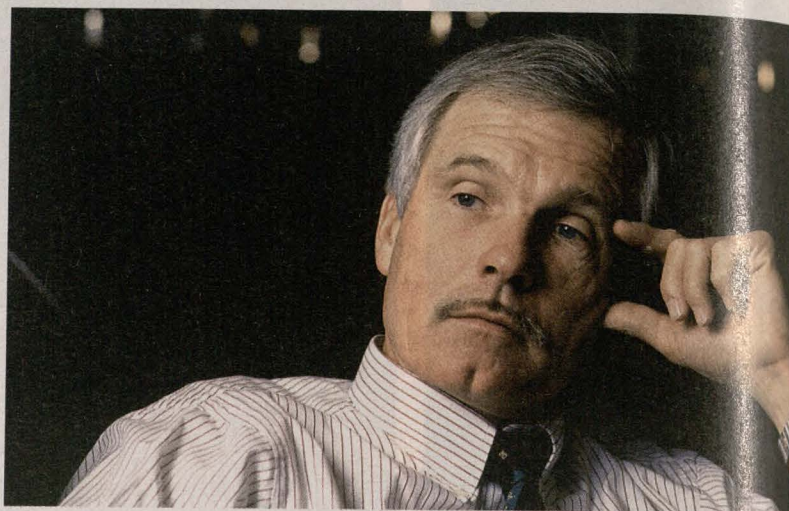
Turner jest jednak nie tylko przykładem tego, że odrobina szaleństwa pomaga być wizjonerem w biznesie, ale i tego, że są konteksty, gdy szkodzi. Sukcesy założyciela CNN trwały bowiem do czasu, gdy sam był swoim szefem. Kiedy sprzedał udziały Time Warner i stał się jedynie częścią korporacyjnej maszyny, szybko został zmarginalizowany.

Smutni realiści

Równie użyteczna jak mania może być depresja. Chorzy rozwijają w sobie dwie cechy: realizm i empatię. Są realistami, bo unikają błędów poznawczego typowe-

Ludzie ze skłonnościami do nagłych zmian nastroju, tacy jak Ted Turner, założyciel CNN, nie boją się ryzyka i nieszablonowych pomysłów w biznesie.

Martin Luther King, melancholik cierpiący na depresję, niedoszły samobójca, stał się symbolem walki o równouprawnienie Afroamerykanów.



go dla ludzi zdrowych: budowania pozytywnych iluzji i nadmiernego optymizmu w ocenie własnej osoby oraz wpływu na otoczenie. Cierpienie towarzyszące epizodom depresji zwiększa też empatię. Osoby chore, nawet kiedy choroba ustępuje, potrafią znacznie lepiej zrozumieć motywów innych. I choć wyciągają defetystyczne wnioski i wybierają pasywne strategie działania, nie oznaczają to, że są nieskuteczni. Trudno przecież odmówić skuteczności Gandhiemu czy Kingowi. Obaj mieli długie epizody chorobowe. Pierwszy miał za sobą co najmniej jedną próbę samobójczą i ciężkie załamanie nerwowe. Drugi dwukrotnie próbował odebrać sobie życie. Obaj odnieśli sukces mimo choroby, ale dzięki niej. Empatia, którą przyniosła depresja, pozwoliła im zrozumieć moty-

wy drugiej strony i przewidzieć jej działania. Wygrali, ponieważ porzucili iluzję kontroli nad otoczeniem i optymizm, charakterystyczne dla ludzi zdrowych, a nieobecne w depresji. Dlatego właśnie King i Gandhi ocenili, że aktywny opór nie ma sensu. Dzięki temu wybrali jedyną metodę, która mogła zadziałać. Pomogła im choroba.

Czy ludzie zdrowi nie nadają się na liderów? Nadają – odpowiada prof. Ghaemi, choć nie zawsze. W spokojnych czasach to ludzie mieszcący się w „normie” zwykle lepiej dają sobie radę. Kiedy jednak sytuacja wymaga niestandardowego myślenia, tacy przywódcy często zawodzą. Zaburzenia, które na ogół są źródłem cierpienia i społecznego stygmatu, dają chorym coś, czego zdrowi nie mają i mieć nie mogą.

Tymon Tymański

Wysokie progi na ringu



Czego zabrakło Wachowi podczas walki z Kliczką? Umiejętności, sportowej agresji, pewności siebie i odwagi. A także ringowego cwaniactwa, z którego słyną ukraińscy bokserzy.

Szkoda, że Mariusz Wach przegrał swą wielką szansę w pojedynku z Wołodymyrem Kliczką. Tylko czy Wach miał jakąkolwiek szansę? Wydaje się, że niewielką. Nie większą niż południowoafrykański bokser Hasim Rahman, który w kwietniu 2001 r. dość przypadkowo, klasycznym prawym sierpem, grzechotnął w szczękę grubemu i ociąża-lemu Lennoksowi Lewisowi. Za co zresztą dostał w rewanżu od wkurzonego Lewisa niezłe bęcki. Każdy, kto wchodzi do ringu, teoretycznie ma 50 proc. szans na zwycięstwo. Dość szybko okazuje się jednak, że teoria w ringu nie wygrywa. Parę dni temu – na nasze, polskie nieszczęście – mieliśmy okazję uzmysłowić to sobie po raz kolejny. Od razu przypomniała mi się trauma oglądania porażki Tomasza Adamka ze starszym z braci, którą przeżyłem w jednym z londyńskich barów. Szkoda było Adamka, który – dopóki był półciężki – górował nad rywalami doświadczeniem, szybkością i sprytem. Wszystkich tych atutów zabrakło mu w potyczce z Witalijem, którego lewy prosty co rusz odnajdował dziwnie ślamazarnego i nieruchawego pana Tomka. Co gorsza, Witalij bił niespodziewanie, po dziwnie nieprzewidywalnych trajektoriach. Rację mieli ci, którzy mówili, że ciężka to zupełnie osobna kategoria. No ale Wach, olbrzymie, zwaliste chłopisko z Krakowa ze sporym amatorskim doświadczeniem, to typowy przedstawiciel wagi ciężkiej. Czego mu zabrakło? Niewątpliwie umiejętności, sportowej agresji, pewności siebie i odwagi. Ringowego cwaniactwa, które Wołodmyr zdobywał w ciężkich bojach z Bothą, Sandersem, Brewsterem czy Peterem. Tym samym Wach, po Sosnowskim i Adamku, dołączył do krajowego pocztu ofiar Kliczków, których zresztą może być jeszcze więcej.

Na czym polega klasa ukraińskich braci? Złośliwcy twierdzą, że są pozbawionymi finezji robotami, a ich walki są ekscytujące niczym bufetowy bigos. Fani Kliczków natomiast zwracają uwagę na ich nieprzeciętną inteligencję, niezwykle atletyzm, mocne

Autor jest kultowym współtwórcą polskiej sceny jassowej. Tworzy dla radia, prasy, netu i szykuje swój debiut filmowy. Dla nas pisze o sporcie.

ciosy z obu rąk, świetną pracę nóg i wyczucie dystansu, wreszcie rzadkie wśród bokserów poszanowanie etosu pracy. Zdecydowanie zaliczam się do tej drugiej kategorii. Żeby przeanalizować ich pięściarski fenomen, obejrzałem parę starych walk (nawet starą kickbokserską walkę Witalija z 1993 r.) i byłbym daleki od nazywania ich stylu nudnym. Czy nudna była kapitalna walka Witalija ze wspomnianym Lennoksem Lewisem, w której przegrał wskutek kontuzji twarzy? Zresztą dawniej więcej kozaczył i młodszy Wołodmyr, czego dowodem spektakularne porażki z Sandersem i Brewsterem.

Spokój, którym bracia epatują w ringu, to klasyczna pięściarska rutyna, która każe rozbijać rywali lewym prostym i systematycznie powiększać punktową przewagę. Nudne i przewidywalne jest tylko to, że od lat wielkoludom z Ukrainy nikt nie potrafi podskoczyć (chyba że w gadce lub pozaringowych fanaberiach w stylu Davida Haye'a czy Derecka Chisory). Najbardziej zadziwia swego rodzaju equilibrium talentów, którymi matka natura obdarzyła obu braci. Przystojne bystrzacy o posturze drwali już za czasów ich krótkiej kariery w Gwardii Warszawa rozstawiali po kątach polskich rówieśników, jak wspominał nieodżałowany maestro Kulej. Amatorska kariera Kliczków też robiła spore wrażenie: złote medale mistrzostw świata w kick-boxingu i srebrny w boksie Witalija, mistrzostwo olimpijskie i wicemistrzostwo Europy w boksie Wołodmyra. Ale najbardziej zadziwia niekończąca się supremacja braci, którzy w światowym boksie rządzą i dzielą już ponad drugą dekadę. Co najgorsze, na horyzoncie wciąż nie widać ich rychłych pogromców... Chyba że nasza ciężka nadzieja – Artur Szpilka – któregoś pięknego dnia, cudownym ciosem w szczękę, zatrzyma jednego z ukraińskich twardejeli. Czego mu serdecznie życzę. Ale dla Szpilki z jego niedużym bokerskim rekordem – z całym szacunkiem dla niewątpliwego talentu tego sympatycznego chłopaka – walka z którymkolwiek z Kliczków to chyba jeszcze za wysokie progi.

ROZMAWIA MONIKA BRZYWCZY

Na eksperymenty już nie ma czasu

Jeden z nestorów polskiego jazzu pamięta jego początki, gdy kiełkował w latach 50. – bo właśnie wtedy rozpoczynała się jego kariera. **Grywał z najlepszymi: Komedą, Trzaskowskim, Kuryłowiczem**, a jego charakterystyczny głos i poczucie humoru to znaki rozpoznawcze „Trzech kwadransów jazzu” – kultowego programu radiowej Trójki.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan jazz?

Zdaje się, że było to jeszcze w domu rodzinnym w Kaliszu.

Tak, oczywiście! To była muzyka z radia. Miałem wówczas kilkanaście lat. Radiodiodbiornik stał w środkowym pokoju. Po jednej stronie była sypialnia rodziców, po drugiej moja, którą dzieliłem z bratem. Koło jedenastej, dwunastej w nocy Jędrak wykradał cichcem ten odbiornik do nas do pokoju i słuchaliśmy... Błądziliśmy po falach, słuchaliśmy tego, co się dało wylapać. Radio Luksemburg, Monte Carlo i sporo innych fal, gdzie w szumach i trzaskach można coś było z trudem wylowić. Nie było wyboru, bo to, co nam polskie radio wtedy serwowało, było tak jednostajne i nudne, że siłą rzeczy człowiek szukał innych ewentualności.

Czego pan słuchał? W biograficznej książce pana syn opisuje, że zafascynował pana Parker...

Oj, to chyba trochę później. W radiu dużo różnych rzeczy hasało, zapowiedzi czasem trudno było wysłyszeć albo wręcz ich nie było...

No i zrozumieć chyba było trudno, bo to przecież po angielsku...

A z tym, o dziwo, problemów nie miałem, bo przez całą szkołę, aż do matury, uczyłem się angielskiego. Sam nie po-

trafię sobie wyobrazić, jakim cudem, bo okres był już mocno stalinowski.

A z Parkerem zetknąłem się bodajże na wystawie „Oto Ameryka”, która w latach 50. krążyła po Polsce i była paszkwilem na cały imperializm. Wskazywano tam różne przykłady wypaczeń, m.in. właśnie muzykę Parkera. „Teraz puścimy wam taki szlagier, to jest złe” i ludzie walili drzwiami i oknami, żeby tylko to usłyszeć. Potem zresztą na jednych z pierwszych Targów Poznańskich sensacją było pojawienie się Pawilonu Amerykańskiego. Był to projekt czysto propagandowy, nie było tam nic do handlowania, był pokazany po prostu amerykański dom mieszkalny, a w nim m.in. półka z książkami, na której stały prace o jazzie. I proszę wyobrazić sobie, one były regularnie, codziennie kradzione! A Amerykanie o tym wiedzieli, byli na to przygotowani i sukcesywnie dokładali kolejne pozycje!

Zaczął pan słuchać bardzo wcześnie. A co sprawiło, że zaczął pan grać?

Do szkoły muzycznej zapisałem się dopiero po maturze i nigdy jej nie skończyłem. Byłem praktycznie samoukiem. W domu zawsze był fortepian, mama grywała czasami przedwojenne szlagiery. Ale żadnych wskazówek nie miałem, wszystko musiałem sobie sam wydłubać, łącznie z nutami.

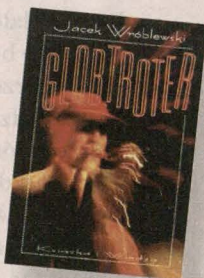
A to ta słynna historia z babcią Józią, najbardziej operatywną osobą w pana rodzinie, która i tu znalazła rozwiązanie. Napisała do siostry do Ameryki, nuty załatwiła...

W Polsce za żadne skarby nie można ich było dostać. Nie było nic, poza może kilkoma płytami z imitacją jazzu, które dosyć szybko zniknęły, a potem w ogóle przestały się ukazywać. Ale nawet te nuty niewiele mi dały. Dopiero gdy w 1954 r. znalazłem się na studiach w Poznaniu, zaczęło się poważniejsze granie.

Wylądował pan na Wydziale Mechanizacji Rolnictwa na Politechnice Poznańskiej.

Czym chciał się pan zająć po studiach?

Pochodziłem z takiej rodziny (inteligentnej, ojciec „Ptaszyna” był prawnikiem – przyp. red.), że właściwie nie miałem szans dostać się na studia. Nie miałem punktów preferencyjnych za pochodzenie społeczne. W klasie jako jedyny nie należałem do ZMP, więc szanse były tak nikłe, że nawet nie podchodziłem do egzaminów. Ale Janek Zylber, kolega z Kalisza, mnie ściągnął. Był wyżej, miał już znajomości. A w tamtych czasach każda uczelnia chciała mieć własny teatr, kabaret i orkiestrę. No i Zylber przekonał władze wydziału, że jeśli mnie przyjmą, to ja tę orkiestrę stworzę. A jeszcze wcześniej Janek zaprosił mnie do Poznania na rekonesans. I wtedy do jakiejś kawiarni, w któ-



Jacek Wróblewski „Globtrotter”, 2006, Książka i Wiedza. Książka opowiada historię Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego i jego rodziny.

rej spotykali się muzycy, wdefilował Krzysio Komeda. Przysiadł się i tak się poznaliśmy. Zamieniliśmy kilka słów. Następne spotkanie było kilka miesięcy później, już w Warszawie, podczas koncertu Melomanów.

Ale to nie była pana pierwsza wizyta w stolicy, bo już wspomniana babcia Józia wyprowadziła całą rodzinę na czas okupacji do Warszawy. Pan miał wtedy zaledwie pięć lat.

Tak, babcia miała sklep, a w nim rarytasy często pochodzące z przemytu. Na tym się dorobiła. Miała taki sposób na przetrwanie, że częstowała patrolujących Niemców kanapkami z szynką, które były wtedy totalnym delikatesem. I dzięki temu dawali jej spokój. Mężczyzn w domu nie było, bo ojciec był internowany na Węgrzech. Jeden wuj, zawodowy oficer, trafił do stalagu, drugi, niewiele od nas starszy, zginął w powstaniu. W domu więc były praktycznie same kobiety i babcia Józia rządziła dosyć mocną ręką.

Po wojnie wróciliście jednak do Kalisza.

Wyprowadzono nas z Warszawy w czasie powstania. A Kalisz to była deskami zabita prowincja, jak wiele innych miast w Polsce. Nie działa się tam zupełnie nic. Jedyna rozrywka to była kapela, która przygrywała wieczorami do tańca. Łaziłem do nich, podpatrywałem, podśluchiwałem i od czasu do czasu dawali mi nawet ze sobą zagrać. Aż pewnego dnia otworzyło się nowe miejsce – Pięterko, w którym zaproponowano mi granie. Byłem wtedy w klasie maturalnej. Dyrektor mojej szkoły szybko się o tym dowiedział, a gdy się dowiedział, to zakazał. Ale w końcu stwierdził, że możemy organizować zabawy w szkole. No więc grywaliśmy do tańca takie boogie-woogie.

Wróćmy do spotkania z Komedą, które – jak wiemy – zaowocowało pierwszym poważnym angażem.

Wracaliśmy z tej Warszawy razem. Po drodze Krzysztof mi zdradził, że chce założyć zespół, bo czuć było już pierwsze ślady odwilży. Powiedział, że bym się nie zdziwił, jeśli pewnego dnia

się zgłosi. I faktycznie, w 1955 r. Komeda skrzyknął zespół. Uczył nas praktycznie od zera. Zwłaszcza improwizacji. Wspólnie słuchaliśmy muzyki, zastanawialiśmy się, dyskutowaliśmy. Ja grałem już wtedy na klarnecie. A potem dosyć szybko doszło do naszego pierwszego oficjalnego występu na Pierwszym Festiwalu Jazzowym.

1956 r. Do Sopotu zjechały tłumy, wszyscy chcieli tam być. Goście z zagranicy, dwie sceny. To musiały być niesamowite emocje.

Trudno to sobie dziś wyobrazić. Do Sopotu przyjechało 50 tys. ludzi, którzy nie mieli gdzie mieszkać, koczowali po plażach, po parkach. Bilety na koncerty się skończyły, ale dla wielu było ważne, że w ogóle w tym Sopocie wówczas byli. To była manifestacja wolności. Ludzie chcieli udowodnić, że można robić coś, co do tej pory było kompletnie zakazane. Przecież o jazzmanach mówiło się za Stalina jak o AK-owcach. Pierw-

sze małe imprezy jazzowe odbywały się już w 1954 r., ale dopiero festiwal sopocki otworzył drzwi tak szeroko, że się już tego odwrócić nie dało.

No a zobaczyć na żywo tych muzyków, o których tylko legendy krążyły, to było drugie wielkie przeżycie.

Kto zorganizował festiwal sopocki?

Zdaje się, że pan Franciszek Walicki, który potem bardziej złączył się ze środowiskiem rockowym. Wcale nie Tyrmand, który tam jedynie konferansjerkę prowadził. Ale już podczas drugiej edycji propaganda komunistyczna zadziałała mocno. Pojawiły się paszkwile w prasie, że widzowie zdemolowali kolejkę trójmiejską i że jakieś inne burdy urządzili. To sprawiło, że trzeci festiwal w Sopocie już się nie odbył. Ale za to w stolicy powstało Jazz Jamboree, festiwal zorganizowany przez radę studentów. Był jednak zakaz używania słowa „festiwal” i bodajże Tyrmad wymyślił wówczas nazwę Jazz Jamboree.

Jak wyglądał wasz sopocki występ?

Koncerty jednej formacji trwały aż dwie godziny! Polskie Nagrania je zarejestrowały i następnie wydały płytę, a Andrzej Munk nakręcił materiały dla Kroniki Filmowej. Ale trzeba też pamiętać, że rok wcześniej odbył się w Warszawie V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, na który przyjechało mnóstwo zespołów, w tym jazzowych, które grały jako wyznawcy i obrońcy socjalizmu. Nie mówiąc już o ludowych zespołach brazylijskich, argentyńskich, afrykańskich. A przecież w latach Stalina samba czy rumba były tępione na równi z jazzem. A tu nagle przyjeżdżają biedni, zagłodzeni, proszą ludzkie z Afryki czy Ameryki Południowej i okazuje się, że to jest ich muzyka. To był poważniejszy

To jaka muzyka była poprawna, zgodna z systemem?

Pamiętam artykuł, w którym pisało, że wykroczenie poza prymitywną triadę muzyczną, czyli „Włazł kotek na płotek”, już jest wypaczeniem, bo jest to niezrozumiałe dla ludu. I poważni kompozytorzy pisali piosenki, re-

spektując tę dziwaczną, wyssaną z palca zasadę. Straszne! To był latający prymityw niedosłuchania.

Na szczęście pan dostał unikatową szansę spojrzenia na ten świat o dziwnych regulach z dystansu. W 1958 r. wygrał pan przesłuchanie prowadzone przez George'a Weina (amerykańskiego promotora jazzu) i dostał angaż – jako jedyny muzyk z Polski – do orkiestry International Newport Band.

Siedziałem z Komedą w Krakowie, kiedy nadeszła informacja o przesłuchaniach. Do Warszawy przyjechali dosłownie wszyscy! Oczywiście jako saksofonista miałem większe szanse niż np. pianista, który w orkiestrze jest tylko jeden. Ale też bardzo przydała mi się umiejętność czytania nut, którą opanowałem jeszcze w szkole, rzecz wśród jazzmanów rzadko spotykana. Nieoficjalnie, że mam duże szanse, wiedziałem już dzień po, od Romana Waschki, wielkiego miłośnika jazzu, który te przesłuchania organizował. On zresztą pomógł mi później w załatwieniu formalności. Dostać paszport w tamtych czasach to był już ogromny wyczyn. Roman przekonał partię, że nie ucieknę i że to będzie korzystne, żeby w takiej orkiestrze był Polak. Gdyby nie on, pewnie by się nie udało.

To było niesamowite wyróżnienie.

Raczej przerażenie! Musiałem przecież do tej Ameryki pojechać sam, w zupełnie nieznanym świecie, w którym panowały kompletnie inne reguły. Zresztą od razu na wstępie były ogromne komplikacje z rezerwacją lotu. Miałem przesiadkę w Brukseli, tam się wszyscy pogubiliśmy. Okazało się, że nie mam wizy, wyładowałem dzień wcześniej przed innymi muzykami, nie załapałem się na spotkanie całej orkiestry, w Nowym Jorku nikt na lotnisku na mnie nie czekał. Ja, bez grosza przy duszy, jakoś wynegocjowałem z Amerykanami nocleg w lotniskowym hotelu. Potem już było lepiej, ale ta walutowa sprawa braku pieniędzy ciągle mi doskwierała, zwłaszcza przy wyjściach do klubów, kiedy wszyscy sobie wędrowali po imprezach. Mnie najzwyczajniej nie było na to stać. Bo na-

sze uposażenie, dniówki, pozwalały na prawdę na bardzo niewiele.

Nowy Jork to marzenie każdego jazzmana, w tamtych czasach dla Polaków kompletnie nieosiągalne. Jak pan się czuł wśród drapaczy chmur, obfitości wszystkiego, mnóstwa klubów jazzowych?

To był szok od góry do dołu. Miałem dopiero 21 lat, ciężko mi było to wszystko pojąć. Na przykład nie dostałem się na jeden z koncertów, bo poproszono mnie o pokazanie prawa jazdy. Uczciwie powiedziałem, że nie mam. Nie wszedłem, a chodziło przecież tylko o wiek. Gdybym wyciągnął paszport, nie byłoby problemu. Takich sytuacji było tam od czorta i trochę. Ale udało mi się, mimo wszystko, zobaczyć naprawdę wiele klubów w Nowym Jorku. Dziś trudno w to uwierzyć, ale w latach 50. odbywało się tam 400 koncertów dziennie! Harlem nie był jeszcze niebezpieczny, więc poruszaliśmy się po nim zupełnie swobodnie.

Nie miał pan pokusy, żeby zostać?

Nie. Ja bym się tam nie odnalazł, nie wiedziałbym, jak i co załatwić, do kogo pójść. To był zupełnie inny świat. Zresztą po miesiącu przerzuciliśmy się do Europy, graliśmy w Holandii, Belgii, m.in. podczas EXPO 58. Nawet gdybym chciał, nie miałbym już jak i za co lecieć znowu do Stanów. Zresztą w Polsce wtedy były fajne czasy – odwilż kompletna, jeszcze Gomułka nie zaczął śruby dokręcać.

Wrócił pan namaszczony jako ten, który był w Nowym Jorku, grał z muzykami z całego świata. I szybko odnalazł się w kolejnych formacjach.

Nie do końca. Jazz Believers, w którym grałem jeszcze przed wyjazdem z Komedą i Trzaskowskim, rozpadli się po pewnym galowym koncercie, na którym wypadliśmy wyjątkowo słabo. To było gwoździem do trumny. Nagle wszyscy się dziwnie rozsypali. Już nie było do kogo dołączyć, więc wróciłem do Poznania i założyłem kwartecik z Jurkiem Milianem. A potem centralizacja tak się posunęła, że wszyscy, któ-

rzy chcieli coś robić, musieli mieszkać w Warszawie, więc i ja się też przeniósłem. Był to chyba 1961 r. I powoli zaczęło się zbliżanie do Andrzeja Kurylewicza, u którego grał wtedy na basie Gucio Dyląg, a Wojtek Karolak na pianinie. A z nim byłem bardzo zaprzyjaźniony i on mnie zaczął tam ściągać, sam Kuryl zresztą też. To niezwykle ważna dla mnie postać. Niby był najmniejszą indywidualnością z trójcy Trzaskowski, Komeda, Kurylewicz, ale stawiał na zupełnie inne granie jazzu niż reszta. Uważał, że najpierw trzeba się nauczyć grać po amerykańsku, a dopiero potem myśleć o własnej indywidualności. Mnie to akurat bardzo odpowiadało. Był to zresztą człowiek dosyć konfliktowy, natomiast ja nigdy, do końca Kurylowego życia, nie miałem z nim najmniejszego zatargu. Zawsze utrzymywaliśmy wzorowe kontakty. A przecież bywały różnice interesów czy powody do potencjalnych sprzeczek.

Potem tych formacji było jeszcze wiele. Wymień tylko niektóre: Polish Jazz Quartet, Mainstream, SPPT Chałturnik, Extra Ball czy Made In Poland.

Było ich od diabła i trochę, ale najważniejszy był Polish Jazz Quartet, który powstał z Kwintetu Kuryla. Wziął się z tego, że mieliśmy zaproszenie na ważny festiwal we Francji, a Kuryl nie dostał paszportu. Czekaliśmy do ostatniej chwili, aż w końcu pojechaliśmy bez niego i na miejscu się okazało, że padają kolejne propozycje. Zostaliśmy wtedy we Francji i w Niemczech na siedem miesięcy. Wysłaliśmy list do Kuryla z przeprosinami, że go zostawiamy, że tu się kroją możliwości, żeby się nie gniewał... Na co przyszła piękna odpowiedź, że on rozumie, że żadnych pretensji nie ma.

Polish Jazz Quartet, zespół eksportowy...

To jest pierwszy zespół, którego mogę spokojnie słuchać do dzisiaj, bez kompleksów, bez zażenowania... A potem znowu zaczęły się rozsypki. Koledzy postanowili pozarabiać na instrumenty i pojechać na taneczne chałtury do Skandynawii. Liczyli, że to będzie pół roku,



TOMASZ KRUCZYK/FORUM

JAN „PTASZYN” WRÓBLEWSKI

Ur. w 1936 r. w Kaliszu, muzyk jazzowy, kompozytor, aranżer i dyrygent, dziennikarz i krytyk muzyczny. Gra na saksofonie tenorowym i barytonowym. Założył kilka zespołów i angażował się w wiele projektów muzycznych. Od 1970 r. prowadzi w Programie III Polskiego Radia autorskie programy jazzowe, m.in. „Trzy kwadransy jazzu”. Uważany za jednego z największych popularyzatorów muzyki jazzowej w Polsce. Komponował również muzykę filmową („Pan Anatol szuka miliona”, „Niech żyje miłość”) oraz popularne piosenki, wykonywane m.in. przez Ewę Bem, Lucję Prus, Marylę Rodowicz i Andrzeja Zauchę.

a niektórzy zostali nawet na siedem lat, tak jak Wojtek Karolak. No i Polish Jazz Quartet się rozsyłał... Robiliśmy różne podejścia, grywałem trochę z Tomkiem Stańką. Ale wtedy w jazzie wszystko się odmieniło, zaczęły się awangarda i eksperymenty, do których jakoś nie miałem specjalnych ciągów. Bo niezależnie od wielu różnych wartościowych elementów było w tym nurcie sporo kompletnej hochsztaplerki. Ludzie grali kompletne głupoty, a inni klaskali, krytycy chwalili. To mi trochę obrzydziło ten nurt. Poza tym były też kłopoty lokalowo-bytowe, więc musiałem wrócić do Kalisza i na pewien czas straciłem kontakt z graniem. Na szczęście szybko zaczęło się Studio Jazzowe, projekt radio-owy, który udało mi się prowadzić przez 10 lat. Początkowo nawet w nim nie grałem. Pisałem, dyrygowałem, organizowałem. To nie był stały skład, trzeba było zebrać muzyków. Ale pojawiali się w nim wszyscy, którzy się wtedy w Polsce liczyli.

To był 1969 r. A już rok później poprowadził pan swoje pierwsze „Trzy kwadransy jazzu”, audycję, która istnieje do dziś, nieprzerwanie od 42 lat, co jest absolutnym fenomenem, jak pan zwykł mówić, na skalę światową. Chyba nie ma drugiego takiego programu.

No chyba tylko Matysiakowie. Były różne wersje „Kwadransów”, nawet pięć razy w tygodniu, codziennie prowadził ktoś inny, o różnych porach. Raz o godz. 20, raz o 24. Raz trwały 25 minut, a w innym okresie dwie godziny. W końcu zostałem sam. Zawsze zazdrościłem Willisowi Conoverowi, że ma taką audycję, w której może ludziom puszczać muzykę. I nagle znalazłem się w tej samej roli, choć oczywiście nie miałem takiego dostępu do płyt. Na szczęście wtedy już sporo jeździliśmy na Zachód i przywoziliśmy ich naprawdę mnóstwo. I od razu przegrywaliśmy je do radiowej fonoteki.

Pewnie ma pan świadomość, że „Trzy kwadransy” to audycja absolutnie kultowa, której słuchają wszystkie pokolenia, również te najmłodsze. Jaki jest respons publiczności? W którymś z wywiadów przyznał się pan do badania uważności słuchaczy i pobudzania ich aktywności

„Trzy kwadransy jazzu” są emitowane w każdy poniedziałek o godz. 23 w Programie III Polskiego Radia.

przez podawanie od czasu do czasu kompletnie nieprawdziwych informacji...

O, to było dawno temu. Ale dzisiaj, kiedy powiem na antenie, że czegoś nie wiem czy mam jakieś braki w nagraniu, słuchacze reagują natychmiast. W ciągu tych wszystkich lat miałem pełne spektrum reakcji: wyrazy najwyższego uznania i przywiązania oraz paszkwile. Nie raz słyszałem, że to audycja dla przedszkola, że nie puszczałem tego albo tamtego. Każdy chciał, żebym robił to, co on chce. A ja się na to generalnie wypiąłem i tak się trzymam do dzisiaj. Nie uznaję nakazów, że mam coś o kimś powiedzieć. A muszę przyznać, że próby nacisku zdarzały się nieraz.

Nagrywa pan audycję z wyprzedzeniem?

Teraz już tak, bo mam problemy ze wzrokiem, więc już sam za kierownicą nie siadam. Czasami kolidują też

Człowiek pozbawiony poczucia humoru nie może być jazzmanem! To dosyć rewolucyjna teoria i pewnie nieprawdziwa. Ale ja tak uważam.

wyjazdy czy inne zobowiązania. I przyznam Trójce, że szła mi na rękę od początku do końca we wszystkich jej wcieleniach.

Miał pan tremę, siadając pierwszy raz przed mikrofonem?

Nie było źle. Wtedy redaktorem muzycznym był Andrzej Korman, który mnie wcześniej do tego jakimś drobnymi recenzjami przygotował. No i nieustannie sprawdzał. Przez pierwszy miesiąc mnie pilnował, poprawiał i dopiero wtedy pozwolił mi poprowadzić program samodzielnie. Wtedy było takie zobowiązanie, że w każdej audycji musiał być rozmówca i te taśmy sam ciąłem i montowałem. Prawdziwa radiowa szkoła!

Ma pan nie tylko dar muzyczny, ale i niezwykłą łatwość mówienia. A to nieczęste wśród mu-

zyków. Trzeba też wspomnieć o pańskiej zdolności słowotwórczej – wiele nazw formacji czy pana utworów było zupełnie wyjątkowych, np. Swingulans, Pretekst Geminus czy Super-califragilistic.

To ostatnie to przecież z Mary Poppins, z Disneyowskiego filmu! Ale wiele osób o dziwo tego nie zna, nie kojarzy. Zazwyczaj nie nie wymyślam, tylko przywołuję. No przepraszam, ale jeśli człowiek ma się zajmować radiem, to powinien się postarać, żeby mówić w sposób normalny, żeby się nie jękać i nie kaszleć, żeby znać prawidłowe odmiany słów. Poza tym język polski jest na tyle bogaty i na tyle pogmatwany, że daje ogromnie wiele możliwości. Jest mnóstwo nieużywanych, zapomnianych sformułowań. Do tego chyba mam nosa.

Zapisuje pan tekst audycji wcześniej?

Oczywiście, mam wszystko zapisać, od góry do dołu, ale potem mam ten tekst przed sobą i wcale nie muszę się go trzymać. To jest tylko taki zawór bezpieczeństwa. Bo jak się jest na antenie i zapomni języka w gębie, następuje dramat! Pięć sekund przerwy na antenie jest nie do zniesienia.

A skąd się wzięła ksywka „Ptaszyn”?

Krzyś Komeda wymyślił. W naszym pierwszym zespole było trzech Janków, więc gdy wołał: „Hej, Janek, zagraj to i to”, nie można było się zorientować, o którego z nas chodzi, więc pojawił się ten „Ptak”, „Ptaszyn”, od nazwiska rzecz jasna. Wszyscy tak na mnie mówią, nawet żona. Na swoje imię już właściwie nie reaguję.

Czy poza muzyką ma pan jakieś pasje?

Miałem ich sto tysięcy, wszystkich nie zliczę: gotowanie, ogródek, dawniej fotografia i książki. Do jednych się zniechęcałem, na inne nie było czasu. Ale odskocznia musi być, bo inaczej człowiek zniechce ten swój główny przedmiot.

Wciąż pan gotuje?

W tej chwili ograniczam się do najprostszych rzeczy, bo na eksperymenty naprawdę już nie mam czasu. Ale



GODZINY PRZEZ POLSKĄ

Rewanż

Niespełna dwa miesiące temu Marcin i Jacek postanowili zmierzyć się, który z nich szybciej objedzie Polskę w zaledwie 24 godziny. Wtedy zwycięzcą okazał się Marcin, który wybrał szybszą i wygodniejszą trasę - dzięki świetnej znajomości nowych inwestycji współfinansowanych z funduszy unijnych. Jacek na swojej drodze nie uniknął przykrych przygód: miał awarię pod Ostródą i utknął w kilku korkach. Po zakończeniu wyścigu od razu jednak zapowiedział dogrywkę. Marcin nie mógł odmówić staremu kumplowi i tak oto jesteśmy świadkami rewanżowego wyścigu „W 24 godziny przez Polskę”.



INFRASTRUKTURA
I ŚRODOWISKO
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



CENTRUM UNIJNYCH
PROJEKTÓW TRANSPORTOWYCH

UNIA EUROPEJSKA
FUNDUSZ SPÓJNOŚCI
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Dodatek współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Funduszu Spójności w ramach pomocy technicznej Programu Infrastruktura i Środowisko.

Fot. Generalna Dyrekcja Dróg
Krajowych i AutostradFot. Generalna
Dyrekcja Dróg
Krajowych
i Autostrad

Droga ekspresowa S7: Gdańsk - Koszwały

Projekt: Budowa drogi ekspresowej S7, odcinek Gdańsk (A1) - Koszwały (Południowa Obwodnica Miasta Gdańska)
Całkowita wartość projektu: 1 481 413 090 PLN
Współfinansowanie z UE: 1 067 933 008 PLN

9 czerwca tego roku oddano do użytku prawie 18-kilometrową Południową Obwodnicę Gdańska, będącą fragmentem drogi ekspresowej S7, która jest częścią międzynarodowych tras E28 i E77. Nowo wybudowany odcinek nie tylko znacząco odciąża centrum Gdańska z ruchu tranzytowego, ale umożliwia także szybki i - co ważne - bezpieczny przejazd w kierunku Warszawy oraz Półwyspu Helskiego.

Serock - budowa obwodnicy

Projekt: Budowa obwodnicy Serocka w ciągu drogi krajowej nr 61
Całkowita wartość projektu: 242 266 496 PLN
Współfinansowanie z UE: 156 842 176 PLN

Z nowej obwodnicy Serocka kierowcy korzystają już od października 2011 roku. W ramach projektu wybudowano drogę dwujezdniową o długości ponad 7 km, siedem wiaduktów nad obwodnicą lub w jej ciągu, węzły drogowe i drogi dojazdowe, urządzenia bezpieczeństwa ruchu i ochrony środowiska, a także nowy odcinek drogi krajowej nr 62 o długości 1 km. Obwodnica pozwoliła na zmniejszenie korków w centrum Serocka, dzięki wyprowadzeniu ruchu tranzytowego poza jego granicę.

Droga krajowa nr 4

Projekt: Przebudowa drogi krajowej nr 4 na odcinku Machowa - Łańcut KM 527+456,00 - 613+767,30
Całkowita wartość projektu: 587 162 646 PLN
Współfinansowanie z UE: 453 886 255 PLN

Zalety przebudowywanego odcinka kierowcy mogli poznać pod koniec 2011 roku. W ramach prowadzonych prac wyremontowano aż 55 km drogi krajowej nr 4, dostosowując ją do wymagań przepisów UE. Zmodernizowanych zostało 10 mostów i wiaduktów, 78 przepustów, wybudowano ponad 30 km chodników i 17 km ekranów akustycznych. Wprowadzone zmiany w organizacji ruchu na nowo oddanym odcinku znacząco wpłynęły na poprawę bezpieczeństwa oraz komfort podróżowania na krajowej trasie łączącej Niemcy z Ukrainą.

Projekt: Rozbudowa systemu detekcji na terenie miasta Gliwice wraz z modernizacją wybranych sygnalizacji świetlnych, etap I
Całkowita wartość projektu: 35 545 073 PLN
Współfinansowanie z UE: 24 068 497 PLN

W ramach prowadzonych prac tworzony jest kompleksowy system zarządzania ruchem ulicznym, który pozwoli na globalne kierowanie ruchem drogowym na terenie Gliwic. Projekt obejmuje modernizację sygnalizacji świetlnych, wdrożenie inteligentnego sterowania sygnalizacjami świetlnymi, a także aplikacji udostępniania w trybie on-line danych o natężeniu ruchu w obszarze skrzyżowań. W efekcie uda się zwiększyć płynność ruchu, rozładować korki uliczne, zmniejszyć natężenia hałasu i emitowane przez pojazdy zanieczyszczenia.



Jacek

Sobota 9:00, Gdańsk

Zaczyna się dobrze, jest piękny poranek i mamy złotą polską jesień. To idealna pora, by powalczyć właśnie o złoto. W poprzednim wyścigu Marcin zaproponował trasę od Warszawy do Warszawy, tym razem ja obmyśliłem trasę od morza do morza. Startujemy z Gdańska, a finisz jest w Kołobrzegu. Siedzę już w swoim sportowym samochodzie... jeszcze tylko wybór motywującej muzyki - niech będzie „Born to be wild” i w drogę, po zwycięstwo. Wyjeżdżam z Gdańska nową i szybką obwodnicą miejską wybudowaną przy udziale unijnych funduszy i kieruję się na Warszawę.

Sobota 11:27, Mława

Krajową „siódemkę” faktycznie jedzie się doskonale, jeszcze trochę a górale będą na weekend jeździć nad morze. Ciekawe, jak tam Marcin, znając jego pomysłowość, to z pewnością wymyślił jakąś trasę kombinowaną. Niestety, wszystko co dobre, kiedyś musi się skończyć. Właśnie usłyszałem komunikat w CB Radio, że na siódemce, zaraz za skrzyżowaniem z drogą nr 60, jest ogromny korek - jakiś tir wpadł w poślizg, wyrzucił się na jezdnię i wysypał się z niego cały towar. A szło mi tak dobrze! Jak mawia moja babcia „kto stoi, ten się cofa”, zatem reaguję bezzwłocznie - skręcam w drogę nr 60, zamierzam przejechać przez

Ciechanów, potem Pułtusk, Serock i... już będę na prostej do Warszawy. Na szczęście dzięki nowej obwodnicy Serocka uda mi się zaoszczędzić wiele cennego czasu.

Sobota 19:27, Rzeszów

A jednak! Niestety faktycznie nie chodzą parami. Właśnie otrzymałem MMS-a od Marcina, na którym widać jego szanowną osobę na tle jakże pięknego dla mnie widoku, czyli sznurka stojących samochodów. Jak się okazało, Marcin wybrał szybką trasę autostradą A1, by potem wjechać do Warszawy drogą nr 10. Niestety, czasem duża prędkość nie oznacza, że przyjedzie się do celu szybciej. Akurat na odcinku, który wybrał

Marcin, trwały prace remontowe i ruch odbywał się wahałowo. Cóż, jak się chce jeździć autostradami, to trzeba je budować. Poradziłem koledze, by podziwiał widoki, zamiast obgryzać z nerwów paznokcie. Sam już dawno temu miñałem pierwszy punkt kontrolny Warszawę, a przede mną kolejny cel: Rzeszów. Siedem to moja szczęśliwa liczba, ale w Radomiu „siódemka” kieruje się na Kraków, dlatego zamieniłem ją na rzeszowską drogę nr 9. Tym sposobem, mając w zapasie przewagę nad Marcinem, dojechałem spokojnie do Rzeszowa.

Sobota 23:15, Gliwice

Zrelaksowany, bo pewny swojej

przewagi, z Rzeszowa wjeżdżam na A4, mknę po jeszcze pachnącym świeżością nowo wybudowanym „unijnym” odcinku autostrady i kieruję się do Gliwic kolejnego punktu kontrolnego. Chcąc pognać moje rywa, dzwonię pochwalić się swoim dobrym czasem: - Cześć Marcin, pozdrawiam z A4, bo właśnie wyjechałem z Rzeszowa. Jak Ci się podoba tył mojego samochodu, który podziwiasz od samego Gdańska? - pytam z humorem.

- Jak to? A co Ty robisz w Gliwicach? Nie mogę w to uwierzyć, ale Marcin już jest za Gliwicami. No ładnie, ten cwaniak zawsze coś wykombinuje, tym razem skorzystał z transportu lotniczego i z Warszawy

poleciał do Rzeszowa. A z Rzeszowa pędzi wynajętym samochodem. Oczywiście, przed wyścigiem ustaliliśmy, że na jednym z etapów można skorzystać z samolotu, ale ja zostawiłem sobie lot samolotem na trasę Katowice - Szczecin (z przesiadką w Warszawie). Marcin miał spore opóźnienie na trasie Gdańsk-Warszawa i podjął ryzykowną decyzję. Ale, jak to mówią, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Sobota 02:25, Szczecin

Rozmowa z Marcinem podziałała na mnie niczym zimny prysznic. Szybko wzięłem się w garść i sprawnie dojechałem A4 do Gliwic, wykonałem pamiątkową fotografię

Fot. Archiwum Urzędu Miejskiego
w Gliwicach / Adam Ziłaja



Port Lotniczy Szczecin-Goleniów Sp. z o.o.

Projekt: Rozwój systemów bezpieczeństwa w zakresie przeciwpożarowym i eksploatacyjnym lotniska Szczecin-Goleniów

Całkowita wartość projektu: 17 576 079 PLN

Współfinansowanie z UE: 10 659 581 PLN

Od grudnia 2011 roku nad bezpieczeństwem pasażerów i pracowników Portu Lotniczego Szczecin-Goleniów czuwają najnowocześniejsze pojazdy ratowniczo-gaśnicze. W ramach projektu port lotniczy został wyposażony w lotniskowy pojazd ratowniczo-gaśniczy szybkiej interwencji 4x4 wraz z wyposażeniem oraz lotniskowy pojazd ratowniczo-gaśniczy 8x8 z wysięgnikiem wraz z wyposażeniem.

przy tabliczce z nazwą miasta, by nie było żadnych wątpliwości i pogałem na lotnisko w Katowicach. Nowy system sygnalizacji w Gliwicach najwyraźniej kibicuje mojemu zwycięstwu, bo trafiłem na zieloną falę i dzięki niej ekspresowo stawiłem się w Katowicach. Sumując czas przelotu do Szczecina, czyli niecała godzina z Katowic do Warszawy oraz siedemdziesiąt pięć minut z Warszawy do Szczecina (plus oczywiście godzina na odprawę lotniskową), wyliczyłem, że może mi się uda wyprzedzić Marcina, który nadgonił czas, jadąc autostradą A4 aż do Wrocławia. Lot do Szczecina - mimo przeładunku - był niczym niezmarycony relaks w spa. W samym Szczecinie poczułem zapach

zwycięstwa. Jeszcze tylko dwie godziny, które dzielą mnie od wymarzonej mety w Kołobrzegu. Wsiadłem do wynajętego samochodu i ruszyłem w drogę.

Sobota 04:30, Kołobrzeg

Nocna podróż prowadziła głównie trasą nr 6. Senna pora nie uspiła mojej czujności, a wizja zwycięstwa motywowała do szybkiej, ale bezpieczniejszej jazdy. Postanowiłem zadzwonić do Marcina. Oznajmiłem mu, że wschód słońca nad kołobrzewskim portem wygląda imponująco. Upewniłem się, że on dopiero wyjeżdża ze Szczecina i puściłem mu do słuchawki przygotowany na tę okazję mój ulubiony numer zespołu Queen „We are the Champions”. Na otarcie łez zaproponowałem

smażoną rybkę w jednej z najlepszych tawern Kołobrzegu. Rewanż należał do mnie. Świeżo smażona ryba smakowała jak nigdy, ale czy zdecydujemy się na trzeci wyścig? Marcin już coś przebąkuje o kolejnym, ale na wyścigi to ja mogę teraz łowić ryby. Tak dobre, jak te w Kołobrzegu.

Fot. Gmina Miasto Kołobrzeg

Fot. Port Lotniczy
Szczecin-Goleniów Sp. z o.o.

Kołobrzeg

Projekt: Poprawa dostępności do portu Kołobrzeg od strony lądu (drogi i kolej) - etap II
Całkowita wartość projektu: 67 180 525 PLN
Współfinansowanie z UE: 48 733 453 PLN

Projekt nazywany potocznie małą obwodnicą Kołobrzegu to największa inwestycja komunikacyjna w mieście, mająca na celu poprawę dojazdu do portu, odciążenie centrum Kołobrzegu oraz usprawnienie dowożenia na teren portu ładunków o ogromnych rozmiarach. W czerwcu 2012 roku zakończono prace w ramach drugiego etapu i oddano do użytku południowy odcinek trasy o długości 5,6 km.

**Centrum Unijnych
Projektów Transportowych**

Instytucja Wdrażająca PO IIS
ul. Bonifraterska 17, 00-203 Warszawa
tel. 22 262 05 00, fax 22 262 05 01

www.cupt.gov.pl | cupt@cupt.gov.pl | www.pois.gov.pl

www.transport.gov.pl | www.mrr.gov.pl



najprostsze wcale nie znaczy łatwe. Bo na przykład jedną z najtrudniejszych rzeczy w kuchni jest zrobić porządną jajecznicę.

Taką na masle?

Tak, ale ściętą jak trzeba, a nie rozwleczoną. Niewielu kucharzy to potrafi i dlatego na mieście nigdy mi nie smakuje. Jak się chce coś zrobić dobrze, to trzeba nad tym popracować. To może dla mnie charakterystyczne. Lubię pracować. Bez roboty czuję się nieszczęśliwy. To jest koszmarnie.

Od niepamiętnych czasów na początku sierpnia jeżdżę na dwa tygodnie wakacji do Sopotu. Tam dostaję małpiego rozumu, bo nie mam co robić. Już tylko chcę, żeby się te wywczasy jak najszybciej skończyły!

Kiedy pukałam do drzwi, słyszałam, że grał pan na pianinie.

Kontakt z instrumentem musi być cały czas! Bez niego człowiek skazany jest na klęskę.

Czyś wyjątkowym w jazzowym środowisku, które w sposobie bycia bywa i bywało mocno rockandrollowe, jest pana małżeństwo. Trwało od wielu, wielu lat.

No Boże drogi, podejmuje się zobowiązanie, to trzeba się go trzymać.

Pani Ewa towarzyszy panu podczas większości koncertów. Chyba lubi to jazzowe życie?

Zdaje się, że tak. Ale przy tym bardzo mi teraz pomaga. Zwłaszcza że obecnie nie ma porządných menedżerów jazzowych. Muzykom zwalono na głowę księgowość, sto tysięcy kwitów, papierów, osprzętowanie, sprawdzenie wszystkiego na scenie. I to najbardziej niewdzięczna część tej roboty.

Oj, to ciężkie życie ma pańska żona, skoro musi to wszystko ogarniać.

No, to jest ten consensus, którego nie umiem zawrzeć politycy. Ja z czegoś ustąpię, moja żona też ustąpi. Inaczej się naprawdę nie da.

Jazzowe małżeństwo, zwłaszcza dla żon jazzmanów, to chyba nie jest najłatwiejsza sprawa pod słońcem. Koledzy, jam session, fanki, alkohol...

Ja nie piję. Od ponad 25 lat nie wypilem nawet piwka. Doszedłem do wniosku, że mam po alkoholu fatalne samopoczucie. Ale bywam w towarzystwie, które popija, oby nie za dużo, i równo z nim nabieram humoru.

Jazz na Kalatówkach, lata 60. Od lewej: Jan Zylber, Andrzej Kurylewicz, Zbigniew Namysłowski, Władysław Jagiełło, Jan Tomaszewski, Aleksander Musiał, Jan „Ptaszyn” Wróblewski.

Koledzy nie mają za złe, że się pan z nimi nie napije?

Koledzy nie, ale już kibice jak najbardziej. Potrafią się rozszłościć, że się nie chcę zbratać: „Co, ze mną się nie napijesz?”. Bardzo często dochodziło niemal do starć i koledzy musieli mnie bronić. No ale minęło już tyle lat, że chyba udało mi się do tego ludzi przyzwyczaić. Natomiast nadal nie akceptują tego, że palę. Ciągłe mnie wyganiają. Palę gdzieś na dworze, a wtedy podchodzą do mnie obcy ludzie, psiocząc: „No i musi pan tak palić?”. Tolerancji zero.

Ma pan wyjątkową zdolność do opowiadania anegdot.

Człowiek pozbawiony poczucia humoru nie może być jazzmanem! To dosyć rewolucyjna teoria i pewnie nieprawdziwa. Ale ja tak uważam.

Jest pan czarną skrzynką polskiego jazzu.

Nikt chyba nie wie o nim tyle co pan. Spisuje pan wspomnienia?

Coś tam od czasu do czasu zanotuję w kalendarzu. Ale tak naprawdę to audycje są takim rodzajem dźwiękowej kroniki. A czarną skrzynką i nestorem jest raczej Duduś Matuszkiewicz, nie ja.

Jest jeszcze jedna rzecz typowo „Ptaszynowa” – ta charakterystyczna czapeczka z daszkiem.

Przypuszczam, że ma pan ich całą kolekcję.

A, to zupełny przypadek! Kiedyś taką czapeczkę założyłem, ktoś powiedział: „Fajnie ci, mógłbyś w tym zagrać” i już tak zostało. No i chyba faktycznie lepiej w tej czapce wyglądam niż w łysinie... I to nie jest jest bejsbolówka, broń Boże! To musi być czapka, która od razu od daszka idzie w tył, bez sztywnego przodu. Kiedyś próbowano mi takie prezenty dawać, ale to nigdy nie było to. Sam muszę wybrać, przymierzyć i kupić. Nie kolekcjonuję ich – pełnią rolę skarpetek, zużywają się, tak do śmieci.

Te nasze Przekrojowe rozmowy mają taką formułę, że zastanawiamy się, jak to jest być naszym bohaterem. Jak to więc jest być Jan „Ptaszyn” Wróblewski?

Boże, nikomu nie radzę. ☹

DOMINIKA WĘCŁAWEK

Inwazja zakręconych przebierańców

Miesiącami ćwiczą rolę, pracują nad kostiumami, dopieszczają każdy szczegół, dbają o charakteryzację. A wszystko to dla zaledwie kilku występów. Gdyby byli aktorami, graliby pewnie Hamleta albo Ifigenię. Ale to **cosplayerzy**, którzy wcielają się w bohaterów gier, kreskówek i komiksów.

Cosplay łączy wszystkie moje pasje: filmy animowane, sztukę, gry, modę, makijaż – mówi do kamery dziewczyna o białych włosach i kocich uszach. Niski, krępy, zielonoskóry chłopak z pomarańczową grzywą przebrany za brazylijskiego potwora Blankę z gry „Street Fighter” dodaje, że chodzi mu o uznanie innych ludzi. Uroczą wojowniczką Jedi Aayla Secura w towarzystwie dwóch szturmowców Imperium z uśmiechem przyznaje zaś, że to po prostu kolejny wyraz miłości do świata „Gwiezdnych wojen”. Takich jak oni nazywają nerdami albo geekami. To sympatyczne szajbusy, które idą krok dalej niż przeciętny fan.

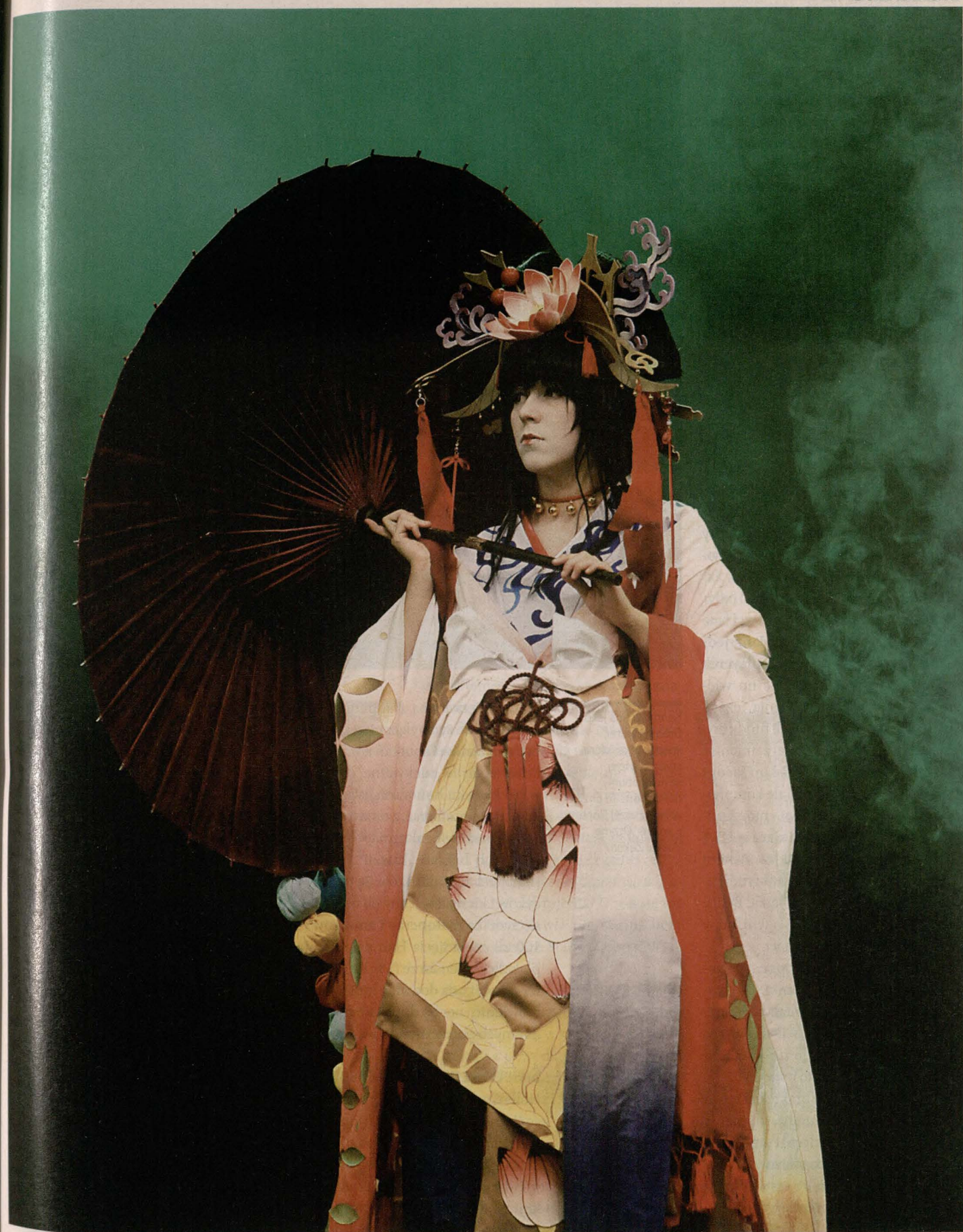
Katarzyna „Kairi” Siedlecka, podwójna wicemistrzyni Europy w cosplayu, często wcielając wojowniczkę takie jak Saber (poniżej) czy Hana (po prawej).

Morgan Spurlock, reżyser znany dzięki dokumentowi „SuperSize Me”, w swoim najnowszym filmie „Comic Con Epizod V: Fani Kontratakuja” (polska premiera 23 listopada) pokazuje wielu im podobnych. Jak choćby Holly Conrad, drobną dziewczynę z miasteczka, w którym – jak sama mówi – ludzie zatrzymują się tylko po to, żeby skorzystać z toalety, jadąc w góry. Holly wraz z ekipą przyjaciół przygotowuje w domowym garażu zaawansowane kostiumy postaci z gry komputerowej „Mass Effect”, by następnie pojawić się na „Maskaradzie” – konkursie cosplayowym organizowanym podczas kalifornijskiego konwentu.

Szczęśliwa misja samobójcza

– To świetna okazja do autopromocji. Wielka szansa, by zaprezentować swoje prace. Zamiast siedzieć na tyłku i rozsyłać CV, stworzyłam wielkie kostiumy. Może wzbudzą zainteresowanie – zwierza się Holly w filmie. Chodzi jej o coś szalonego, podjęcie ryzyka, wydanie całej forsy, zebranie przyjaciół, stworzenie ekipy szaleńców. Zupełnie jak w grze „Mass Effect”, gdzie zespół najróżniejszych indywidualistów z wielu planet wyrusza na misję samobójczą, by ocalić wszechświat.

– Tym się właśnie zajmuję. To metaforyczna misja samobójcza w walce o moją przyszłość – deklaruje Holly Conrad, która nie chce spędzić życia, umierając z nudów w jakiejś firmie. – Oczywiście wiele razy pracowałam na normalnej posadzie i przyjmowałam zwyczajne zlecenia. Artysta nigdy nie osiągnie takiej stabilności finansowej jak pracownik korporacyjny – przyznaje w rozmowie z „Przekrojem” Holly. Tłumaczy jednak, że niezależnie od tego, co obecnie jej tę stabilność zapewnia, przede wszystkim czuje się projektantką kostiumów. – Od dziecka pragnęłam tworzyć monstra i opowiadać historie – wspomina Conrad. Na konwent, podczas którego Spurlock realizował swój dokument, ekipa Holly przywiozła coś wyjątkowego. Poza typowymi „ludzkimi” kostiumami wymyśliła wykonanie animatronicznego stroju potwora – Kroganina – który mógłby poruszać mięśniami swojego pyska, mrugać oczami, a nawet mleć ozorem. Oczywiście przygotowywany w amatorskim warsztacie przez absolutnych samouków, a przy tym mocno technologicznie zaawansowany projekt mógł być zarówno wielkim sukcesem, jak i zupełną klęską. Niezależnie od efektów sama idea gwarantowała miejsce w ponadczterdziestoletniej historii kalifornijskiej imprezy – czegoś takiego nigdy tu wcześniej nie widziano. By przekonać się, jak skoń-



MATEUSZ ZAHORA

czyła się historia z „misją samobójczą”, warto obejrzeć cały dokument. W każdym razie rok po premierze filmu w Stanach i dwa lata od pamiętnego występu Conrad może pochwalić się kilkoma sukcesami. – Wraz z Jessicą Merizan, która wystąpiła ze mną w filmie Spurlocka, założyliśmy warsztat Crabcat Industries. Przygotowujemy kostiumy na zlecenie i najróżniejsze wideoporadniki. Wciąż jeździmy na konwenty. No i pracujemy dla BioWare – mówi nam Holly.

BioWare to producent gry „Mass Effect” (a także wielu innych popularnych serii gier, m.in. „Baldur’s Gate”, „Neverwinter Nights” i „Dragon Age”). Holly została ich konsultantką do spraw kostiumów w ekranizacji gier, a jej koleżanka menedżerem mediów społecznościowych. Droga, którą wybrały – od fana do współtwórcy – to coraz popularniejszy sposób na życie.

Od hobbystki do celebrytki

Taką drogą podąża Yaya Han, jedna z najpopularniejszych cosplayerek świata. Yaya udowodniła, że im więcej serca oraz zaangażowania, czasu (i na starcie również własnych funduszy) włożysz w hobby, tym łatwiej zamienisz je w źródło dochodu. – Miałam kiedyś nieciekawą pracę biurową, ale kompletnie mi się to nie podobało – mówi pochodząca z Chin, a mieszkająca w USA Yaya. Mangą i anime, czyli japońskimi komiksami i filmami animowanymi, zafascynowała się jako ośmiolatka. Będąc nastolatką, zaczęła myśleć o tym, żeby wcielać się w ulubione postaci.

– Pierwsze kostiumy opracowywałam przy wsparciu koleżanki. Gdy zaczęłam, po prostu nie miałam pojęcia o szyciu – przyznaje Han. Dziś patrząc na stroje, dodatki, biżuterię i ozdoby, które tworzy, trudno w to uwierzyć.

– Mam za sobą 12 lat praktyki i ponad 200 wykonanych kostiumów – tłumaczy Yaya. Jest wolnym strzelcem i utrzymuje się wyłącznie dzięki cosplayowi. Wciela się w role na potrzeby sesji fotograficznych, uświetnia premiery gier, często jest też zapraszana jako ekspertka.



Karina, znana jako Dream Hunter, cosplayerka, która coraz częściej szyje kostiumy na eksport. Tu pozuje w roli uroczej Bonbori z anime „Otome Youkai Zakuro”.

Okrzyknięta jedną z supergwiazd cosplayu może żyć wyłącznie z prowadzenia warsztatów i spotkań autorskich, za które zgarnia adekwatne do pozycji w środowisku honoraria. Wciąż jednak kocha się przebierać, a na swojej stronie www umożliwia zakup najróżniejszych, będących bardzo „kawaii” (uroczych, ślicznusich) produktów. Są tu uszy kucyków i kiciusiów (ceny od około 50 zł), skrzydełka nietoperzy i aniołków (50–100 zł) czy zdjęcia Han z autografem, plakaty i kalendarze (35–120 zł). Chętnie też wykona dowolny kostium na zamówienie, a cenę dopasuje do indywidualnych potrzeb i możliwości klienta.

Świetlana przyszłość cosplayu

Holly Conrad jeszcze nie osiągnęła tego co Yaya. Na razie Crabcat Industries dostarcza jej środków na dodatkowe wydatki. I frajdy. Biorąc się za cosplaying w Polsce, można liczyć przede wszystkim na zabawę. – Ludzie robią stroje i startują w konkursach na imprezach

podobnych do amerykańskiego Comic Conu, ale najczęściej nie udaje się im wyjść poza to środowisko – mówi nam Oliwia Chrzanowska. Oliwia jest jedną z niewielu polskich cosplayerek, której udało się coś zarobić na tym hobby. Jak wspomina, stworzyła strój dla firmy CD Projekt na potrzeby promocji gry Disneya.

W ramach współpracy zawodowej Oliwia wcielała się w Meridę Waleczną z gry „Brave” inspirowanej filmem animowanym o tym samym tytule. Była też Novą, bohaterką gier „Starcraft 2” i „Lightning” z XIII części popularnej serii „Final Fantasy”. – U nas nie ma firmy, która zatrudniłaby cię na stałe jako jej cosplayerkę – narzeka Oliwia. Ale to wkrótce może się zmienić. Jak przyznaje Michał Gembicki, dyrektor zarządzający w CD Projekt, występ cosplayerów to dziś nieodzowny element udanej premiery gry. Z punktu widzenia firmy, którą reprezentuje Gembicki, czyli jednego z najpopularniejszych wydaw-



Oliwia Chrzanowska w roli postaci z gry „Zelda” (góra), Holly Conrad jako Dr Strange z komiksu Marvela (dół) – obie przeszły drogę od amatora do zawodowca

ców i producentów gier w naszym kraju, cosplayerzy przykuwają uwagę gości i cieszą się dużym zainteresowaniem mediów. – Podczas ważnych wydarzeń, takich jak nocna premiera „Diablo 3”, na której gościliśmy około 5 tys. fanów gier, organizowaliśmy konkurs dla najlepszego cosplayera – wspomina Gembicki. Dodaje, że wśród gości nie brakowało wielu świetnie wyglądających fanów. Podobnie było podczas premier „Wiedźmina” i „Wiedźmina 2: Zabójcy królów”. – Oprócz osób przebranych za Geralta z Rivii stawiało się sporo doskonale wystylizowanych rudowłosych Triss Merigold – opowiada przedstawiciel CD Projekt. I, co najważniejsze, widzi kilka okazji do pracy z profesjonalistami. W końcu zbliżają się kolejne targi, premiery i pokazy.

Zaszaleć można w Stanach

Jednak nie wszystkim cosplayerom marzy się występowanie w roli modeli. Katarzyna „Kairi” Siedlecka, choć już dwu-

krotnie przywiozła z prestiżowego londyńskiego konwentu cosplayowego nagrodę za występy w autorskich kostiumach, widzi się raczej w roli twórczyni przebrań dla innych. – Najczęściej zajmuję się małymi zleceniami na dodatki i akcesoria. Myślałam również o pracy w teatrze jako rekwizytor bądź kostiumograf – przyznaje Kasia. A ma spore doświadczenie. W tym roku w Londynie wcieliła się w postać Onion Knighta z gry „Final Fantasy”. Stylizację zaczęła opracowywać ponad pół roku przed konkursem. – Strój, który wybrałam, wymagał ode mnie umiejętności stosowania różnych technik. Niektóre elementy rzeźbiłam i malowałam. Musiałam farbować tkaniny i wycinać w PCV – wylicza „Kairi”. Stworzenie kostiumu kosztowało ją 2 tys. zł. W garderobie ma więcej takich strojów. Są tu własnoręcznie stylizowane peruki i inne dodatki. Niektóre rzeczy wystawia na sprzedaż w zagranicznych sklepach. Najczęściej czeka, aż klientki same zaproponują cenę.

Na klientelę zagraniczną nastawiona jest również cosplayerka Karina, znana szerzej jako Dream Hunter. Bo, jak twierdzi, na rodaków nie ma co liczyć. Karina uważa, że woła wyglądać gorzej, za to pracować samodzielnie i zostawić pieniądze w portfelu. Nie są gotowi, żeby wydać na strój 420 dol. A tyle właśnie Dream Hunter dostała za kostium Zeldy z popularnej gry „Legends of Zelda”. Co z tego, że jest kompletny, ma nawet elementy uzbrojenia? U nas się nie sprzeda. Dlatego właśnie Karina liczy na zamówienia ze Stanów albo z Wielkiej Brytanii.

Zaczął się od niewinnego e-maila od cosplayerki z USA. Amerykance spodobał się strój, w którym Karina występowała z powodzeniem na konwencie. Dziewczyna bez problemu przyjęła zaproponowaną kwotę rzędu kilkudziesięciu dolarów. – Wtedy zaczęłam myśleć, by po prostu sprzedawać stroje, które już gdzieś prezentowałam. Szafa ma swoją pojemność, a kolejne stroje i tak trzeba przygotowywać – mówi Karina. Ale dziś sprzedaje już nie tylko no-

szone przez siebie stylizacje. Coraz częściej projektuje kostiumy na zlecenie.

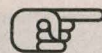
– Zagraniczne zamówienia to też ryzyko. Przecież nie ma opcji przymiarki. Raz zdarzyło mi się, że strój został odesłany z prośbą o kilka poprawek, ale ponieważ miałam dobry kontakt z klientką, wszystko szczęśliwie się skończyło – wspomina Karina.

Cosplay może jednak stać się czymś więcej niż kosztownym i wyglądającym na nieszkodliwe wariactwo hobby. Rodziny i przyjaciele cosplayerów zaczynają doceniać obecność wprawnego projektanta, krawca, a czasem – jak w przypadku Holly Conrad – także inżyniera. Jak tłumaczy bohaterka filmu „Comic Con Epizod V”: – Nie rozumiem dlaczego nie mieliby mnie wspierać. W końcu każdy zaczyna rozumieć, że pragnienie robienia efektów specjalnych czy kostiumów jest tak samo dobre jak każde inne. A poza tym każdy, jeśli tylko ładnie poprosi, może ode mnie dostać fantastyczny kostium, na przykład na halloweenową zabawę. Na co więc narzekać? ☺

Etykieta cosplayera

„Cos” jak „kostium”. „Play” jak „odgrywanie”. Tu trzeba być aktorem, wejść w rolę, a nie w zamówiony w sklepie trykot. Etos cosplayera nakazuje wręcz, by jak najczęściej stawiać na własnoręcznie projektowane i wykonywane stroje oraz dodatki. Broni można zamówić u rzemieślnika, o nałożenie idealnego makijażu warto poprosić koleżankę, specyficzne dodatki można natomiast sprowadzić ze specjalistycznych sklepów i ewentualnie zmodyfikować wedle własnego pomysłu. Nie wypada jednak stawać w szranki z innymi cosplayerami w kostiumie produkowanym masowo. Większość chcących coś osiągnąć cosplayerów żyje od konkursu do konkursu, jeździ na konwenty, czyli spotkania fanów komiksów, gier czy japońskiej popkultury. I stara się przekuć swoją pasję w zawód. Profesjonalny cosplaying najmocniej rozwinął się w USA i w Japonii. Tam ludzie wcielający się w swoich ulubionych bohaterów zarabiają na życie, uświetniając festiwale, premiery i spotkania firmowe, prowadząc warsztaty, wideoblogi z poradami oraz własne sklepy.





W eleganckim i luksusowym garniturze klient będzie wyglądał szczupło i męźnie. Zapewni mu to dwóch Maciejów. O warszawskich krawcach opowiadają Marta Mach i Agata Napiórska. → 52

ANNA PRZYBYLL

Dziesięć przykazań budowania wizerunku w Internecie

Bądź jak płochliwa płotka, która zamienia się w bezwzględne rekina biznesu. Zamiast udawać ptaka z podciętymi skrzydłami, przeź się dumnie jak paw. Wystarczy kilka prostych zabiegów, żeby stworzyć odpowiedni wirtualny image

1 Raz w miesiącu wpisz w wyszukiwarkę swoje dane

Co jakiś czas warto przeprowadzić procedurę zwaną z ang. auto-googling lub ego-surfing. Można zacząć od sprawdzenia, co na nasz temat zgromadziła wyszukiwarka osób 123people, która korzystając ze specjalnego algorytmu, wyświetla informacje związane z osobami, m.in. zdjęcia, filmiki wideo, numery telefonów, adresy e-mail, profile z portali społecznościowych i Wikipedii. Poza własnym imieniem i nazwiskiem w różnych konfiguracjach (z użyciem plusa i cudzysłowu), warto sprawdzić używane pseudonimy, a także adresy e-mailowe i numery telefonów wpisywane w Google. Autoposzukiwania można zwieńczyć, posługując się wyszukiwarką pokazu-



jącą zasoby głębokiej sieci: <https://pipl.com/>. Pamiętajmy, że nawet najbardziej oryginalne nazwisko nie gwarantuje, że ktoś na ziemi nie nazywa się tak samo jak my. Gdy znajdziesz coś przerażającego na swój temat, nie wpadaj od razu w panikę. W sieci może czaić się Googleganger, czyli osoba z takimi samymi danymi personalnymi. Wtedy warto upewnić się, że taka osoba istnieje, aby wykluczyć, że ktoś się pod nas podszywa.

2 Profil służbowy, czyli trzy razy P

Profil musi być: poważny, publiczny i pod kontrolą. Dynamiczny rynek pracy powoduje, że zatrudnienia szukamy całe życie. W Internecie często to ono szuka nas rękami head hunterów lub pracowników działu rekrutacji. Aby dać się zna-

leć najlepszym, warto stworzyć profil na profesjonalnym portalu, np. GoldenLine, Profeo, LinkedIn czy Xing, i regularnie aktualizować swój życiorys. To ważne, bo nie ma nic gorszego niż przestarzały profil ze zdjęciem maturalnym. Nie bez znaczenia również jest zabieranie głosu na portalowych grupach tematycznych czy prowadzenie branżowego bloga. Wpisy mogą śmiało wykraczać poza zagadnienia służbowe, aby pokazać nas jako ludzi, którzy prowadzą aktywne życie. Ważne, by nie przesadzić i nie zamieścić np. zdjęcia z szalonej imprezy czy wulgarnego komentarza.

3 Na profilu prywatnym ograniczaj dostęp

Zadbałeś już o profesjonalny profil na GoldenLine i z ochotą wskakujesz na Nk.pl czy Facebooka, gdzie czujesz się jak u siebie w domu. Fotka z łódki na Mazurach z piwem w ręku, rubaszny podpis pod zdjęciem przyjaciółki, wygrana w wirtualnej grze w mafie, like na stronie sugerującej zamiłowanie do palenia marihuany – to może oznaczać twoje pożegnanie z szansą na dobrą pracę, ale i na długotrwały związek. Kto nie zagląda do sieci w celu poszukiwania informacji na temat nowo poznanej osoby, ręka w górę. To, co chcesz utrzymać w prywatności, możesz zamieścić na zastrzeżonym blogu lub zanotować w wirtualnym pamiętniku, np. Penzu.com. Doświadczenie podpowiada, że lepiej do przyjaciół nie dodawać szefa. Złota reguła: im mniej z naszego facebookowego czy mikroblogowego profilu prywatnego wyświetla wyszukiwarka, tym lepiej.

4 Gdy przyjaciel to wróg, działaj!

Amerykańska wokalistka Amanda Palmer śpiewa w jednej ze swoich piosenek: „Googluję cię późno w nocy, gdy nie wiem, co robić, znajduję zdjęcia, o których już zapominałeś, że na nich jesteś, zamieszczone przez twoich przyjaciół”.

Nie każdy przyjaciel z Facebooka to przyjaciel prawdziwy. Zazdrosny kolega z pracy doniesie szefowi o twoim luksusowym urlopie, co może pogrzebać szanse na podwyżkę, a ludzie, których poznałeś na imprezie, a tylko dzięki Facebookowi kojarzysz ich imiona, mogą zaszkodzić twojej reputacji, jeśli np. są oszustami podatkowymi. Bierz przykład z celebrytów, którzy selekcionują osoby, z którymi się pokazują w życiu i na zdjęciach. Za cenę popularności na Facebooku można stracić to, co w życiu najważniejsze – miłość, karierę, zaufanie.

5 Co było, a nie jest, pisze się w rejestr

Nawet stare komentarze zamieszczone na profilu warto cenzurować pod kątem reputacji. Jak wynika z opublikowanego na początku października badania Kaplan Test Prep: 26 proc. kierowników działów rekrutacji z 500 renomowanych szkół wyższych USA sprawdzało profil kandydata na Facebooku, a 27 proc. w Google. Z tego 35 proc. znalazło coś, co spowodowało zmniejszenie szans kandydata na dostanie się na studia. Z kolei z badań opublikowanych w kwietniu przez portal CareerBuilder wynika, że aż 37 proc. pracodawców szuka informacji o kandydatach w mediach społecznościowych. Z tego 65 proc. sprawdza, czy kandydat prezentuje się profesjonalnie, 51 proc. chce się przekonać, czy pasuje do kultury danej firmy, a 45 proc. robi to, aby dowiedzieć się więcej o kwalifikacjach aplikującego. Co ważne,



rekruterzy przywiązują wagę do treści komunikatu, nie do jego daty publikacji.

6 Nie korzystaj z social media w godzinach pracy

Pamiętaj, że każdy wpis ma datę i godzinę, a korzystanie z sieci społecznościowych czy pisanie prywatnych e-maili w godzinach służbowych jest niezgodne z kodeksem pracy. Artykuł 100 k.p. głosi, że: „Pracownik jest obowiązany w szczególności: przestrzegać czasu pracy ustalonego w zakładzie pracy, przy czym nie należy tego zapisu traktować jako wyłącznie obecności w pracy, ale efektywnego wykorzystywania czasu pracy”. Nie wolno zapominać, że pracodawca wymaga od nas lojalności i jeśli nawet na prywatnym profilu napiszemy coś, co może zaszkodzić naszej firmie, a pomóc konkurencji, szef może nas zwolnić. A gdy jesteś na zwolnieniu lekarskim, też lepiej nie pokazywać się na Facebooku i nie wpisywać się na bloga, bo szef

może pomyśleć, że skoro żwawo surfujesz, równie dobrze możesz przyjść do biura.

7 E-mail służbowy wykorzystuj tylko do celów służbowych

Wprowadź wyraźne rozróżnienie na e-mail prywatny i służbowy, nawet po godzinach pracy. Zrób to przede wszystkim dlatego, by w przypadku zmiany pracy czy awarii komputera nie musieć chaotycznie usuwać prywatnych zasobów. Z kolei używanie e-maila prywatnego do celów służbowych grozi tym, że szef będzie pisał do nas w czasie wolnym oraz że klient dostający e-mail od misio444@onet.pl weźmie nas za mało profesjonalnych.

8 Pamiętaj, że Google jest pamiętliwy

Nie zapomina, że pomimo usunięcia niepożądanych treści ze strony, na której pierwotnie je zamieszczono, mo-

gły zostać utrwalone na innych blogach, forach czy na Twitterze. Po usunięciu wpisu wrzuci go w cudzysłowie w Google i sprawdź, czy nie pokazuje się w wynikach na innej stronie. Często sam Google przechowuje archiwalne kopie naszych stron – można to sprawdzić, otwierając tzw. kopię strony. Z czasem znika i ona. Nie znika natomiast zapis stron sprzed wielu lat utrwalony w Waybackmachine (<http://archive.org/web/web.php>). Jeśli znajduje się tam coś, czego się wstydzimy, można poprosić redakcję serwisu o usunięcie archiwum, które nas dotyczy.

9 Zaprenumeruj siebie

Dobrym pomysłem jest ustawienie swojej prenumeraty na wiadomości



z własnym nazwiskiem. Nie jest to objaw narcyzmu, ale zwykłej ostrożności. W panelu Google znajduje się sekcja „Ja w Internecie”, dzięki której istnieje możliwość dostawiania powiadomienia o pojawieniu się w sieci danych osobowych.

Na Facebooku również można pobrać plik ze wszystkimi danymi, które firma przechowuje na nasz temat, i ewentualnie pozbyć się niechcianych elementów. Więcej o tym znajdziesz w „Centrum pomocy” Facebooka, zakładka: „Zarządzaj swoim kontem” – „Pobieranie swoich informacji”.

10 Zgłoś się po pomoc do profesjonalisty

Jeśli wyczerpałeś możliwości pozbycia się niechcianych śladów z Internetu, pozostaje poprosić o pomoc profesjonalną firmę, która zajmuje się tzw. ORM, czyli dbaniem o reputację w sieci. Na polskim rynku istnieje już kilka takich firm. Dokładnego opisu metod ich działania nie znajdziesz w Google.

ROZMAWIA MICHAŁ MALTAN

Dyrektor grupy specjalnej

Groupon dotarł do Polski dwa lata temu i narobił sporego zamieszania. Wszyscy bili się na nim o tańszą kolację, okazjonalne wakacje albo zakupy marzeń za pół ceny. Dziś boryka się z kolosalnymi problemami, zaliczając spadek za spadkiem. W Polsce za jego sterami zasiadła właśnie **Aniela Hejnowska**, która – jak mówi – cieszy się z możliwości dołączenia dogrouponowej rodziny. Czy będzie potrafiła pogodzić wszystkich krewnych i pokazać im, jak znów osiągnąć sukces?



→ Skąd pani czerpie inspiracje biznesowe?

Przed wszystkim z rozmów z pracownikami i klientami. Inspiracją niekoniecznie są osoby na kierowniczych stanowiskach. Kopalnią pomysłów bardzo często są dla mnie pracownicy pierwszej linii, czyli handlowcy, konsultanci obsługi klienta, partnerzy. Dużo czerpię także ze świata online – publikacji biznesowych, serwisów społecznościowych i blogów. Korzystam też z sieci Vital Voices, którą tworzą najbardziej wpływowe kobiety świata.

→ Co panią zachwyca w dziedzinie technologii?

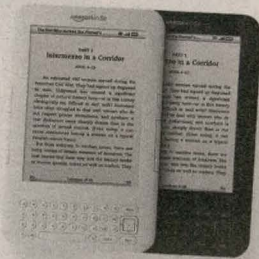
Internetowa chmura, wraz z którą – wreszcie – pojawił się stały element wirtualnym świecie. Chmura daje mi wygodę i bezpieczeństwo. Przechowuję w niej wszystkie moje dane, więc jeżeli zgubię albo zapomnę mój telefon, laptop czy iPod, mogę żyć, działać i pracować dalej, jak gdyby nigdy nic, nie będąc przywiązana do konkretnych przedmiotów. Sprzęt elektroniczny, który mnie zachwyca, to czytnik Amazon Kindle. Dzięki niemu mogę wnieść dziesięć książek do obozu pod Mount Everestem, nie męcząc się, by w każdej wolnej chwili sięgnąć po ulubioną lekturę. Podobne wrażenie robi na mnie iPad, jego intuicyjność i prostota. Nawet dwuletnie dziecko potrafi go obsługiwać.

→ Na jakie wydarzenie kulturalne, sportowe czy biznesowe pani czeka?

Świat kultury i sztuki jest dla mnie światem równoległym do biznesu. W moich słuchawkach leci teraz Omara Portuondo, kubańska wokalistka. Na wyspie znana od ponad pół wieku. Świat odkrył ją dopiero w 1999 r., kiedy pojawiła się na płycie „Buena Vista Social Club”. Poza tym staram się regularnie odwiedzać warszawskie galerie sztuki i uczestniczyć w licznych ostatnio w Warszawie koncertach. Szczególnie zapadł mi w pamięć wernisaz Pawła Kałużyńskiego. Świetna fotografia w innowacyjnej technice. Dobrze wspominał też Warsaw Gallery Weekend, który pokazał, jak duży jest jeszcze potencjał rozwoju sztuki w naszej stolicy. Jednak przede wszystkim bardzo niecierpliwie czekam na koncert amerykańskiego wokalisty Jasona Mraza w Londynie, spektakl „Danuta W.” w teatrze Polonia i imprezę biznesową Vital Voices Mentoring Walk, czyli wspólny spacer liderów z kobietami, które do tej roli dopiero aspirują.

→ Co najbardziej panią denerwuje?

Lenistwo! Moja tolerancja na zachowania takie jak w wierszu Jana Brzechwy „Leń” jest zerowa.



WALY SANTANA/AP

Aniela Hejnowska

Wykres akcji Groupona przypomina stromy stok opadający w kierunku głębokiego dna. Jeszcze rok temu za akcje firmy z Chicago płacono 26 dol. – dzisiaj kupimy je 12 razy taniej. Skąd taki drastyczny spadek? Oskarżenia byłych pracowników, problemy z rozliczaniem bieżących należności, kontrowersyjne decyzje Andrew Masona, założyciela firmy, który dwa lata temu odrzucił sześciomiliardową ofertę kupna serwisu przez Google. W takiej atmosferze na czele polskiego oddziału firmy stanęła Aniela Hejnowska. Na pewno nie można odmówić jej odwagi, bo globalne problemy Groupona uderzają również w Polskę. Jednak nasz kraj pozostaje nadal jednym z najlepiej rozwijających się rynków grupowych. Gdyby to nie wystarczyło, Hejnowska wie jednak, jak skutecznie pracować dla kontrowersyjnego pracodawcy. Karierę rozpoczęła w 2005 r. w Tele2, które już dwa lata później przeproszało klientów za oszustwa przy podpisywaniu umów. W 2008 r., po przejęciu kontrowersyjnego operatora przez Netię, Hejnowska przeprowadziła program reorganizacji w firmie, co zapoczątkowało awansem – rok później zajmowała już stanowisko dyrektora zarządzającego. Jej umiejętności zostały wyróżnione nagrodą Businesswoman roku 2010. Odbierała ją z zaokrąglonym brzuszkiem, bo na co dzień jest energiczną matką dwóch córek. Poza tym fanką jogi i egzotycznych podróży.

REKLAMA



Prenumerata w **egazety.pl** to:

- najbogatsza oferta na rynku – **ponad 370 tytułów**
- atrakcyjne ceny
- wygoda korzystania

Zarejestruj się na **www.egazety.pl** i testuj za darmo.

Przy większej liczbie prenumerat skontaktuj się z egazety@egazety.pl, ☎ +48 22 379 16 90

PRENUMERATA
2013

eGazety.pl
prawa bez granic



MARTA MACH I AGATA NAPIÓRSKA

Krawiectwo miarowe i pasowane

Odwiedziliśmy dwie warszawskie pracownie krawieckie dwóch Maciejów. Za jedną stoją tradycja i bardzo znane w tej branży **nazwisko Zaremba**. Drugi swoją **markę Van Thorn** stworzył od podstaw.

Pracownia krawiecka Zaremby mieści się na rogu ulic Kruczej i Nowogrodzkiej w Warszawie. Stylowe, eleganckie wnętrze, zapach kawy, świeże kwiaty, ubrania czekające na odbiór lub kolejne przymiarki i tysiące próbników z materiałami w klaserach z logotypami producentów.

Męskie ubrania szyją tu od 128 lat i od tylu też lat słyną z umiejętności dopasowania kroju do najbardziej wymagającej sylwetki. Edward Zaremba, założyciel pracowni, niejednokrotnie dostawał propozycje otwarcia zakładu poza granicami Polski. Nigdy na to nie przystał, bo postanowił zainwestować czas i siły w przekazanie tradycji oraz umiejętności rzemieślniczych rodzinie.

I całe szczęście. Dzisiaj pracownię prowadzi kolejny już potomek Edwarda Zaremby – Maciej. Ma 31 lat i żyłkę do krawiectwa.

Do siedziby Van Thorn – zakładu mierzającego garnitury i koszule na miarę – mieszczącej się w Warsaw Towers na Siemnej przychodzimy w sobotę rano.

– Teoretycznie pracujemy od 11, ale możemy się umówić wcześniej, jeżeli paniom zależy – uprzedza nas wcześniej właściciel Maciej Puciata. – Działamy wtedy, kiedy jest praca do wykonania, a nie w ustalonych godzinach. Jeśli jest taka potrzeba, zdarza się, że podjeżdżam do klienta zdjąć miarę o 7 rano.

Zakład istnieje zaledwie dwa lata, ale zamyślenie do mody i elegancji pan Maciej ma w genach. Dwadzieścia parę lat temu jego ojciec zaprowadził go do krawcy i powiedział: „Synu, tu się przychodzi po garnitury”. Wiele lat później Maciej Puciata postanowił otworzyć zakład, w którym szyłby ubrania, jakie sam chciałby nosić.

Cztery spotkania, trzy przymiarki

Zaden z Maciejów nie jest krawcem z zawodu. Obaj potrafia jednak wykonać podstawowe czynności krawieckie. Na co dzień pełnią w swoich zakładach funkcję najważniejszego doradcy i opiekuna klienta. To z nimi w pierwszej kolejności spotyka się osoba, która chce zlecić uszycie garnituru, marynarki, fraka czy smokingu. Rzecz w tym, że będzie to ubranie szyte na miarę.

Pracownia Zaremby specjalizuje się w tzw. krawiectwie miarowym (*bespoke tailoring*). Tu krawiec zdejmuję miarę, robi wykrój i następnie szyje garnitur. 80 proc. szwów musi być wykonane ręcznie. Klient przychodzi na cztery spotkania, w tym trzy razy na przymiarki.

Van Thorn oferuje usługę szycia pasowanego. Termin angielski to *mtm*, czyli *made to measure*. W *mtm* miarę zdejmuje doradca, a szyciem zajmuje się maszyna. Urządzenie jest kierowane przez konstruktora garnituru w dużym zakładzie. Pan Maciej zatrudnia dodatkowo krawców, żeby spełnić oczekiwania każdego klienta. Jedni wolą szycie maszynowe, inni wybierają ręczną robotę. Tym, którzy nie mają

Nowe możliwości w szyciu na miarę związane są z metodą 3D i skanowaniem sylwetki klienta. To ważne dla tych, którzy nie lubią przychodzić na przymiarki.

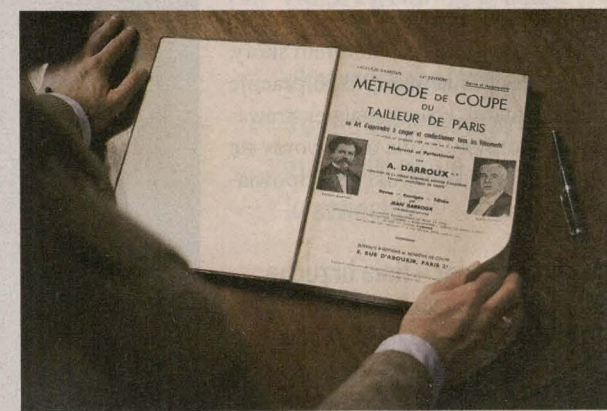
czasu przychodzić na przymiarki, sylwetkę skanuje się metodą 3D.

– Pierwsze spotkanie jest szalenie ważne. Wtedy ustala się, czego oczekuje klient i na jaką okazję ubrania potrzebuje. Następnie zdejmuje się pierwsze miary. To się nazywa indywidualne podejście do klienta. Najgorsze, co można zrobić, to sprzedać klientowi ubranie, które do niego nie pasuje – opowiada Maciej Zaremba.

Kolejna wizyta to spotkanie z krawcem, który stoi na czele grupy wyspecjalizowanych krawców w składzie: dwóch mistrzów, dwóch czeladników i jeden krawiec, który szyje tylko spodnie. Każdy z nich ma swoją niszę, wąską dziedzinę, w której jest naprawdę dobry. Rotacja jest mała, bo krawcy tworzą zgrany zespół i mocno identyfikują się z marką. Poprzedni krawczy pracował u Zarembów ponad 30 lat aż do 80. roku życia. To jest żmudna i ciężka praca. Nie każdy się do niej nadaje. Kilkukrotnie zdarzyło się, że ktoś rezygnował z pracy po tygodniu. Poprzedzka jest postawiona wysoko.

Chcę być szczupły i męzny

– Pierwsza rozmowa jest sztuką czytania między wierszami. Rzadko kiedy ktoś powie wprost: „Chciałbym wyglądać szczuplej albo męźniej” – tłumaczy właściciel Van Thorn. Pan Maciej musi sam ocenić sylwetkę i dyplomatycznie zaproponować najkorzystniejszy krój oraz kolor garnituru. A czasem garnitur odradzić. – Elegancja ma wiele twarzy. W dzinsach, koszuli i marynarce można wyglądać szalenie elegancko. Wszystko zależy od tego, w jakim charakterze pracuje mój klient, gdzie chce uszyte przez nas ubranie nosić. O to wszystko szcze-



Tradycja zobowiązuje. 80 proc. szwów w pracowni Zaremby musi być wykonane ręcznie.

gółowo wypytuję podczas pierwszego spotkania i służę radą – dodaje.

Kolejnym etapem jest wybór tkaniny. Van Thorn dysponuje kilkoma tysiącami tkanin, głównie wełnianych. Po wstępnej rozmowie pan Maciej proponuje klientowi kilkadziesiąt.

– Jeśli zamawiający mówi: „Ta tkanina jest OK”, to dla mnie to znak, że ją odrzucamy. OK mi nie wystarczy. Muszę widzieć błysk w oku. Chcę, żeby klient zakładał moje ubrania trzy razy częściej niż inne, które ma w szafie.

Jeśli zdarzy się, że do pana Macieja zgłosi się ktoś uczulony na wełnę, otrzyma propozycję innego rozwiązania. A jak z mężczyznami rozmawia się o kolorach? Istnieje przecież rozpowszechnione przekonanie, że nie potrafią nazywać barw.

– Zgadza się. Często wskazują na materiał, będąc święcie przekonani, że wybrali czerń. A ja wtedy tłumaczę, że ten kolor to Midnight Blue – bardzo ciemny granatowy. I że w świetle dziennym będzie wyglądał inaczej niż w sztucznym i że od czerni ma większą głębię.



Taka błyskawiczna edukacja ma pozytywne skutki: klienci, którzy od samego początku zarzekają się, że nie potrafią rozróżniać kolorów, pod koniec rozmowy wiedzą, że wolą np. szafirowy od chabrowego – chwali się Puciata.

– Największą grupę moich klientów stanowią pracownicy biurowi wyższego szczebla, w dużej mierze prawnicy. Najczęściej wybierają garnitur w kolorze szarym. Szary jest najbezpieczniejszym kolorem, pasuje do wielu fototypów urody i łatwo dopasować do niego dodatki. Można się tym bawić. Ubranie musi stanowić całość z kolorem skóry, włosów. Najprzyjemniej współpracuje się z klientami, którzy mają ekstrawaganckie pomysły, to dla nich tworzy się zupełnie nowe konstrukcje – odpowiada Zaremba.

Czwarty wymiar – linia brzucha

Od kiedy Maciej Zaremba przejął firmę, skreślił mocno w stronę włoskiej mody, która z kolei jego zdaniem czerpie z mody angielskiej. – Można powiedzieć, że Włosi naśladowali angielskich krawców, bawili się modą. Znając angielskie zasady, zaczęli je świadomie łamać – wyjaśnia Zaremba. Z Włoch mają właściwie wszystko – przeważającą większość materiałów, krawaty, szyte na miarę koszule, a nawet guziki (do garnituru powinno używać się tych z materiałów naturalnych – najlepiej z bawolego rogu).

Właściciel Van Thorn bezustannie unowocześnia metody pracy. Wprowadził czwartą miarę: do standardowych klatki piersiowej, talii i bioder dodał linię brzucha. Ogromnym przełomem w szyciu na miarę są możliwości związane z posiadaniem zeskanowanej metodą 3D sylwetki klienta.

– Dzięki tej technologii klient cały czas jest ze mną. Mogę swobodnie obracać jego sylwetką, oglądać ją z każdej strony, zobaczyć szczegóły, których nie byłbym w stanie dostrzec: ot, choćby układ ramion z góry.

Niezmiernie ważne jest, żeby klient podczas przymiarek „poczuł” tkaninę, poprzehadzał się w garniturze, przykucnął, usiadł, zobaczył, jak materiał

Maciej Puciata, były wioślarz, właściciel Van Thorn, stworzył swoją firmę dwa lata temu i stale unowocześnia metody pracy.

na nim pracuje. Podczas takiej przymiarki pan Maciej zwraca uwagę na postawę klientów. Od tego, czy mężczyzna jest przygarbiony, czy wyprostowany, zależy krój marynarki. Na tym etapie bardzo pomaga mu w pracy dziesięcioletnie doświadczenie wioślarza. Dobrze zna anatomię ludzkiego ciała i pracę mięśni, więc doskonale potrafi przewidzieć, jak będzie się układała konkretna tkanina na sylwetce.

Maciej Zaremba od dziecka chłoniął atmosferę pracowni.

– Praktycznie w każdej sytuacji ojciec i dziadek byli elegancko ubrani.

Ja też bluzę wkładam wyłącznie do gry w squasha.

Teraz trochę żałuje, że nie zdążył nauczyć się od ojca sztuki krawieckiej. Ale powoli to nadrabia, opiekując się firmą i ucząc się poszczególnych detali krawiectwa.

Wyzwaniem dla obu zakładów są przyszłe pary młode. Czasem trudne jest znalezienie kompromisu między wizjami kobiet i mężczyzn. Mężczyźni cenią sobie przede wszystkim komfort, panie podążają za trendami. Ostatnio często chcą widzieć partnerów w dopasowanych garniturach. Moim zada-



Najprzyjemniej pracuje się z klientami, którzy mają ekstrawaganckie pomysły. To dla nich tworzy się zupełnie nowe konstrukcje krawieckie.



U Zaremby najważniejsze są fachowe krawiectwo i szacunek do tradycyjnych metod.

niem jest, żeby w efekcie pan czuł się dobrze, wygodnie i komfortowo, a przy tym podobał się przyszłej pannie młodej. Przygotowując się do uszycia garnituru ślubnego, zawsze oglądam suknię – mówi Maciej Puciata. – Najmniej lubię pracować z klientami, którzy chcą zamówić ślubny garnitur. To typ klienta, który na co dzień nie nosi garniturów i najczęściej wybiera klasyczne, zachowawcze rozwiązania – przyznaje Zaremba.

W tym sezonie najmodniejsze są wzory w angielską kratę, w odcieniach beżu i brązu.



Taką marynarkę ma na sobie Maciej Zaremba podczas naszego spotkania. W dodatku sam w tej marynarce obszył ozdobną dziurkę w stylu milnese buttonhole. Do tego włoski, wełniany krawat i szyta na miarę koszula z bawełny oxfordzkiej, idealnie dopasowana chusteczka (poszetka) i proste džinsy. Maciej Puciata też ma na sobie ubrania szyte przez własny zakład: koszulę, spodnie i marynarkę. Bardzo rzadko nosi ubrania uszyte w innych miejscach.

Standardowy czas oczekiwania na garnitur od Zaremby to trzy miesiące. W Van Thorn czeka się zwykle sześć tygodni, ale Puciata pamięta, że na specjalne życzenie klienta uszył kiedyś koszulę w trzy dni. Kto raz skorzysta z usług Zaremby, ten potem często do niego wraca: a to zwęzić, a to poszerzyć garnitur albo by zlecić pranie, bo Zaremba od lat współpracuje ze specjalną pralnią. Firma opiera swoją działalność na stałych klientach, a ubrania mają bardzo długie życie. Frak, który Radosław Sikorski uszył u Zarembów ponad 10 lat temu na swój angielski ślub, dziś wkłada na oficjalne spotkania z głowami państw. Kobieta, która przychodzi po roku, by kupić ko-

lejną koszulę dla męża, który był już klientem Van Thorn, może się spodziewać, że właściciel zakładu będzie pamiętał, iż w poprzedniej jedna dziurka w mankietcie była obszyta srebrną nitką.

Van Thorn oprócz garniturów i koszul szytych na miarę proponuje największy w Polsce wybór poszetek (chusteczki kieszonkowe), ma też w sprzedaży krawaty, muszki i spinki. Pan Maciej podróżuje po Europie, poszukując inspiracji i nowych propozycji dla swoich klientów. Obecnie szuka zapachów dla panów. W przyszłości chciałby jeszcze sprzedawać buty. U Zaremby najważniejsze są fachowe krawiectwo i szacunek do tradycyjnych metod. Rozwój polega raczej na dogłębnym badaniu rynku. Po to jeździ na targi do Florencji czy obserwuje mediolańskie ulice. Od lat pracownia współpracuje z zaufanymi producentami tkanin i dodatków. – Klient musi wiedzieć, że otrzymał najlepszy możliwy produkt, uszyty na miarę specjalnie dla niego – mówi Maciej Zaremba.

– Ja nie sprzedaję ubrań. Ja sprzedaję wygląd i samopoczucie – powtarza kilkakrotnie Maciej Puciata.

Autorki prowadzą magazyn www.zwyklezycie.pl



MICHAŁ MALTAN

Geniusz z domku na prerii

Minifabryka tanich cegieł, kombajn i koparka do zmontowania w garażu oraz jeszcze inne wynalazki Marcina Jakubowskiego uratują świat przed drożyzną. Oto, dlaczego dostał naukowego Oscara.

O d pięciu lat siedzi na farmie niedaleko Maysville na północy Missouri. Amerykanie nazywają ten stan miejscem jaskiń, bo jest ich tutaj ponad 6 tys.

Dom Jakubowskiego od wielu jaskiń nie różni się tak bardzo. Jest w nim ciemno i zimno, a każda ze ścian ma inny, nieregularny kształt. Chatę skonstruował samodzielnie z drewnianych belek, worków z piaskiem, gliny i kilku rolek czarnej folii. Próżno tu szukać jakiegokolwiek śladu cywilizacji – Jakubowski nie ma lodówki i telewizora. Ogrzewanie zapewnia mu zwykły blaszany piecyk, żywność trzyma na rachitycznej szafce skleconej z kilku desek, a wszystkie śmieci na podłodze.

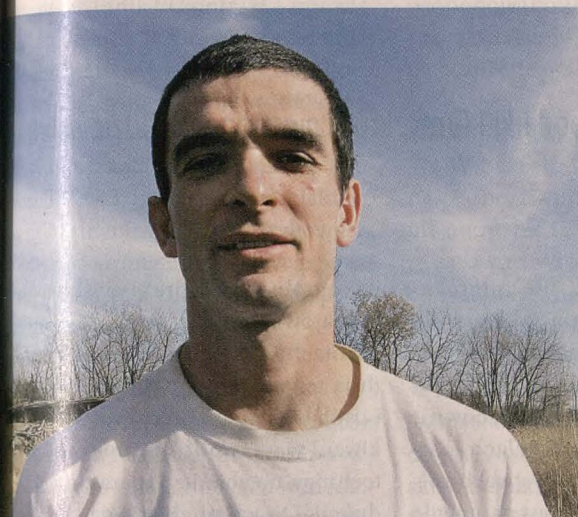
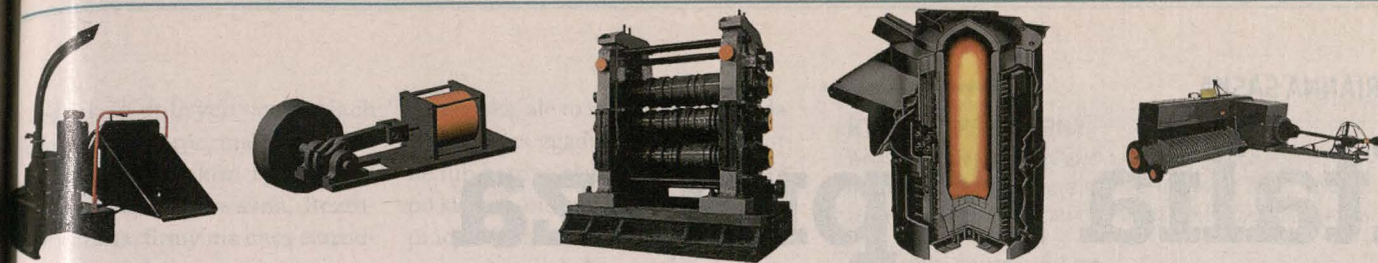
– Przeprowadzamy tutaj eksperyment odtwarzający cywilizację na pustkowiu – mówi Polak.

Robinson na farmie

Uwięziony nie na bezludnej wyspie, ale na 12-hektarowej farmie zamienił się we współczesnego Robinsona Crusoe. Postanowił zbudować zestaw do tworzenia cywilizacji obejmujący 50 maszyn, które jego zdaniem są najpotrzebniejsze ludzkości. Jego projekt okazał się na tyle innowacyjny, że Jakubowski kilka dni temu został uhonorowany naukowym Oscarem. Jego wynalazek trafił na prestiżową listę najistotniejszych innowacji według amerykańskiego magazynu „Time”. Jednak skąd

wziął się tak absurdalny pomysł na tworzenie cywilizacji z dala od niej samej?

Jakubowski do USA przyjechał z Polski w wieku 10 lat. Mimo, że ukończył z wyróżnieniem prestiżowy Uniwersytet Princeton i otrzymał doktorat z fizyki jądrowej na Uniwersytecie Wisconsin, uznał, że ze wszystkimi dyplomami czuje się i tak kompletnie bezużyteczny. – Pozostałem bez żadnych praktycznych umiejętności, moja kariera naukowa okazała się nieprzydatna – opowiada ze smutkiem w głosie dziennikarzom różnych mediów. (Nam nie udało się skontaktować z nim bezpośrednio, bo zaszył się właśnie na swojej farmie). Zdecydował się więc zakasać rękawy i założyć farmę w Missouri. We flanc-



Przyjechał z Polski do USA, gdy miał 10 lat. Ukończył z wyróżnieniem prestiżowy Uniwersytet Princeton i zrobił doktorat z fizyki jądrowej na Uniwersytecie Wisconsin.

lowej kszuli i gumiakach, w pocie czoła uprawiał różne gatunki roślin. Miał dość szpada i grabi, więc postanowił kupić traktor. Nie używał go długo, bo maszyna od razu nawaliła. Polski rolnik zapłacił za naprawę, ale kilka dni później spotkało go to samo. – Ostatecznie wyszło na to, że zostałem bankrutem. Wszystkie pieniądze wydałem na naprawę sprzętu – mówi podenerwowany.

Jak w kreskówce

Niczym bohater kreskówki „Pomysłowy Dobromir” zaczął myśleć o narzędziach, które są wykonane z trwałych, ale zarazem tanich materiałów odnawialnych. Takich, które raz zakupione wystarczą na całe życie. W 2003 roku

utworzył organizację Open Source Ecology, chcąc udowodnić, że produkcja maszyn z przetworzonych elementów jest możliwa. Na swojej farmie zbudował prowizoryczny warsztat i rozpoczął pracę nad Global Village Construction Set – projektem 50 różnych narzędzi niezbędnych do stworzenia współczesnej cywilizacji. Na dostępnej dla wszystkich Wikipedii zaczął publikować filmy 3D, kosztorysy i instrukcje pozwalające każdemu człowiekowi na świecie na stworzenie własnej maszyny. Jak na razie Jakubowskiemu udało się skonstruować 15 prototypów. – Dzięki jednej maszynie posadziłem 100 drzew w jeden dzień. Inna wyprodukowała 5 tys. cegieł z gliny, po której stąpałem. Własny traktor zbudowałem natomiast w sześć dni – mówił podczas jednej z konferencji naukowych. Jakubowski chce dopiąć swego w 2015 r. – wtedy wszystkie prototypy mają zostać wykute pod strzechą jego warsztatu. I co później? Tak jak u Daniela Defoe na jego farmę przybędzie cywilizacja i pochłonie naszego dzielnego Crusoe?

Prometeusz z Missouri

Niekoniecznie. Jakubowski woli przygotować się na najgorsze. Jego zestaw

to oręż w walce z ewentualną apokalipsą, którą straszą z ambon, katedr i mównic. Może 50 maszyn nie robi aż tak piorunującego wrażenia, ale kiedy cywilizacja zostanie zmieciona z powierzchni ziemi, kilku ocalałych na farmie w Missouri będzie miało przynajmniej od czego zacząć nowe życie. Jakubowski chce w ten sposób udowodnić, że człowiek do przeżycia nie potrzebuje wyniszczających korporacji, które jego zdaniem poświęcają zbyt dużo czasu na obsesyjną walkę patentową, wydają miliony dolarów na reklamy i wchodzą w drogę prawdziwemu postępowi.

Jednak jego projekt ma jeszcze jeden wymiar – ten bardziej humanitarny. Zdaniem Jakubowskiego ogólnodostępny sprzęt, który każdy będzie mógł tanio i szybko wyprodukować, zmniejszy różnice cywilizacyjne, zmniejszy poziom biedy i głodu na świecie.

– Większe rozpowszechnienie środków produkcji i nowa kultura, „zrób to sam” mogą przezwyciężyć sztuczny niedostatek. To nie oprogramowanie, ale maszyny mogą zmienić ludzkie życie w bardzo namacalny sposób – kończy swój wykład o odtworzeniu cywilizacji polski Crusoe z naukowym Oscarem na półce.



MARIANNA SASKA

Italia zaprasza obrotnych

We Włoszech o pracę jest trudno. Nadal jednak istnieją sektory gospodarki i firmy, które nie mogą poradzić sobie ze znalezieniem **odpowiednio wykwalifikowanych pracowników**.



AGNIESZKA B. GORZKOWSKA

Mieszka we Włoszech, gdzie uczy angielskiego w prywatnych szkołach językowych, prowadzi strony internetowe i pisze do polonijnej gazetki.

Mimo bezrobocia wynoszącego obecnie 10,8 proc. pracodawcy nadal mają trudność z obsadzeniem specjalistycznych stanowisk, zwłaszcza a w branży elektronicznej, w służbie zdrowia, transporcie, obróbce metali i turystyce.

Najwięcej pracy dla Polaków jest co roku przy pracach sezonowych,

co oczywiście raczej nie interesuje wykształconych specjalistów, ale dla studentów to zawsze ciekawa propozycja. Od maja każdego roku zapotrzebowanie na pracowników w restauracjach, hotelach, parkach rozrywki, gospodarstwach rolnych i w agroturystyce jest naprawdę duże. Trzeba jednak bardzo uważać

na „agromafie”, które wyzyskują obcokrajowców, zwłaszcza przy winobraniach. W ciągu całego roku znajdują też pracę opiekunki do dzieci i osób starszych. Najczęściej poszukiwani są wykwalifikowani robotnicy, technicy, mechanicy, operatorzy produkcji – to ich niedobór najbardziej doskwiera włoskim firmom.

Jednak o dobrych nastrojach na rynku pracy nie ma co marzyć. Sytuacja na włoskim rynku pracy jest naprawdę poważna. Bezrobocie wzrasta, firmy nie chcą zatrudniać pracowników na stałe, przeważają umowy śmieciowe. Często trzeba czekać na wynagrodzenie dłużej, niż przewiduje to kontrakt – opowiada Agnieszka B. Gorzkowska, która po raz pierwszy wyjechała do Włoch na stypendium w czasie studiów, potem wracała tam kilkakrotnie i w końcu zamieszkała na stałe. Jest we Włoszech od 23 lat, uczy angielskiego w prywatnych szkołach językowych, prowadzi strony internetowe o tematyce włoskiej, a także pisze dla polonijnej gazety „Nasz Świat”.

Praktyki dla absolwentów

Z kolei trudną sytuację absolwentów przedstawia Anna Wenzel, która po studiach pracowała w hotelach w Mediolanie i na Sardynii. – Zostałam wysłana do Włoch przez dużą korporację

hotelarską, ale to wyjątkowa sytuacja. Absolwenci zgadzają się na bezpłatne lub bardzo słabo płatne praktyki, po których nie mają zagwarantowanej pracy. Miałam znajomą, która w tym samym hotelu była zatrudniona trzykrotnie na trzymiesięczne praktyki w dziale sprzedaży i mimo to nie zaproponowano jej stałej pracy. Potem przeniosła się do innego hotelu, znowu na bezpłatne praktyki.

Obcokrajowcy pracują na czarno

We Włoszech wiele osób pracuje na czarno. Na południu jest to zupełnie normalne i w ten sposób zarabkują zarówno Włosi, jak i obcokrajowcy. Natomiast na północy i w środkowych Włoszech nielegalnie zatrudniani są głównie obcokrajowcy. Przyjmuje się, że w Italii pracuje na czarno 2 mln 900 tys. osób. Według raportu Eures 60 proc. osób zatrudnionych we włoskich domach jako opiekunki, sprzątaczk czy nianie pracuje nielegalnie. Prawie 90 proc. korepetytorów i 40 proc. osób wykonujących wolne zawody nie formalizuje swoich zarobków. Premier Włoch Mario Monti wypowiedział wojnę oszustom podatkowym, których wini za złą sytuację finansową kraju. Uważnie ma zamiar przyrzeć się pracującym na czarno obcokrajowcom.

W Mediolanie i na Sardynii

– Życie w Mediolanie jest drogie, natomiast na Sardynii ceny maleją po sezonie. W Mediolanie nie można się nudzić, na Sardynii w zimie nie ma co robić. Wiele hoteli na wyspie jest otwartych tylko latem. Sardynia jest za to niezwykle piękna, plaże są jak na Karaibach – mówi Anna Wenzel, która przed przyjazdem do Włoch pracowała na jednej z karaibskich wysepek.

Średnia pensja we Włoszech to około 1200–1300 euro miesięcznie, ale jest wiele osób, które zarabiają po 500–600 euro, a wtedy naprawdę trudno jest przeżyć. We Włoszech nie ma ustalonej przez rząd pensji minimalnej. Statystycznie cudzoziemcy zarabiają mniej niż rodowici Włosi – komentu-

KTO JEST POTRZEBNY

Według badania firmy ManPower Group dotyczącego niedoboru odpowiednich kandydatów na stanowiska pracy w 2012 r. wynika, że 14 proc. włoskich firm ma problem ze znalezieniem pracowników.

Najbardziej poszukiwani są:

- wykwalifikowani robotnicy i rzemieślnicy posiadający odpowiednie certyfikaty branżowe,
- sekretarki, asystenci administracyjni, personel biurowy,
- technicy, operatorzy produkcji, mechanicy,
- kierowcy,
- pracownicy restauracji i hoteli,
- księgowi i finansiści,
- przedstawiciele handlowi.

Źródło: Talent Shortage Survey 2012, ManPower Group

Poszukiwani są też pracownicy w zawodach związanych z odnawialnymi źródłami energii i ekologią:

- chemik specjalista/technik ochrony środowiska,
- prawnik ds. ochrony środowiska,
- projektant ekolog,
- organizator imprez i promocji ekorozwoju,
- szef kuchni ekologicznej,
- bioinżynier,
- specjalista ds. oceny oddziaływania na środowisko.

Źródło: WloskiCafe

Przydatne linki:

- www.cliclavoro.gov.it – strona włoskiego urzędu pracy – najbardziej wiarygodne źródło ofert
- www.ec.europa.eu/eures – Europejski Portal Mobilności Zawodowej
- www.naszswiat.net – polska gazeta we Włoszech
- www.wloskicafe.blogspot.com
- www.polacyweWloszech.blogspot.com

Uwaga na wyzysk

Osoby poszukujące pracy w niektórych zawodach są szczególnie narażone na działania oszustów. Media opisują sytuację sezonowych pracowników ze wschodniej Europy, którzy przyjeżdżają do Włoch na winobranie. Pracują od ośmiu do 15 godzin dziennie i otrzymują 1 euro za godzinę. Tragiczne są też statystyki śmiertelności w pracy: tylko w okolicach Brescii od stycznia do października 2012 r. podczas pracy sezonowej straciło życie 17 osób.



MICHAEL PEUCKERT/PHOTOGRAPHY/CORBIS



ANNA CIEŚLAK-WRÓBLEWSKA

Mikropożyczki na start

Na pożyczki, nawet bardzo tanie, powinni się decydować tylko ci, którzy mają pewność, że ich firma przetrwa co najmniej kilka lat. Jeśli nie, wpadną w tarapaty.

Do 50 tys. zł, na dosyć korzystnych warunkach, będzie mogła dostać osoba, która przemyślała założenie własnej działalności. To nowy rodzaj wsparcia z funduszy unijnych, który w województwie świętokrzyskim ruszyć ma jeszcze w tym roku, a w innych – na początku przyszłego.

Takie mikropożyczki współfinansuje Program Operacyjny Kapitał Ludzki, z którego dotychczas początkujący biznesmeni byli wspierani w formie dotacji. Ale granty już się kończą. Jeśli jeszcze gdzieś są dostępne, to mocno okrojone – np. tylko dla niepełnosprawnych albo do 25 tys. zł. Pożyczki na start mają więc niejako zastąpić dotacje. I przyzwyczaić odbiorców do zasad w nowym rozdaniu unijnych funduszy, w którym bezzwrotnej pomocy będzie znacznie mniej.

Mikropożyczki mają rozchodzić się jak świeże bułeczki. Ale nie ma co ukrywać, że mają silną konkurencję. Na rynku funkcjonuje już wiele pożyczek dla start-upów, które też są współfinansowane przez UE. W ten sposób można zdobyć nawet znacznie wyższe kwoty. Na czym będzie więc polegać atrakcyjność pożyczki?

– Przede wszystkim będą one dostępne dla tych osób, które jeszcze nie mają założonej firmy. Takim osobom szczególnie trudno jest uzyskać zewnętrzne finansowanie – mówi Przemysław Dregier z Łódzkiej Agencji Rozwoju Regionalnego.

Przed wszystkim będą one dostępne dla tych osób, które jeszcze nie mają założonej firmy. Takim osobom szczególnie trudno jest uzyskać zewnętrzne finansowanie – mówi Przemysław Dregier z Łódzkiej Agencji Rozwoju Regionalnego.

Przed wszystkim będą one dostępne dla tych osób, które jeszcze nie mają założonej firmy. Takim osobom szczególnie trudno jest uzyskać zewnętrzne finansowanie – mówi Przemysław Dregier z Łódzkiej Agencji Rozwoju Regionalnego.

cji Rozwoju Regionalnego. Pożyczki dla start-upów, np. w ramach programu JEREMIE, są dostępne dla tych, którzy już działają na rynku (zwykle co najmniej od trzech miesięcy). Bardzo atrakcyjne jest też oprocentowanie – przekonuje Arkadiusz Piciński, wicedyrektor Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Kielcach. Rzeczywiście, w woj. świętokrzyskim mikropożyczki będą oprocentowane na poziomie 1,8–2 proc., w kujawsko-pomorskim – 3 proc., w małopolskim 3,8 proc., a w dolnośląskim plan zakłada 4 proc. Oprócz preferencyjnego oprocentowania interesujące jest także to, że pożyczkobiorca będzie mógł uzyskać karencję na spłatę rat kapitałowych nawet do 12 miesięcy – podkreśla Michał Stasik ze stowarzyszenia Samorządowe Centrum Przedsiębiorczości i Rozwoju w Suchej Beskidzkiej, które będzie realizować projekt „Nowy Małopolski Przedsiębiorca”. Przy pożyczkach z JEREMIE karencja wynosi maksymalnie sześć miesięcy.

Roczne „zwolnienie” ze spłaty kapitału to spory atut, bo daje oddech młodej firmie przez pierwsze trudne miesiące. Przykładowo, przy pożyczce wyno-

szącej 50 tys. zł (zaciągniętej na pięć lat) i oprocentowanej na 2 proc. miesięczne odsetki wynoszą około 83 zł, razem z ratą kapitałową byłoby to 917 zł. Przy 4 proc. same odsetki – 167 zł, a razem ze spłatą kapitału – około 1000 zł.

Przy mikropożyczkach z programu Kapitał Ludzki nie mogą być pobierane żadne dodatkowe opłaty i prowizje. Najczęściej nie będzie także wymagany wkład własny, więc do założenia firmy można praktycznie przystąpić bez zaplecza finansowego. Przy innych pożyczkach ten wkład wynosi od 10 proc.

Mikropożyczkę trzeba spłacić. Zasady pod tym względem są dosyć surowe.

– Jeśli nowa działalność nie przetrwa 12 miesięcy, pożyczka przechodzi w stan natychmiastowej wymagalności – trzeba ją spłacić od razu w całości, a do tego z naliczonym wyższym oprocentowaniem (do 8,9 proc.) od dnia podpisania umowy – wyjaśnia Agnieszka Dzieciół z Kujawsko-Pomorskiego Funduszu Pożyczkowego. – Jeśli firma zbankrutuje po upływie 12 miesięcy, oprocentowanie rośnie od momentu jej upadku, można też dalej spłacać raty, nie trzeba oddawać od razu całej kwoty – opisuje Dzieciół.

Początkujący biznesmeni, są przekonani, że ich pomysł odniesie sukces. Ale to nieprawda. Dlatego Monika Więckowska, kierownik z Łódzkiej Agencji Rozwoju Regionalnego, mówi, że chętny na pożyczkę musi przedstawić taki biznesplan, który przekona finansistów, że ma szansę powodzenia.

Wszelkie pytania prosimy kierować do autora cyklu „Zmieniamy się z funduszami UE” Artura Osieckiego – a.osiecki@rp.pl

Mikropożyczki na start – krok po kroku

- **Dla kogo** – osoby, który nie mają zarejestrowanej firmy i nie prowadziły działalności gospodarczej przez co najmniej rok wcześniej.
- **Ile** – maksymalnie 50 tys. zł, ale może być mniej, w zależności od potrzeb.
- **Jakie odsetki** – maksymalnie 8,9 proc. rocznie, jednak większość instytucji, które już się przygotowują do udzielania mikropożyczek, decyduje się na niższe oprocentowanie – w granicach 2–4 proc.
- **Inne koszty** – żadne dodatkowe opłaty i prowizje nie mogą być pobierane. Od pożyczkobiorcy nie będzie też wymagany wkład własny.
- **Na ile** – maksymalnie na 60 miesięcy, przy czym możliwa jest 12-miesięczna karencja w spłacie rat kapitałowych.
- **Na co** – na realizację dowolnego celu gospodarczego. Mogą to być cele inwestycyjne lub obrotowe. Z pożyczki można więc sfinansować m.in. zakup i modernizację obiektów, zakup maszyn i urządzeń, wyposażenia (w tym biurowego), środków transportu, zakup towarów handlowych i materiałów, surowców do produkcji, a także zakup innych wartości niematerialnych i prawnych związanych z realizowanym przedsięwzięciem (np. oprogramowania, licencji). W niektórych regionach dopuszczalne będzie także finansowanie części wydatków bieżących (np. wynagrodzeń, podatków, składek na ubezpieczenia społeczne, czynszu, rachunków za media itp.).
- **Jakie zabezpieczenia** – może to być weksel in blanco, poręczenia innych osób lub funduszu poręczeniowego, blokada środków pieniężnych na rachunku, cesja należności z tytułu sprzedaży towarów lub usług, hipoteka, zastaw rejestrowy, gwarancje itp.
- **Podstawowe wymagania wobec wnioskodawcy** – biznesplan, obowiązek udokumentowania wydatków ponoszonych z kwoty pożyczki, terminowe spłacanie rat.
- **Dodatkowe wymagania** – zależnie od regionu, np. w woj. świętokrzyskim, konieczny jest status osoby pracującej lub absolwenta/studenta, a 60 proc. pożyczek ma trafić do kobiet; w woj. kujawsko-pomorskim za działalność w takich branżach jak ICT, biotechnologia, energetyka można dostać dodatkowe punkty zwiększające szanse na pożyczkę; w woj. łódzkim priorytetowo traktowani będą studenci uczelni wyższych do 24. roku życia, w małopolskim – premiiowany będzie wkład własny itp.
- **Dodatkowa pomoc** – instytucje udzielające mikropożyczek zobowiązane też będą do udzielenia pomocy doradczo-szkoleniowej w zakresie opracowania wniosku o pożyczkę i biznesplanu, ale też w zakresie rejestracji i procedur towarzyszących prowadzeniu działalności gospodarczej.

Gdzie po mikropożyczki

Instytucje, które będą udzielać pożyczek na start z programu Kapitał Ludzki:

- **woj. dolnośląskie** – Agencja Rozwoju Regionalnego ARLEG (www.arleg.eu)
- **woj. kujawsko-pomorskie** – Kujawsko-Pomorski Fundusz Pożyczkowy (www.pozyczki.kujawsko-pomorskie.pl)
- **woj. łódzkie** – Łódzka Agencja Rozwoju Regionalnego (www.larr.lodz.pl)
- **woj. małopolskie** – stowarzyszenie Samorządowe Centrum Przedsiębiorczości i Rozwoju w Suchej Beskidzkiej (www.centrum-sucha.pl)
- **woj. świętokrzyskie** – fundacja Agencja Rozwoju Regionalnego w Starachowicach (www.farr.pl)
- **woj. wielkopolskie** – Wielkopolska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości (www.warp.pl)
- **woj. zachodniopomorskie** – Polska Fundacja Przedsiębiorczości Szczecin (www.pfp.com.pl)

W pozostałych regionach pośrednicy nie zostali jeszcze wybrani.



NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
 dla rozwoju Polski



MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

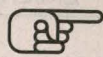
UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Siegnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach:
www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty

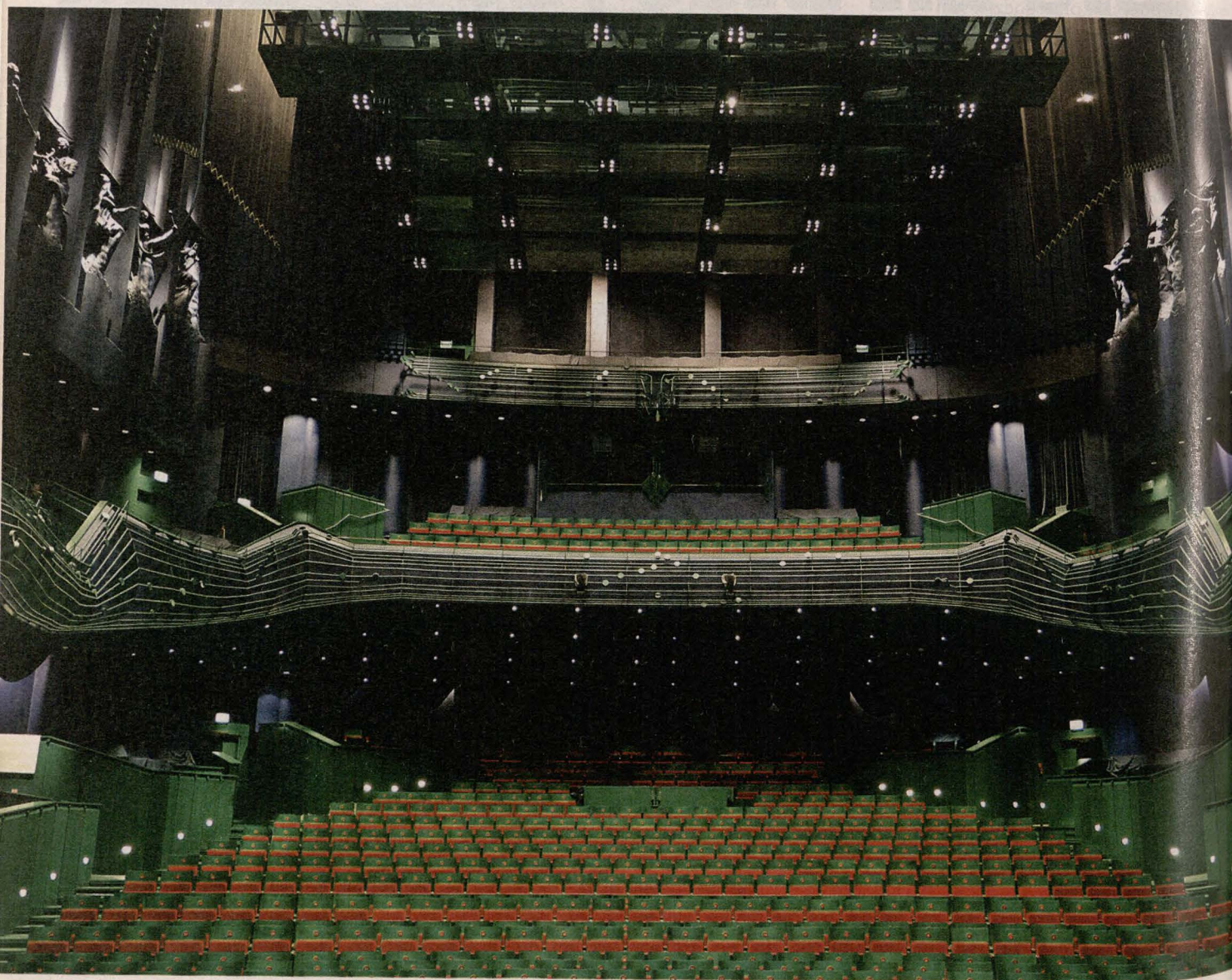


Nie był urodzonym reżyserem: raczej artystą, wizjonerem, który powoli uczył się, jak przekładać swoje wizje na kino. A wtedy, w ciężkich latach 60., w Związku Radzieckim, to było wyzwanie. O Andrieju Tarkowskim opowiada jego operator Wadim Jusow. → 70

MIKE URBANIAK

Ugóór w operze

Trudno znaleźć w Polsce instytucję kultury z **bardziej pompacyjną nazwą i mizerniejszym repertuarem**. Przykład Opery i Filharmonii Podlaskiej – Europejskiego Centrum Sztuki pokazuje, że zbudować wielki gmach to żaden problem. Trzeba jeszcze tylko wiedzieć w jakim celu.



Białystok to świetnie prowadzona od lat przez Monikę Szewczyk topowa galeria Arsenał. Tyle, jeśli idzie o ofertę kulturalną najwyższej próby. Reszta prezentuje różny poziom – lepszy (Białostocki Teatr Lalek) lub gorszy (Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgierki). Jednak trudno się tu czymś zachwycić. Wynika to głównie z zachowawczej polityki władz miasta i regionu, które nigdy nie zatrudniły znaczącej, charyzmatycznej postaci z kulturalnej pierwszej ligi. Wiadomo, tacy ludzie mogą sprawiać kłopoty i produkować jakieś bezceństwa, z których potem trzeba się będzie tłumaczyć przed lokalnym biskupem.

W końcu ambicje władarzy dały o sobie znać. W 2004 r. Filharmonia Białostocka świętowała 50-lecie istnienia. Po koncercie kończącym jubileuszowy sezon Marcin Nałęcz-Niesiołowski, ówczesny dyrektor placówki i dyrygent, podzielił się z publicznością swoim marzeniem. Zbudować w mieście operę.

– Uważałem, że jej powołanie w Białymstoku będzie dla nas skokiem cywilizacyjnym na każdym poziomie – artystycznym, infrastrukturalnym i organizacyjnym – mówi dziś „Przekroju” Nałęcz-Niesiołowski. I dodaje: – To był pomysł na zrobienie z miasta ważnego kulturalnego ośrodka ponadregionalnego, a nie tylko przystanku między Warszawą a Wilnem.

Jak wymyślił, tak zrobił. Zaczął intensywny lobbying i krążenie między gabinetami marszałka województwa, prezydenta miasta i wojewody. Udało się. Powołano komitet honorowy i rok później Janusz Kazimierz Krzyżewski (wtedy marszałek Podlasia) i Waldemar Dąbrowski (ówczesny minister kultury) podpisali umowę o utworzeniu instytucji pod nazwą Opera i Filharmonia Podlaska – Europejskie Centrum Sztuki. Nazwa tyleż pompacyjna, ileż pretensjonalna w Białymstoku wzbudzała coraz większe zainteresowanie.

Tymczasem na horyzoncie pojawiły się duże pieniądze z Unii Europejskiej, trzeba było je wykorzystać. Ogłoszono



Budynek Opery i Filharmonii Podlaskiej – Europejskiego Centrum Sztuki zaprojektował Marek Budzyński. Liczni krytycy ganią go m.in. za rozbuchany eklektyzm.

Na stronie obok: Jednak największy zarzut formułowany przez znawców to główne audytorium, liczące 700 miejsc. Bożonarodzeniowe barwy to koszmar dla oczu. Dla uszu jest nim fatalna akustyka.

czym prędzej konkurs na gmach opery, który miał się stać architektoniczną ikoną miasta.

Wszystko w jednym

Wygrała propozycja znanego architekta Marka Budzyńskiego, który wykazał się prawdziwą fantazją. – Muszę przyznać, że pan Budzyński spełnił w tym projekcie chyba wszystkie swoje architektoniczne marzenia – mówi Jarosław Trybuś, krytyk architektury z Centrum Architektury w Warszawie. – Szkoda tylko, że za pieniądze podatników. Mamy więc pełen repertuar postmodernistycznych środków: pastisze, cytaty, wielość znaczeń, rozbuchany eklektyzm. Dodatkowo, co powszechnie już wiadomo, źle jest tam z akustyką, a to – zdaje się – jest dość ważne w przypadku opery i filharmonii.

Budynek, który zdaniem Moniki Żmijewskiej, dziennikarki białostockiej, „Gazety Wyborczej”, dla mieszkańców miasta stał się powiewem wielkiego świata,

dla osób znających poprzednie projekty Budzyńskiego jest wyjątkowo nieudanym połączeniem Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego z gmachem Sądu Najwyższego. – I jeszcze niezrealizowanego projektu Świątyni Opatrzności Bożej! – śmieje się Jarosław Trybuś. I dodaje: – Opera Podlaska to architektoniczne wszystko w jednym. Ta realizacja jest chyba ostatnim wykwitem rozbuchanego postmodernizmu w Europie, choć byłem przekonany, że ten rozdział mamy już dawno za sobą.

Szczegółne wrażenie robi główne audytorium, całe wymalowane na zielono. Wszystko jest tam zielone, jak w podlaskiej puszczy. Czerwone są tylko miękkie siedziska na diabelnie niewygodnych fotelach, przez co całość przypomina dom Rudolfa, ulubionego reneferu Świętego Mikołaja. Żeby to wszystko jeszcze upiększyć, foyer wypełniono zabawkowymi meblami od lokalnych antykwariatuszy, przez co opera wygląda, jakby eksplodowała w niej wycieczka z Krakowa. Zagracenie teatru wymyślił osobiście dyrektor.

Roberto jest naj

Trzeba dodać: nowy dyrektor. Bo po konflikcie z częścią orkiestry Nałęcz-Niesiołowski został (niezgodnie z prawem, jak zawyrokował niedawno Naczelny Sąd Administracyjny) zwolniony z funkcji szefa wymyślonej przez siebie oraz moźolnie tworzonej Opery i Filharmonii Podlaskiej. Na jego następcę mianowano w zeszłym roku, bez przeprowadzenia konkursu, Roberto Skolmowskiego, reżysera i byłego dyrektora Wrocławskiego Teatru Lalek. Ta nominacja wzbudziła rozliczne kontrowersje w polskim świecie muzycznym, który Skolmowskiego nieźbyt poważa.

– Środowisko przygląda się operze w Białymstoku podejrzliwie, głównie za sprawą dyrektorskiej nominacji dla Roberto Skolmowskiego, którego operowe osiągnięcia są wątpliwe. Jest on kojarzony raczej z musicalami i efekciarskimi megaprodukcjami niż z rzetelnym, nowocze-

snym teatrem operowym – mówi Dorota Kozłowska, krytyczka „Ruchu Muzycznego”. – Poza tym kiedy się tworzy operę właściwie od zera, trzeba wyznaczyć jakąś linię repertuarową. Czy będzie to klasyka w nowych odsłonach, czy odważny krok w stronę współczesności, program musi mieć ręce i nogi. Tymczasem w Białymstoku idzie „Straszny dwór” i musical o Korczaku, a w planach proponują nam „Upiora w operze” i „Traviatę”. Wszystko bez ładu i składu, w dodatku robione pod publiczność i ze szkodą dla inteligentnych oraz wrażliwych odbiorców, których w tym mieście przecież nie brakuje.

Inne zdanie ma Jacek Marczyński, krytyk „Rzeczpospolitej”: – Skolmowski to facet, który działa na polskim rynku operowym dobre ćwierć wieku. Nie szablonowy, odważny, z fantazją. Oczywiście robi spektakle lepsze i gorsze. Widziałem na przykład jego „Straszny dwór” we Wrocławiu i to było zrobione z rozmachem, nie nazwałbym tego teatralną ramotą.

100 procent normy

Na pytanie, po co właściwie w Białymstoku opera, dyrektor Skolmowski odpowiada: – Po to, żeby sprzedać w trzy tygodnie od otwarcia 13 tys. biletów. Już sprzedajemy bilety na marzec i kwiecień. A po każdym przedstawieniu publiczność nie chce od nas wyjść. Filharmonia miała swoje grono widzów, ale kiedy ja tu przyszedłem, wprowadziłem zmiany repertuarowe i liczba widzów podwoiła się. Myślę, że to się nie zmie-

ni, bo nie wierzę, że na „Upiora w operze” nie przyjdą tłumy. Zainteresowanie jest ogromne już tym, co mamy. Przyjeżdżają do nas ludzie spoza miasta, z ościennych województw, a także – na czym nam bardzo zależy – z zagranicy.

Oczywiście należy sobie postawić pytanie, na ile obecna frekwencja jest efektem nowości i intensywnego grania przedpołudniówek dla zorganizowanych grup szkolnych. – Przed kasami wciąż stoją kolejki. Myślę, że zapanował nawet mały snobizm na operę. Teraz warto do niej chodzić, pokazać się. Ludzie, którzy nigdy w operze nie byli, pytają na przykład, jak się trzeba ubrać – opowiada dziennikarka Monika Żmijewska.

Podobnie było w Operze Nova w Bydgoszczy, mieście porównywalnym wielkością do Białegostoku. Tamtejszy teatr operowy budowano w typowym dla Polski tempie, 34 lata, i otwarto dla publiczności w 2008 r. Jak twierdzi Maciej Figas, szef placówki: – Nowy budynek z pewnością pomaga, zwiększa zainteresowanie mieszkańców. Kiedy otwieraliśmy, wszyscy chcieli przyjść i zobaczyć siedzibę opery. Potem zaczęła się żmudna praca nad wychowywaniem, jak to się brzydko mówi, publiczności. Obecnie gramy 100 spektakli rocznie, widownię mamy na 800 miejsc, a średnie wypełnienie to 650 osób. Mamy oczywiście, jak wszędzie, tytuły, na które walą tłumy, i takie, które sprzedają się trudniej.

Roberto Skolmowski zdaje sobie sprawę z potencjalnego wyczerpania zasobów białostockiej widowni, dlatego

ma zamiar podbić naszych wschodnich sąsiadów: – Od roku przygotowujemy repertuar również po litewsku i białorusku. Rozsyłamy informacje do naszych konsulatów, chcemy ściągać widzów zza wschodniej granicy. Pracujemy też z turoperatorami nad pakietami turystycznymi, które uwzględniają wizytę u nas.

Opera Podlaska musi działać jak fabryka. Nie może sobie pozwolić na żadne przestoje, bowiem pusta sala to pusta kasa. Samorząd województwa zafundował sobie wielką, wyposażoną w najlepszy sprzęt instytucję (kosztowała ponad 220 mln zł), ale zapomniał, że trzeba ją później utrzymywać. – Opera jest, jak lotnisko, prestiżem dla miasta, ale należy pamiętać, że to drogie cacko. To mercedes wśród instytucji kultury i powinna być odpowiednio serwisowana.

Wielka zrzuta

A serwisowanie mercedesa to spory wydatek. W pierwszym roku opera może działać z budżetem w granicach 25 mln zł, potem trzeba 30 mln rocznie. Tymczasem Podlasie wysupłało ze swoich zasobów zaledwie 13. Zanim zakończono budowę nowego gmachu, marszałek województwa Jarosław Zygmunt Dworzeński napisał do prezydenta Białegostoku list ze skargą, że w portfelu bida i trzeba pomóc. Okoniem stanęli radni miasta, którzy stwierdzili, że mają do utrzymania własne instytucje kultury. Ostatecznie Białystok dołożył 2 mln, po 2 mln rocznie przez trzy lata będzie

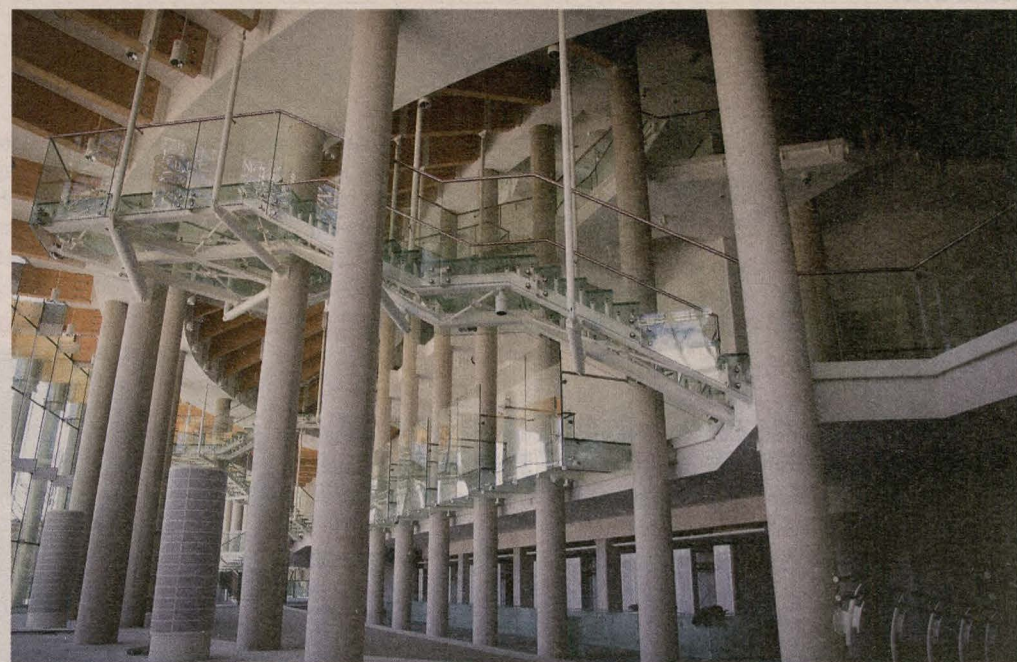
korzystał również minister kultury. Dyrektor Skolmowski uciął więc 17 mln, resztę musi zarobić.

– To mnie nie przeraża – mówi. Po czym wylicza: – Jeśli sprzedam w przyszłym roku 150 tys. biletów, co mam zamiar zrobić, to przy średniej cenie 50 zł za bilet już mam 7,5 mln. Do tego dochodzą wpływy z działalności komercyjnej, którą oczywiście zmuszeni jesteśmy prowadzić.

Rzeczywiście, w repertuarze jest wszystko: koncerty popowe, kabarety, kongresy, a nawet mistrzostwa świata w fitness. – I ja się tego nie wstydę, bo mogę potem na przykład sprowadzić do nas z koncertem Shlomo Mintza – wyjaśnia dyrektor. I od razu dodaje: – Z tym miejscem jest jak z angielskim trawnikiem. Trzeba go deptać i kosić, deptać i kosić przez jakieś 100 lat. Niech mi pan uwierzy, ale ci ludzie, którzy przychodzą na te komercyjne rzeczy, trafiają później do nas na operę. To trzeba robić tak, jak Ewa Michnik we Wrocławiu. Kiedy gmach opery był w remoncie, robiła wielkie widowiska w Hali Ludowej. Potem ci ludzie zaczęli przychodzić na rzeczy ambitniejsze.

Dobra druga liga

Owa repertuarowa ambicja jest na razie pięta achillesowa Opery i Filharmonii Podlaskiej, ale tylko w części operowej, którą nazwać by należało operowo-musicalową. Tu Skolmowski rzeczywiście planuje pod publiczność. Ale chwali go za to dyrektor Figas: – To podejście



jest bardzo dobre i będzie procentowało po latach. W mieście, w którym nigdy nie było opery, trzeba stworzyć publiczność. Kiedy zacząłem na początku wprowadzać operetkę czy musical, słyszałem podobne zarzuty. Ale to przyniosło efekty. Przecież gdyby w Białymstoku zaczęli od „Parsifala” Wagnera, to polegliby od razu.

Nie można zapominać o drugim członie nazwy, czyli filharmonii, która została nieco zepchnięta w cień przez operę, a to nadal ważna część działalności instytucji. Filharmonicy białostoccy nieustannie grają dla melomanów, choć muszą być pewnie zestresowani nową sytuacją, w której nagle ktoś zapędza ich do orkiestronu i każe akompaniować śpiewającemu „Korczakowi”. Orkiestra, określa-

Budowa monumentalnego gmachu pochłonęła ponad 220 mln zł. Czy to dużo? Pewnie tak, ale to dopiero początek wydatków. Żeby utrzymać placówkę, potrzeba 30 mln rocznie. 220 mln wystarczy więc na zaledwie siedem lat.

na przez Jacka Hawryluka – dziennikarza muzycznego i wicedyrektora radiowej Dwójki – jako dobra druga liga, jest niestety pozbawiona dyrektora muzycznego, co może się na niej fatalnie odbić. Wszyscy rozmówcy podkreślają też znakomity poziom tamtejszego chóru. Jacek Marczyński: – To bez wątpienia największy atut Opery Podlaskiej. Jej chór to absolutna polska czołówka.

Jeśli idzie o przyszłość placówki, która na razie wzbudza lokalny zachwyt i ogólnopolski sceptycyzm, drogi są dwie: zrównanie poziomem do mało znaczących, w większości lokalnych instytucji kultury albo próba wejścia do ekstraklasy. Obecne plany artystyczne Roberto Skolmowskiego wskazują, że, niestety, wybrał tę pierwszą.



KAROLINA SULEJ

Wybiera Mela Koteluk

Zaczynała w chórkach u Gaby Kulki. Teraz sama zebrała chór muzycznych głosów, żeby wsparły ją w kampanii „Nie bądź dźwiękoszczelny”, która ma uświadamiać odbiorcom muzyki, czym jest granie na żywo. Kilka miesięcy temu zadebiutowała albumem „Spadochron”, właśnie kończy swoją pierwszą trasę po Polsce. Zaczynała śpiewać już jako nastolatka, pierwszym wyborem były piosenki Kofty. Teraz brzmi bardziej jak Kate Bush, a jej twórczość bywa nazywana polskim dream popem. Swoją muzykę określa jako ulotną i słodko-gorzką, dla wrażliwców. Wie, co mówi – z piosenki ma nawet magistra.

1 Dachowiec

Koty, psy, nasi bracia mniejsi. Towarzysze codzienności, cierpliwi słuchacze, to im się zwierzę. Prawdopodobnie nikt nie raduje się bardziej na mój widok niż mój kot Latencja. Jako dziecko sprowadzałam do domu wszystkie porzucone lub ranne koty, ptaki, myszy, polne koniki. Robiłam im jadłodajnię, szpital, w ekstremalnych przypadkach pogrzeb. Zwierzęta żyją krócej niż my, trzeba o nie bardziej dbać.

2 Poezja śpiewana.

To moje początki. Nie mogłam jednak przy tym wytrwać, bo zależało mi, żeby stworzyć własny styl. Dla środowiska związanego z poezją śpiewaną tymczasem wartościowe nie jest to, że zaskakujesz ich osobowością, tylko to, że wystąpisz w czarnej sukience, z akompaniamentem fortepianu i będzie patetycznie. Wciąż mam jednak sentyment do wielu piosenek, które wtedy śpiewałam. Studiowałam medioznawstwo w warszawskiej SWPS. Magisterkę pisałam z polskiej piosenki powojennej w ujęciu antropologicznym, u profesora Burszty. Analizowałam teksty Marka Grechuty, Kofty, Kota Przybory i Młynarskiego. Uwielbiam też teksty Jana Wołka dla Łucji Prus. Znalazłam na YouTube koncert z Opoła 1977 r. pt. „Zwieszono nastroje”, śpiewa

tam po prostu niesamowicie. Z Łucją czuję magiczne połączenie. Zmarła w moje urodziny, 3 lipca.

3 Rykarda Parasol

Wciąż mało znana, a szalenie utalentowana artystka. Marzę o tym, żeby nagrać z nią piosenkę, i jest to marzenie w rodzaju tych, które być może niedługo staną się planem. Jej płytę kupiłam za granicą, intuicyjnie, nie mając pojęcia, co mnie czeka. Zakochałam się na zabój. Poznałam ją kilka miesięcy później, kiedy przyjechała na koncert do Centralnego Domu Kultury. Koleżanka, która nie miała pojęcia, jak bardzo ją lubię, zadzwoniła, czy nie oprowadziłabym jej po Warszawie. To świetna, normalna dziewczyna, nie ma w niej nic z diwy. Czasem mam wrażenie, że jest Nickiem Cave'em w spódnicy, taka mroczna, z męską energią, a już po chwili przypomina słodką i dziewczęcą Phoebe z „Przyjaciół”, która śpiewa sobie coś pod nosem z małą gitarą.

4 Świdermajery

Drewniane domy wtopione w sosnowe lasy tzw. Linii Otwockiej, architektoniczna perła. Twórcą stylu nadświdrzańskiego był Michał Elwiro Andriolli, nazwę nadał im Konstanty Ildefons Gałczyński. Charakterystyczne, ażurowe zdobienia werand i ganków to unikatowe piękno. Niestety, do dziś nie powstał żaden program ich ochrony. Przy Pensjonacie Gurewicza w maju przyszłego roku zagramy koncert w ramach 2. Festiwalu Świdermajer w Otwocku. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym powstał teledysk do mojego pierwszego singla, „Melodii ulotnej”.

5 Obywatel G.C.

Mam szczególny stosunek do Ciechowskiego. Myślę, że z wie-



ADAM CHEŁSTOWSKI/STYLUM



3



MAT PRASOWE



ANDRZEJ ŚWETLIK/FORUM

7



Mela Koteluk – wokalistka i autorka tekstów, w maju tego roku wydała debiutancką płytę „Spadochron”, docenioną zarówno przez media, jak i słuchaczy. Śpiewała w chórkach u Gabrieli Kulki oraz w zespole Scorpions (wystąpiła z nim m.in. w Royal Albert Hall na 80. urodzinach Michaiła Gorbaczowa). Muzyka Meli wypada z szufladek, jest poetycka, ale też zadziorna, liryczna i rockowa. Obecnie swoją trasę koncertową promuje album i inicjuje akcję wspierającą koncertowe granie „Nie bądź dźwiękoszczelny”.



na osobowością, przy całej swojej wrażliwości mocno wpływał na innych ludzi, wciąż wpływa. A przede wszystkim: dotykał istotnych spraw i był w tym swoim przekazie absolutnie autentyczny.

6 Laos

Daleko mi do spojrzenia europocentrycznego, mam w sobie głód poznania innych kultur. Ludzi, ich codziennych rytuałów, tradycji, święt, jedzenia – różnorodności. W grudniu wyjeżdżam do Azji Południowo-Wschodniej, w kierunku Laosu. Po bardzo pracowitym roku zamierzam przewietrzyć głowę, zdystansować się i pomyśleć nad nową muzyką.

7 „Traktat o łuskaniu fasoli”

Czyli powroty do umiłowanych książek. Jedną z nich jest właśnie powieść Wiesława Myślińskiego. Metafizyczna, piękna, mądra, nie narzucająca się, nie pocieszająca ponad miarę, stawiająca pytania. Napisała przez człowieka z doświadczeniem i przypisaną wiekowi mądrością. Przy prozaicznych czynnościach życiowych, w okolicznościach zwykłej codzienności, przy łuskaniu fasoli czy dar-

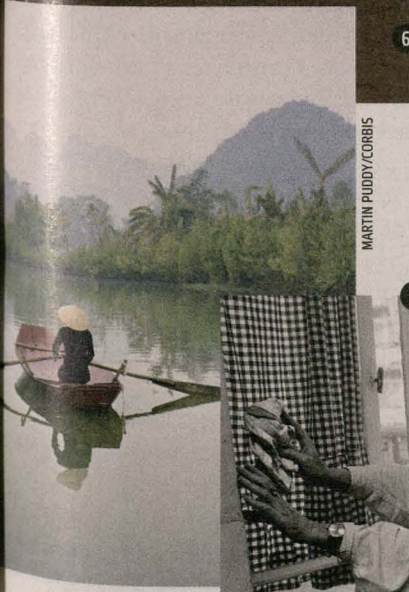
ciu pierza, można mieć wgląd w siebie, szukać sensu i uspokojenia. Drugim takim tytułem, który uczy życia i który na zawsze ze mną zostanie, jest „Przymknięte oko opatrności”, wspomnienia Jeremiego Przybory. Lubię te powroty.

8 „Szperando”

Tytuł mniej znanej piosenki z tekstem Agnieszki Osieckiej, o pewnej parze zamieszkującej nadwiślańską barkę. W życiu szperanie to inspiracja, sposób bycia: szperanie w ludziach, miejscach, lokalnych zjawiskach. W konsekwencji takich poszukiwań, rozgrzebywania, węszenia, powstają moje teksty, ale też powstaje ja. To są naczynia połączone.

9 „Nie bądź dźwiękoszczelny”

Inicjatywa, która ma pokazać, czym jest koncertowanie i jak ważne jest wspieranie muzyki na żywo. Coraz mniej osób chodzi na koncerty, mało osób rozumie skalę przedsięwzięcia i ją docenia. A przecież koncert pełni nie tylko funkcję rozrywkową. To forma uczestnictwa w szeroko pojętej kulturze. Z mojego punktu widzenia jest też możliwością podziękowania publiczności za to, że „mnie chce” – kupuje moje płyty. W „Nie bądź dźwiękoszczelny” chodzi też o to, żeby obalać stereotypy. Ludzie myślą, że jeżeli jesteś muzykiem, to rozbijasz się limuzynami, masz prywatne autobusy i samoloty, wieszysz życie pączka w masle. A jest to raczej słodki trud. Sami planujemy trasy. Nikt nas nie wozi. Nie jeździmy limuzynami. Jedziemy bussem załadowanym sprzętem. Przyjeżdżamy do klubu, sami rozstawiamy sprzęt, ustalamy warunki. Udzielamy wywiadów dla regionalnych mediów. Zostaje mi kilka minut przed koncertem, żeby się jakoś przygotować, ogarnąć. Koncert trwa półtorej godziny. Później rozmowy z publicznością. Jesteśmy w hotelu o godz. 2 i rano znów pobudka. To wspaniała praca, ale mało w tym rock and rolla. ☺



MARTIN PUDDY/CORBIS

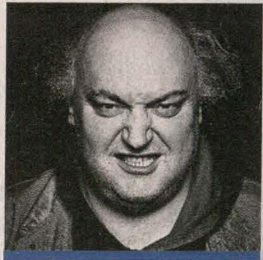
8



KRZYSZTOF WOJCIK/FORUM

Maciej Nowak

Stara krew



Ze sceny po raz kolejny płynie pretensjonalny bełkot, będący efektem słynnych improwizacji aktorskich Lupy.

Lupa lupa – napisało mi się półtora roku temu na Portalu, Którego Nazwy Nie Należy Wymieniać, po wyjściu z premiery „Poczekalni 2.0” w reż. Krystiana Lupy w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Ja wiem, to było sztubackie, nonszalanckie i niepoważne. Ale aż mnie świerzbilo, by nakłuć nadęty balon ochów i achów wobec kolejnej produkcji mistrza. Tym bardziej że „Poczekalnia 2.0” towarzyszyła obradom Europejskiego Kongresu Kultury, a Lupa sugerował, że wszelkie próby rozmowy i porozumienia są wyłącznie bełkotem. Bryzgają ci w twarz błotem i ekskrementem wszelakim, a ty masz znosić wszystko w bezbrzeżnym zachwycie i nabożeństwie. Nie, to nie dla mnie. Do tej sekty nigdy się nie zapisywałem. Po premierze „Miasta snu” Lupy w TR Warszawa statusu nie zaktualizowałem. Być może dlatego, że po siedmiu godzinach w teatrze sił już nie miałem, a najpewniej dlatego, że spektakl okazał się przewrotną pułapką na myszy. I mimo wszystko lekceważyć go nie należy.

„**Miasto snu**” to drugie, po ponad ćwierćwieczu, podejście Krystiana Lupy do powieści „Po tamtej stronie” autorstwa austriackiego rysownika z przełomu XIX i XX w. Alfreda Kubina. Miastem snu jest Perła, utopijna miejscowość, powołana do życia przez wizjonera Klausa Paterę dla elit intelektualnych i artystycznych świata. Odwiedzamy ją w chwili schyłkowej, gdy wstrząsają nią protesty niezadowolonych mieszkańców, a sam twórca stracił wiarę w swój projekt. Spektakl rozpoczyna się, gdy przez uchylone okna dobiegają odgłosy ulicznych burd. W wielkim salonie z odrazą i lękiem przysłuchuje się temu kanapowe towarzystwo aktorów, artystów, badaczy i zwykłych świrów. Przed nimi cykl ćwiczeń duchowych pod kierunkiem Arkadiny, a tymczasem plebs się burzy. To w tak złym guście. I nawet nie mogą doczekać się komentarza Patery, który gdzieś zanikł. Zdegustowani pograżają się w bezsensownych wynurzeniach, sporach, flirtach, rojąc sobie, że trwa właśnie casting do nowego projektu Federica Felliniego. I przy okazji cierpią na tajemniczą chorobę Perły, w której traci się instynkt samozachowawczy, a jedynym lekiem jest transfuzja świeżej krwi. Jej źródłem może być tajemniczy Błękitnooki, grany przez Jakuba Gierszałę, młode mięso będące

obiektem nieustannego pożądlivego spojrzenia Zresztą z obu stron rampy.

Czy „**Miasto snu**” to komentarz do gwałtownego dziś konfliktu między słabnącymi lemingami a demonstrantami z Madrytu, Aten, przedmieść Paryża czy wschodniego Londynu? Tylko pozornie, bo w istocie to spektakl nie o eskapizmie, ale – eskapistyczny. I to najzupełniej realnie. Premiera „Miasta snu” miała miejsce 10 listopada, przedstawienie grane było również dzień później, kiedy centrum Warszawy drżało od gwałtownych zadym.

Tymczasem Lupa wywozi wyznawców na spektakl daleko za rogatki miasta, do hali porzuconej u czorta na Kuliczkach, gdzie niezadowolenie ludu to tylko dźwięki generowane z komputera. Postaciom każe dialogować z publicznością, ale gdy robią sobie zdjęcie na tle widowni i wyświetlają je na wielkim ekranie, okazuje się, że wszystkie krzeselka wielkiego audytorium są puste. Bo publiczność to w tym teatrze tylko urojenie, puste miejsce. Ze sceny za to po raz kolejny płynie pretensjonalny bełkot, będący efektem słynnych improwizacji aktorskich Lupy. Czy warto spalać w nich wspaniałych aktorów, by wysłuchiwać pustosłowia na poziomie rubryk psychologicznych w supermarketowych gazetkach? W dodatku artykułowanego za pomocą nieznosnie staroświeckich i manierycznych środków scenicznych oraz łopatologicznych metafor. Gdy kontrapunktem do kolejnych scen staje się projekcja przedstawiająca szympansa siedzącego w stylowym fotelu, z zażenowania nie wiadomo, gdzie uciekać ze wzrokiem. Imponujący jest finał, w końcu Lupa na teatrze zna się jak mało kto. Nad sceną zawisa groteskowy Fellini z tubą, nawołujący do wyprawy w kolejne magiczne krainy, a sam reżyser z offu, zza pulpitu dźwiękowców, przez mikrofon wydaje aktorom wskazówki. Ręce same składają się do oklasków. Ale zaraz, zaraz...

Czy jest to spektakl o hochsztaplerze Klausie Paterze, czy spektakl samego Klausa Patery? Kto tu je, a kto tu jest jedzony? Kto tu wpadł w pułapkę?

Rozmowa Macieja Nowaka z Kazimierą Szczuką o spektaklu w programie „Wszystko o kulturze” (25.11 o godz. 23.35)

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.



Tomasz Tyndyk w „**Mieście snu**”, według „Po tamtej stronie” Alfreda Kubina, reż. Krystian Lupa, premiera: 5.10, Théâtre de la Ville, Paryż, polska premiera: 10.11, hala Transcolor, Warszawa, czas: 6 godz. 30 min (bez przerwy)

PAWEŁ T. FELIS

Mysleć Tarkowskim

– Czy Tarkowski był konfliktowy? Nie. Nerwowy, przeczulony na swoim punkcie, ambitny – tak. I egoistyczny, jak wszyscy reżyserzy. To, mówiąc żartobliwie, taka „rasa” – opowiada operator **Wadim Jusow, gość specjalny festiwalu Plus Camerimage** i współpracownik Andrieja Tarkowskiego.



MATERIAŁY PRASOWE PLUS CAMERIMAGE

Jak poznał pan Andrieja Tarkowskiego?

Robił właśnie swój film dyplomowy i chciał, żebym mu pomógł. Nie było komórek, rzadko kto miał telefon, więc napisał mi kartkę i przekazał przez Andrieja Konczałowskiego. Tak zrobiliśmy krótkometrażowego „Małego marzyciela”.

Jaki wtedy był Tarkowski?

Szykowny, elegancki i zdystansowany. Sprawiał wrażenie, że patrzy na innych z góry, chociaż tak naprawdę był niezwykle szczerzy i czasem wręcz przesadnie ufał innym.

Już wtedy widać było u niego przebłyśki geniuszu?

Geniuszu? A po co takie wielkie słowa? Ale talent widać z daleka. I Andriej od początku to miał. Specyficzny, błyskotliwy, precyzyjny, bo zawsze lubił iść pod prąd, cenił to, co niejednoznaczne. Do dziś dziękuję losowi, że pozwolił mi go spotkać na swojej drodze. Nie był urodzonym reżyserem: raczej artystą, wizjonerem, który powoli uczył się, jak przekładać swoje wizje na kino. Szukał swojej drogi, jak my wszyscy. A wtedy, w ciężkich latach 60., w Związku Radzieckim, to było wyzwanie.

Pewny siebie?

To przyszło z czasem. W Związku Radzieckim nie brakowało osób, które próbowały uprzykrzyć mu życie i złamać karierę. Ale kiedy jego nazwisko zaczęło coś znaczyć, a jego filmy doceniono za granicą, w tej upokarzającej grze przestał odgrywać rolę ofiary. Przy okazji „Andrieja Rublowa” postawiono mu na przykład warunek: musisz dokonać 22 zmian w filmie. Zrobił 17, ale w pozostałych pięciu przypadkach się uparł. I nikt nie był w stanie go zmusić.

Ten film do dziś pozostaje zresztą zagadką. Jak to możliwe, że władze Związku Radzieckiego wydały zgodę na obraz tak kosztowny, a jednocześnie tak wyraźnie religijny czy raczej metafizyczny?

Nigdy nie uważałem „Andrieja Rublowa” za film religijny – to raczej historia człowieka, artysty, który tworzy ikony i w nich zawiera swoje refleksje na temat świata. Ale do produkcji nigdy by nie doszło, gdyby nie jeden z decydentów partyjnych, który wydał zgodę tylko dlatego, że odchodził ze stanowiska – było mu już wszystko jedno. Postawił jednak warunek: zróbcie ten film nie za 1,2 mln, ale za 900 tys. rubli.

Je film kosztował więcej.

Dlatego wszyscy z ekipy dostali duże honoraria i specjalne nagrody, za które mogli sobie kupić samochody, a my – ja, Tarkowski i nasza producentka Tamara Ogrodnikowa – nie.

Pracował też pan z Tarkowskim przy „Solaris”. Spotkaliście się kiedyś ze Stanisławem Lemem?

Tak, poznaliśmy się na jakimś festiwalu. Długo rozmawialiśmy, przesympatyczny i piekielnie inteligentny człowiek. Z Tarkowskim rozumieli się doskonale, chociaż Andriej musiał go długo przekonywać, żeby zgodził się na adaptację swojej książki. Nie wierzył, że to może się udać. Ale z filmu był zadowolony.

Mówi pan ciepło o Tarkowskim, ale czasem bardzo się różniliście.

Nie zgodził się pan na przykład być operatorem przy „Zwierciadle”.

Kiedy przeczytałem scenariusz, od razu powiedziałem mu: to mi się nie podoba, to widzę inaczej. Do dziś mam ten tekst na pamięć, wtedy nosił tytuł „Biały dzień”. Ale Tarkowski upierał się, z niczym się nie zgadzał. Musiałem się wycofać. Tylko że Andriej odebrał to jak zdradę, do końca życia nie mógł mi tego wybaczyć. Boli mnie to do dziś, bo byłem jednym z najbardziej oddanych mu przyjaciół. Jak mógł pomyśleć, że go zdradziłem? Przecież u operatorów tak bywa, że raz się pracuje z jednym reżyserem, raz z drugim.

Przy „Zwierciadle” zastąpił pana Georgi Reberg, którego potem Tarkowski wyrzucił z planu „Stalkera”. Może po prostu Tarkowski był konfliktowy?

Zapytałem kiedyś Andrieja: „O co chodzi z Rebergiem?”. A Tarkowski: „Robi kiepskie zdjęcia, psuje mi pracę”. Trudno mi w to uwierzyć, bo Reberg był świetnym operatorem. Do dziś nie wiem, co tak naprawdę ich poróżniło.

A czy był konfliktowy? Nie. Nerwowy, przeczulony na swoim punkcie, ambitny – to tak. I egoistyczny, jak wszyscy reżyserzy – to, mówiąc żartobliwie, taka „rasa”. Operatorzy są bardziej elastyczni, podporządkowują się. Reżyserzy kompromisów nie znoszą.

Ostatni raz spotkaliście się w 1983 r. we Włoszech, tuż przed decyzją Tarkowskiego o emigracji. Rozmawialiście o tym?



To już 20. edycja Plus Camerimage – najbardziej rozpoznawalnego polskiego festiwalu na świecie. I to nie tyle ze względu na program, ile na kapitalny pomysł: to impreza od początku do końca poświęcona sztuce operatorskiej.

I właśnie pod kątem wysmakowanych zdjęć dobierane są filmy do konkursu głównego. Wśród 15 tytułów znalazły się m.in.: „Bestie z południowych krain” Benha Zeitlina, „Atlas chmur” rodzeństwa Wachowskich i Toma Tykwera, „Operacja Argo” Bena Afflecka, „Oblawa” Marcina Krzyształowicza i „Mój rower” Piotra Trzaskalskiego, a także „Holy Motors” Leosa Caraxa. Konkursów będzie zresztą więcej – filmy polskie (np. „Imagine” Andrzeja Jakimowskiego), debiuty reżyserskie i operatorskie, ale też dokumenty i wideoklipy: wydarzeniem specjalnym będą teledyski mistrzów, m.in. Christophera Doyle’a i Christophera Soosa. Poza tym specjalne retrospektywy operatora Wadima Jusowa i Davida Lyncha, przegląd kina irlandzkiego i łotewskiego, warsztaty dla młodych filmowców oraz – dla wielu rzecz najważniejsza – goście. W Bydgoszczy, gdzie festiwal trwał będzie od 24 listopada do 1 grudnia, spodziewani są m.in. reżyserzy Joel Schumacher i Alan Parker oraz aktor Keanu Reeves.

WADIM JUSOW

(ur. 1929), jeden z najbardziej zasłużonych rosyjskich operatorów filmowych. Przez wiele lat współpracował z Andriejem Tarkowskim („Dziecko wojny”, „Andriej Rublow”, „Solaris”) i Siergiejem Bondarczukiem („Oni walczyli za ojczyznę”, „Czerwone dzwony” oraz realizowany częściowo w Polsce „Borys Godunow”) oraz Iwanem Dychowicznym (za zdjęcia do jego „Czarnego mnicha” dostał Złotą Osellę – specjalną nagrodę festiwalu w Wenecji za najlepsze zdjęcia). Jako profesor Wszechrosyjskiego Państwowego Instytutu Kinematografii od lat wykłada sztukę operatorską.

Kadr z filmu „Solaris”, rez. Andriej Tarkowski, (1972).

Za pomoc w tłumaczeniu rozmowy autor dziękuje Oksanie Kowalczyk.

Wtedy nie. Jego żona powiedziała mi tylko: „Wadim, my zostajemy”. A Andriej, spokojny, chociaż dziwnie smutny: „Nie mów głupot!”. A jednak zostali. Pytałem go kiedyś przez telefon, dlaczego nie wróci. „Jeśli przyjadę, nigdy nie wybaczą mi wolności, którą tu dostałem”. Żartowaliśmy, chociaż sytuacja była poważna, że jeśli wróci, każą mu na przykład nakręcić film o Leninie. Na co Tarkowski: „Wiesz, ja bym go nawet zrobił. Tylko według swojego scenariusza. A na to nigdy nie pozwolą”.

Czy zgadza się pan, że istnieje polska szkoła operatorska?

Oczywiście. Nie ma lepszego! Wiedzą o tym w Ameryce, wiedzą na całym świecie. Wiedzieliśmy też my – można powiedzieć, że uczyliśmy się na mistrzach z Polski. A najważniejszym był Jerzy Wójcik. „Półpiór i diament”, „Matka Joanna od Aniołów” to były objawienia. Również dla Tarkowskiego, który uważał Wójcika za geniusza kamery i myślał nawet, żeby z nim współpracować. Szkoda, że nigdy do tego nie doszło.

Ale zdjęcia Wójcika i zdjęcia Dariusza Wolskiego do „Piratów z Karaibów” czy „Prometeusza” albo Janusza Kamińskiego do „Szeregowca Ryana” albo „Czasu wojny” dzieli przepaść. Nie denerwuje pana współczesne kino?

Przeciwnie – podziwiam je. Kiedy bracia Lumiere wynaleźli kinematograf, ludzie, oglądając film, przeżywali szok i wpadali w panikę. Podobnie jest z nowoczesnym kinem: doskonała technologia pozwala zafundować widzowi taki sam szok, podobnie wielkie emocje. To dotyczy obrazu, światła, dźwięku, 3D – żyjemy w innym świecie, ludzie oczekują ciągle czegoś nowego i kinematografia doskonale to wyczuwa. My pracowaliśmy skromnie: przy „Solaris” nasze efekty specjalne były ubogie, trzeba się było nieźle nagimnastykować, żeby stworzyć w studiu inną planetę. Trochę nawet współczesnym operatorom zazdroścę.

Ale technika to jedno, a wyobraźnia – coś zupełnie innego. Dopóki kinem zajmują się artyści, jeszcze wiele w filmowym obrazie może się zmienić. Nie zapominajmy, że ta sztuka ma niewiele ponad sto lat. Czyli w pewnym sensie dopiero raczkuje.

Dorota Chrobak o filmach

FESTIWAL

Poza Zachodem też jest kino

Festiwal Filmy Świata Ale Kino+ jest imprezą o ugruntowanej pozycji (to już ósma edycja), klarownej polityce programowej, dostępną dla widzów w aż pięciu miastach.

Formuła festiwalu jest prosta. Na program imprezy składają się produkcje kinematografii z Ameryki Łacińskiej, Bliskiego i Dalekiego Wschodu czy Afryki, a zatem takie, które rzadko lub w ogóle nie trafiają do polskich kin. To tytuły, które zaistniały na międzynarodowych festiwalach, m.in. w Cannes, Wenecji, San Sebastian czy Toronto.

W tym roku obejrzymy 20 fabuł, z których aż 17 będzie pokazywanych w Polsce po raz pierwszy. Najliczniejsze reprezentacje wystawiły kinematografie Brazylii (cztery produkcje) i Izraela (trzy). W programie są też filmy m.in. z Maroka („Życie na sprzedaż”), Kolumbii („La Sirga”) czy Arabii Saudyjskiej („Dziewczynka w trampkach” – pierwszy film nakręcony w całości w tym kraju przez pochodzącą stamtąd kobietę).

Najciekawszą propozycją festiwalu jest cykl „Brazylia, jakiej nie znacie”. Znacomie prezentują się zwłaszcza „Sąsiedzkie dźwięki” Klebera Mendoncy’ego Filho, opowieść o niepewności życia w metropolii i firmie ochroniarzkiej, która niekoniecznie jest w stanie to poczucie bezpieczeństwa zapewnić.

Warto zwrócić uwagę także na blok filmów izraelskich, wśród których znalazł się tamtejszy kandydat do Oscara 2013 „Wypełnić pustkę” Ramy Burshtein, intymny portret dziewczyny z rodziny chasydzkiej, która zмага się ze śmiercią starszej siostry.

Ozdobą festiwalowego programu jest tragikomedia „Kurczak ze śliwkami”, najnowsze dzieło Marjane Satrapi, autorki „Persepolis”. Znów mamy do czynienia z adaptacją jej komiksu, choć tym razem z udziałem aktorów, m.in. Mathieu Amalrica („Motyl i skafander”), Jamela Debbouze’a („Amelia”) i Isabella Rossellini.

Warszawa: 22-29.11 – kino Muranów, kino Luna; **Poznań:** 25-28.11 – kino Muza; **Gdańsk:** 26-29.11 – kino Klub Żak; **Wrocław:** 29.11-2.12 – kino Nowe Horyzonty; **Kraków:** 30.11-3.12 – kino pod Baranami; info: www.filmyswiata.pl



reż. John Hillcoat
USA, 2012, Monolith,
116 min
👍👍👍👍

DRAMAT KRYMINALNY

Gangster

Świetny dowód na to, że klasyczne narracje ciągle się sprawdzają na dużym ekranie. Jedyne warunki – trzeba umieć je opowiadać. Stan Wirginia, czasy prohibicji, trójkąt bimbrowników wchodzi w konflikt z przedstawicielem władzy, który chce od nich wyciągnąć zbyt duży udział w zyskach. Niby prosta historia z epoki, jakich dziesiątki już znamy. Nie bardziej myślnego. John Hillcoat („Droga”) kładzie przed nami soczysty kawałek filmowego świata, który wciąga i na dwie godziny każe się oderwać od codzienności. A aktorzy – zwłaszcza stylowa Jessica Chastain, mrukliwy Tom Hardy i przypominający Herr Flicka z „Allo, allo!” Guy Pearce – pasują do tego świata wręcz idealnie. Czy nie to liczy się najbardziej w chodzeniu do kina?



DOKUMENT

Comic-Con Epizod V: Fani kontratakują

Comic-Con to impreza w Europie, zwłaszcza w Polsce, nie mał nieznaną. Za to w Stanach nosi znamiona kultury i jest bodaj najważniejszym festiwalem popkultury na świecie. Podając za kilkoma uczestnikami konwentu (początkujący twórcy komiksów, projektantka kostiumów etc.), Morgan Spurlock („Super Size Me”) kreśli całociowy portret jedynej w swoim rodzaju i pełnej sprzeczności imprezy, gdzie każdy szturmowiec Imperium czuje się jak u siebie w domu, a Joker z Batmanem chodzą na piwo. Pasje vs twarde negocjacje, handel vs marzenia, czterodniowy, w pełni legalny haj vs smutek i oczekiwanie na przyszły rok. Dla konsumentów kultury doby współczesnej lektura obowiązkowa.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Girl power

Wyrazista główna bohaterka bywa wabikiem, który skłania do oglądania nawet seriali średniej jakości, takich jak „Zemsta”.

Rozgrywający się w scenerii kurortu dla bogaczy Hamptons rodzinny melodramat opowiada o posługującej się podwójną tożsamością Emily Thorne/Amandzie Clarke (Emily Van Camp). Poprzysięgła ona srogą zemstę członkom rodu Greysonów, którzy przywiedli do zguby jej rodziny. Specjalnie pozwałam sobie na ten stylizacyjny przekąs, bo cała ta historia ze swoją przesadną dbałością o decorum i teledenowelową logiką, w której deus ex machina pojawiają się zaginięci krewni, ogromnie mnie irytuje. Ale oglądam wiernie, bo lubię samodzielne i mocne dziewczyny, takie jak Emily. Kibicuję jej po prostu – już drugi sezon.

W USA przeprowadzono niedawno badania, które dowiodły, że oglądanie seriali z silną kobietą bohaterką wpływa pozytywnie na stosunek do kobiet, pomaga przełamywać niekorzystne stereotypy i ogranicza przemoc seksualną. Nazwano to „efektem Buffy” na cześć pogromczynie wampirów z serialu Jossa Whedona i jednej z moich ukochanych (obok Veroniki Mars) heroin wszech czasów. Na szczęście i dziś nie brakuje mi dobrych serii ze znacznikiem girl power: „Żona idealna” i „Homeland” na serio, „Dwie splekane dziewczyny”, „Jess i chłopaki” na śmiesznie oraz „Dziewczyny” na śmiesznie i wyzywająco. Siła jest (w) nas! „Zemsta 2” (Fox Life) – 18 listopada



ROZMAWIA ANGELIKA KUCIŃSKA

Nie nazywać, tylko chłonać

Dziewczyna orkiestra. Śpiewała jazz i metal, dziś nagrywa autorskie płyty ponad gatunkami. Pytamy Hanne Hukkelberg, dlaczego tak często wyjeżdża i w jakiej muzyce jej niewygodnie. Tej, w której czuje się najbardziej komfortowo, będzie można posłuchać na żywo – pierwsza dama norweskiej alternatywy 27 listopada wystąpi w Warszawie.

Ostatni album nagrałaś w Nowym Jorku. Dlaczego akurat tam?

Każdej jesieni wyjeżdżam, żeby komponować. Jedną z wcześniejszych płyt napisałam w Berlinie, kolejną – na północy Norwegii. Nowy Jork to bardzo praktyczne miejsce, idealne, żeby nawiązać kontakty, poznać muzyków, którzy budują tamtejszą scenę. Chciałam sprawdzić, co mogę z tego wyciągnąć dla siebie. Ale Nowy Jork jest niezwykle żywym miastem, dlatego więcej się bawiłam, niż komponowałam. Resztę albumu musiałam dopisać w domu.

Skąd ta potrzeba zmiany otoczenia?

Nieważne, dokąd wyjeżdżam – ważne, że w ogóle wyjeżdżam. Żeby się dobrze wyrazić na płycie, potrzebuję autorefleksji, kontaktu z samą sobą. Nie umiem się wyłączyć z codziennego życia, będąc u siebie. Udać mi się to dopiero w miejscu, którego nie znam i do którego nie jestem przyzwyczajona. To nie zawsze jest przyjemne, często trudne, ale konieczne. Kiedy rzucam sobie wyzwania, robię najlepszą muzykę.

Tak każdej jesieni pakujesz wszystkie instrumenty?

Nie potrzebuję zabierać ze sobą wielu rzeczy. Chętnie pracuję na tym, co znajdę dookoła. Wystarczą mi pianino, gitara i domowe studio, które mam w komputerze. Na wyjeździe nagrywam tylko szkice, całość dopracowuję wspólnie z moim producentem po powrocie.

Na twoich płytach jest mnóstwo naturalnych odgłosów domu, które pogłębiają jego intymność. Ale okazuje się, że to nigdy nie jest twój dom. Dokładnie, to są odgłosy tymczasowych domów, w których mieszkam, kiedy wyjeżdżam.

Próbowałaś swoich sił w różnych gatunkach muzycznych – klasyce, jazzie, nawet metalu. Co dało ci każde z tych doświadczeń?

Próbowanie różnych rzeczy sprawia mi gigantyczną frajdę. Nie chciałabym się zamknąć w jednym stylu. Grałam w czterech różnych zespołach – popowym, jazzowym, metalowym, rockowym – a do tego prowadziłam solowy projekt. Wiele mnie to nauczyło – uświadomiło, czego szukam w muzyce i co lubię. W autorskich przedsięwzięciach próbuję wykorzystywać wszystkie te doświadczenia, bo uważam, że muzyki nie należy dzielić na gatunki. Nie nazywać jej, tylko ją chłonać.



KONCERT

Hanne Hukkelberg,
27.11,
Cafe Kulturalna,
Warszawa

A czego nauczyło cię śpiewanie w zespole metalowym?

Perkusista był jednocześnie głównym kompozytorem, więc to on uczył mnie materiału. Wiesz jak? Gwiżdząc. To wyostrzyło mi słuch. Musiałam się naprawdę wysilić, żeby wyciągnąć wszystkie dźwięki. Czasem musiałam zgadywać. A on był tak precyzyjny w tym gwizdaniu, że zawsze się orientowałam, kiedy nie trafiałam w odpowiedni ton. Zaczęłam też wtedy lepiej śpiewać w wysokich rejestrach, zainteresowałam się operą. To było również społeczne doświadczenie. Na koncertach musiałam nawiązywać kontakt z inną publicznością niż ta, dla której wcześniej grałam. Musiałam się inaczej ubierać...

Co zakładałaś na scenę?

Sukienkę prababci. Niestety, nie przetrwała pożaru w moim mieszkaniu. A była naprawdę piękna, ciemnoczerwona, w kwiaty, mocno gotycka.

Jest jakiś gatunek muzyczny, w którym nie czujesz się wygodnie?

Funk. Mimo że kocham tańczyć.

ROZMAWIA JAN MIROSŁAW

Cukiereczki dla roztańczonych punków

Gruba lesbijka może stać się ikoną mody. W prowincjonalnym Arkansas rosną nie tylko fani country. Polityczne zaangażowanie nie musi przekreślać komercyjnego potencjału. **Gossip** udowadnia to wszystko, proponując zabójczo skuteczną mieszankę zaraźliwych melodii i alternatywnego przesłania. Oni są inni i nie wahają się o tym mówić. Z gitarzystą zespołu, **Nathanem Howdeshellem**, rozmawiamy w przededniu koncertu zespołu na warszawskim Torwarze.

Wszystko w historii Gossip wydaje się odbiegać od normy. Twoja droga do muzyki prowadziła przez polowanie z łukiem na jelenie.

Tak, w pewnym sensie. Kiedy dorastałem, mój kuzyn zabierał mnie na te polowania. W Arkansas to nic wielkiego. Kuzyn był też zapalonym deskorolkarzem i miał mnóstwo ziół poświęconych punkowi. Dzięki niemu zacząłem poznawać tę kulturę.

Co sprawia, że chłopak w Arkansas trafia do zespołu takiego jak Gossip?

Muzyka to zawsze najlepsza droga ucieczki z miejsca, w którym nie chcesz być. Zaczynasz jeździć po świecie, poznajesz innych ludzi.

Jednak coś sprawia, że po każdej trasie wracasz na stare śmieci.

Jak wygląda życie gwiazdy rocka w Arkansas?

Wciąż mieszkam na farmie, na której dorastałem, razem z moim ojcem. Nie robię nic szczególnego, głównie gram z przyjaciółmi. Prowadzę proste życie.

Wasz ostatni album – „A Joyful Noise” – wyprodukował Brian Higgins z Xenomanii, słynny ze współpracy z Pet Shop Boys, Sugababes i inny-



KONCERT

Torwar, Warszawa, 22 listopada, godz. 20, bilety: 110–120 zł

mi popowymi wykonawcami. To chyba dość dalekie od waszych punkowych początków?

Nadal uważamy się za surowy zespół. Kiedy nadarzyła się okazja, żeby pracować z Brianem, pomyśleliśmy, że to może być interesujące. Wcześniej nie miałem za bardzo pojęcia o tym, co robił z Sugababes czy Girls Aloud. Okazało się, że dobrze się rozumiemy, i ten jeden raz postanowiliśmy spróbować czegoś innego.

To była inna współpraca niż z Rickiem Rubinem?

Brian wywodzi się z popu, więc nasz materiał brzmi mniej surowo niż dotychczas. Może nawet mniej surowo, niż byśmy chcieli. Słysząc, że ktoś dopieszczał te kawałki.

Jesteś również mocno związany z Portland, amerykańską stolicą hipsterstwa. Myślisz, że ta kultura ma przed sobą jeszcze trochę życia czy weszła już w fazę schyłkową?

Portland to duże miasto, z bardzo aktywną sceną – uwielbiam je. Wielu naszych przyjaciół stamtąd to hipsterzy. Nie widzę w tym żadnego problemu.

Dlaczego Gossip odniosło większy sukces w Europie niż w Stanach?

Media w Ameryce podlegają dużo większej kontroli. Radio gra tylko to, co jest popularne i sprawdzone, jak Justin Bieber i R. Kelly. W Europie ludzie wciąż szukają nowych, fajnych rzeczy i szansa na przebicie się jest dużo większa. Kiedy grasz punk z elementami muzyki tanecznej, wymykasz się prostym podziałem.

Zawsze byliście bojowo nastawieni, walcząc o prawa kobiet, gejów i osób z nadwagą. Czy nie jest tak, że zapał do walki zmniejsza się w miarę, jak rozwija się kariera?

Mam poczucie, że jesteśmy tymi samymi ludźmi co 10 lat temu. Nasz przekaz się nie zmienia, nadal najważniejsze są dla nas różnorodność i tolerancja.

Na nowej płycie jest piosenka zatytułowana „Get a Job”. Czy to krytyka tych, którzy nie muszą pracować na swoje utrzymanie?

Akurat ta piosenka opowiada o konkretnej osobie, której Beth nie lubi. Z drugiej strony dziś trudno o pracę.

Beth została kiedyś zapytana, co powiedziała 15-letniej wersji samej siebie. Odpowiedziała, że kazałaby przekazać Nathanowi, że wcale nie jest taki cool, jak mu się wydaje. Co miałeś na sumieniu?

Beth jest młodsza ode mnie o dwa lata. Kiedy się spotkaliśmy, ona miała chyba 14 lat, a wtedy to jest duża różnica wieku. Podsuwałem jej muzykę, którą lubiłem, nagrywałem kasety. Było tego naprawdę dużo.

Teraz też zajmujesz się wieloma rzeczami naraz.

Tak, oprócz Gossip gram country z moją przyjaciółką Bonnie Montgomery, a także prowadzę własny label płytowy Fast Weapons. Inspirują mnie starsze rzeczy, jak Johnny Cash, Waylon Jennings, Alabama – te, których słuchałem, dorastając.

Dorastając, pracowałeś również w Burger Kingu. Powiedziałeś nawet,

że wtedy dzień mijał błyskawicznie, bo ciągle miałeś coś do roboty.

Dzień muzyka w trasie mija chyba jeszcze szybciej?

To 24-godzinna praca, więc rzeczywiście wszystko płynie. Z pracy takiej jak w barze wychodzisz i zapominasz o niej. Będąc w trasie, nie możesz wyjść. Tyle że tego, co robię, nie uważam nawet za pracę.

Wasze koncerty słyną z tego, że zaskakujecie widownię niespodziewanymi coverami. Efekt zaskoczenia to coś, co planujecie, czy wynik improwizacji?

Te momenty zwykle biorą się z improwizacji. Myślę, że w Warszawie też postaramy się o jakąś niespodziankę.

Wracając do pierwszego pytania, przyznaj się – sam też zabijałeś jelenie z łuku?

Nie, jakoś wtedy mnie do tego nie ciągnęło. Jestem jednak pewien, że kiedyś w przyszłości to zrobię.

PŁYTA

Bez zadyszki

Pół wieku na scenie zobowiązuje. Stonesi nie przestają świętować. W ramach jubileuszu wydali obszerną kompilację najważniejszych przebojów.

Pójdźmy na kompromis z encyklopedystami, którzy minimalnie różnią się w zeznaniach, i przyjmijmy, że rock and roll jako osobny gatunek zdefiniował się 60 lat temu. The Rolling Stones grają zaledwie dekadę krócej. Czas na kapcie i termofor? Krytycy uparcie pytają o to od dobrych dwóch dekad. Ale Mick i spółka najwyraźniej się zawzięli. Z okazji jubileuszu przygotowali „GRRR!”. To gigantyczna składanka (w wersji podstawowej 50 numerów, w wersji luksusowej – 80) ikonicznych nagrań budujących instytucję rock and rolla z całym jego podręcznikowym inwentarzem – hałasem, romantyzmem, niepedagogiczną przyjemnością i stylową garderobą. I choć dwie premierowe piosenki błędą przy tych największych, słysząc, że Stonesi nie tracą zapału. Rock and roll to muzyka młodości, ale o tej, wbrew pozorom, nie decyduje metryka. Wystarczy spojrzeć na Keitha Richardsa. → Angelika Kucińska



The Rolling Stones „GRRR!”, Universal

KONCERT

Piosenki po demolce

Nie będzie miło ani szczególnie ładnie. Ten typ tak ma, że lubi wykrzywiać. Ariel Pink, nieobliczalny cesarz piosenki popsutej, zagra w stolicy. Muzyczni historycy będą kiedyś mieli problem. Płyty Pinka, choć rejestrowane w ostatniej dekadzie, brzmią jak przeklejone z archiwów psychodelicznych lat 60. i 70. I nawet nie wiadomo, ile ich nagrał, bo część nie trafiła to tradycyjnego fonograficznego obiegu. Części z kolei nie przyjęła publiczność, wygizdując wczesne solowe koncerty Kalifornijczyka. Dopiero jako Ariel Pink's Haunted Graffiti przestał być ciekawostką z dziwnych blogów i zdobył szerokie uznanie. To logiczne – pod tym szyldem stworzył najbardziej cywilizowane, piosenkowe albumy. Choć przystępność rozumie po swojemu. Pink, fanatyczny wyznawca surowej estetyki lo-fi, odrzuca przyjemną produkcję. Kwestionuje tradycyjne formuły, refreny ma za nic, gra na swoich zasadach. Ale w tej demolce jest metoda. Nie bez powodu awansował do czołówki najbardziej wpływowych nazwisk amerykańskiej alternatywy. Tym, którzy kiedyś gwizdali, musi być dziś bardzo głupio. → Angelika Kucińska



Ariel Pink's Haunted Graffiti, 24.11, Warszawa, Hydrozagadka

CEZARY POLAK

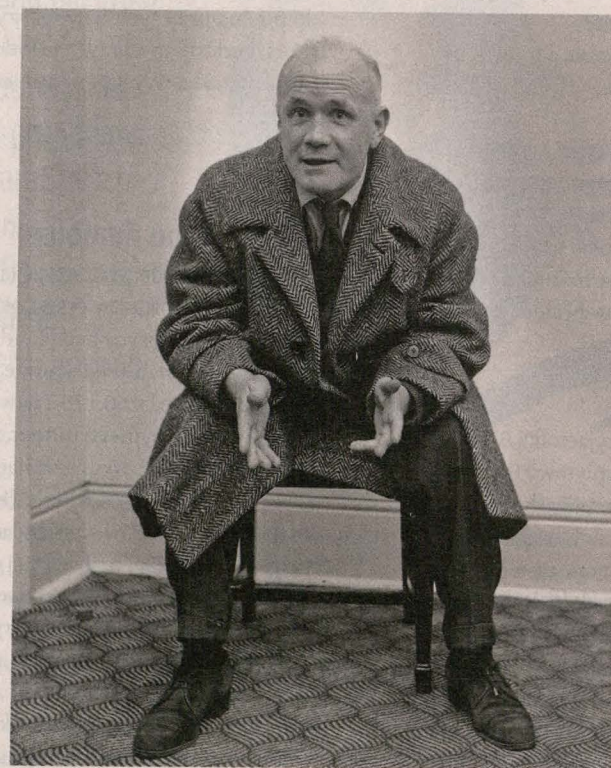
Cierpiący złodziej książek

Kradł, był homoseksualną prostytutką, najsłynniejszym więźniem aresztu w Katowicach i wybitnym pisarzem. Po polsku ukazał się właśnie „Zakochany jeniec”, opowieść o palestyńskim powstaniu oraz masakrze w Sabrze i Szatili, turpistyczny testament Jeana Geneta.

Historia literatury odnotowuje wielu pisarzy z podkoloryzowanymi życiorysami. Jean Genet należy do niezbyt licznej grupy, którzy nie musieli niczego ubarwiać. Podczas gdy inni opisywali życie społecznych nizin z perspektywy gabinetu wyekwipowanego w bibliotekę, on doświadczał ich na własnej skórze. Prawdopodobnie gdyby było inaczej, nie tylko nigdy nie napisałby „Dziennika złodzieja”, „Matki Boskiej Kwietnej” i „Cudu róży”, ale w ogóle nie zostałby pisarzem.

Paryż, pięć dni przed Gwiazdką 1910 r. Genet przychodzi na świat. Siedem miesięcy później matka oddaje go do przytułku. Przyciąga go małżeństwo drobnych rzemieślników z wioski Alligny-en-Morvan. Dzieciak nie okaże się aniołkiem – już w wieku 10 lat zaczyna kraść. Po ukończeniu podstawówki (ze świetnym wynikiem) przyjęty do prestiżowej podparyskiej Ecole D'Alembert miał się kształcić na drukarza, ale wytrzymuje tylko 10 dni i ucieka.

Później też nie było lepiej. Kolejnych opiekunów, m.in. niewidomego kompozytora René de Buxeuila, okradł i porzucił. Trafił do poprawczaka, z którego uciekał, żeby włóczyć się i kraść. Po uzyskaniu pełnoletności zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Jako legionista trafił do Syrii, gdzie po raz pierwszy zetknął się ze światem



HULTON/CORBIS

marabskim, który odegra w jego życiu wielką rolę. W 1936 r. zdezerterował i ruszył na włóczęgę po Europie. Kradł także w Polsce. W „Dzienniku złodzieja” zachwycał się widokiem półdojrzałego żyta, którego barwę porównywał „do jasnych włosów młodych Polaków, którzy mają w sobie jakąś maślaną łagodność Polski. Wiedziałem o niej, że przez wieki kaleczono ją i litowano się nad jej losem” – zanotował. W Katowic

ach wpadł na kolportażu fałszywych pieniędzy i spędził trzy miesiące za kratami. Dla upamiętnienia tego wydarzenia w tamtejszym areszcie odbywa się od czterech lat konkurs poetycki jego imienia.

Po powrocie do Francji kontynuował złodziejski proceder i pracował jako bukinista. Przylapany kolejny raz na kradzieży książek powędrował do więzienia. Za kratami napisał i wydał własnym sumptem elegię „Skazany na śmierć”. Utwór zachwylił Jeana Cocteau, który wprowadził Geneta na literackie salony i pomógł mu w znalezieniu wydawcy powieści „Matka Boska Kwietna”. Zanim do tego doszło, Genet połąkamił się na rzadką edycję dzieł Verlaine'a, za co, jako recydywista, dostał dożywocie. W zwolnieniu znów pomógł Cocteau. Potem jeszcze kilkakrotnie Genet wchodził w konflikt z prawem, ostatecznie dzięki wstawieniu intelektualistów pod koniec lat 40. został uwłaskawiony przez prezydenta Francji.

To był najbardziej złodziejski i najbardziej twórczy okres w biografii Geneta. Niezwykły przestępca objawił się jako samorodny talent, portrecista środowisk wykluczonych z głównego obiegu życia społecznego. Poruszał problemy wyobcowania, uprzedzeń i kastowości w szermujących górnolotnymi hasłami demokracjach zachodnich. Oddawał głos wyrzutkom, pro-

tytutom, służbie, złodziejom, ale nie po to, żeby epatować. Prowokował (także w swoich dramatach) do dyskusji nad barierami – mentalnymi, politycznymi, własnościowymi, które dzielą ludzi na lepszych i gorszych. „Pociągają mnie ludzie, którzy się buntują. Gdyż ja sam czuję potrzebę kwestionowania całego społeczeństwa” – powiedział.

Kolejnym przełomem było samobójstwo (1964) Abdallaha Bentagi, ciemnoskórego akrobata cyrkowego, wieloletniego partnera pisarza. Genet rzucił pisanie i rozpoczął wielką wędrówkę. Próbował odebrać sobie życie. Po wizycie na Bliskim Wschodzie oraz w USA (na terytorium których przedostał się nielegalnie przez zieloną granicę z Kanadą, bo władze odmówiły mu wizy z powodu „seksualnej dewiacji”) zaangażował się w walkę o prawa palestyńskich uchodźców i emancypację Afroamerykanów. Występował na wiecach Czarnych Panter, utrzymywał kontakty z Arafatem.

„Zakochany jeniec” to summa literackich, światopoglądowych, filozoficznych i erotycznych ideałów Geneta. Zarzewiem tej wielowątkowej, rozdygotanej książki była wizyta w obozach palestyńskich uchodźców w Sabrze i Szatili, krwawo spacyfikowanych w 1982 r. przez chrześcijańskich falangistów, przy milczącej zgodzie Izraela. Genet był w obozach tuż po masakrze. Opisał Armagedon, wplatając w narrację rozważania o dziejach Bliskiego Wschodu i jego zawłaszczeniu przez mocarstwową politykę, o naturze zła i naturze płci i fascynacji cielesnością, wreszcie o turpistycznej urodzie wojny i przemocy.

Jak zawsze chciał doświadczyć na sobie tego, co opisywał. Chorował na raka, ale podczas pracy nad „Zakochanym jeńcem” odstawił leki przeciwbólowe. Pisał, cierpiał i umierał jak jego bohaterowie. Zmarł w 1986 r. Był prawdopodobnie największym moralistą wśród złodziei i największym złodziejem wśród moralistów.

KSIAZKA

Pogrom jak performance

Bolesne fragmenty polsko-żydowskiej historii, z których starał się rozliczyć Władysław Pasikowski w swoim „Pokłosiu”, na antropologiczny warsztat wzięła również prof. dr hab. Joanna Tokarska-Bakir, która od lat zajmuje się anatomią antysemityzmu, jego kulturowymi i społecznymi kontekstami. W książce „Legenda o krwi. Antropologia przesądu” skupiła się m.in. na korzeniach tzw. blood libel, czyli absurdu wiary w to, że Żydzi wykorzystują chrześcijańską krew do religijnych obrzędów (potocznie mówiąc: mordują chrześcijańskie dzieci „na macę”). W świeżo wydanej zbiorze esejów, nad którymi wybitna antropolożka kultury oraz laureatka Nagrody im. Jana Karskiego pracowała w latach 2008–2012, temat ten powraca ze zdwojoną siłą. W tomie znajdziemy wstrząsające świadectwa ludzi ocalałych z Zagłady, którzy opowiadają o tym, jak polscy sąsiedzi zachowywali się wobec Żydów w trakcie II wojny światowej, ale i po jej zakończeniu. Przeczytamy również świadectwa samych



Joanna Tokarska-Bakir, „Okrzyki pogromowe”, Czarne 2012, 44,90 zł

sąsiadów, których „historie mówione” Tokarska-Bakir inteligentnie analizuje, wskazując na możliwe przyczyny antysemityzmu, jaki z nich wyziera. Tytułowy szkic „Okrzyki pogromowe” to z kolei wnikliwe badanie hasła, jakie skandowały tłumy podczas powojennych pogromów żydowskich w Rzeszowie, Krakowie oraz Kielcach. Kluczem do rozszyfrowania znaczeń tych, przepełnionych nienawiścią okrzyków są an-

tropologia performatywności Victora Turnera oraz koncepcja Eliasa Canettiego, w myśl której tłum jest masą, która „dąży do niepowstrzymanego wzrostu i homogenizacji”. Książka Joanny Tokarskiej-Bakir dotyka wielu kwestii wypieranych z masowej świadomości – opowiada chociażby o antysemityzmie powszechnym wśród polskich partyzantów. Autorce za szczerość z pewnością dostanie się od niektórych środowisk, zamkniętych na dekonstrukcję rodzimych mitów. A szkoda, bo rzetelna praca antropolożki zasługuje na najwyższy szacunek. Lek-tura obowiązkowa.

→ Hanna Rydlewska

KSIAZKA

Szukając guru

Kryminał, reportaż z miasta zbrodni, rozprawa o naturze twórczości, przypowieść o ludzkim losie, bildungsroman, literacki testament. Wszystkie te gatunki, tropy i wątki (oraz dwa tuziny innych) znajdziecie w monumentalnym „2666” Roberto Bolaño. Pisząc tę tysiącstronicową cegłę, chilijski pisarz



Roberto Bolaño, „2666”, tłum. Katarzyna Okrasko, Jan W. Rajter, Muza 2012, 76 zł

(1953–2003), objawienie nowej literatury latynoamerykańskiej, umierał na nieuleczalną chorobę wątroby, ścigał się ze śmiercią. Bohaterowie tej szkatułkowej powieści – czterej młodzi badacze zafascynowani dziełem i postacią niemieckiego pisarza Benna von Arcimboldiego – tropią swojego literackiego guru, którego nikt nigdy nie widział. Trafiają do przygranicznego Santa Teresa w Meksyku, przypominającego Ciudad Juárez, w którym znaleziono masowe groby kobiet. Miałoby być przed nimi swoje potworne oblicze. To tylko jedna z możliwości – „2666” można czytać na wiele sposobów.

→ Cezary Polak

KSIAZKA

Murakami o Polsce

Jeśli znacie kogoś, kto chciałby zaznajomić się z twórczością Harukiego Murakamiego, ale nie wie, od czego zacząć, podsuńcie mu „Zniknięcia słonia”. W tych opowiadaniach (m.in. głośnych „TV People” i „Tańczący karzeł”) znajdziecie wszystko to, z czego słynie japoński pisarz, co roku wymieniany w gronie faworytów do Nagrody Nobla. Przede wszystkim świetnie opowiedziane historie o zagubionych ludziach, w świecie których nic nie jest takie, na jakie na początku wygląda, a magia miesza się z rzeczywistością w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Przed bohaterem opowiadania „Ptak nakręcacz i wtorkowe kobiety” drzwi w inny wymiar otworzą się w trakcie gotowania makaronu. Polskiego czytelnika zainteresuje „Upadek Cesarstwa Rzymskiego, powstanie Indian w 1881 roku, napaść Hitlera na Polskę oraz świat miotany wichrem”. Tytuł brzmi nieprawdopodobnie, ale w pełni charakteryzuje treść opowiadania.



Haruki Murakami, „Zniknięcia słonia”, tłum. Anna Zielińska-Elliott, Muza 2012, 36 zł

→ Cezary Polak

KAMIL ANTOSIEWICZ

Nadzieniem człowiek żyje

Co łączy mięsożerców? Pusta przestrzeń powstała po patroszeniu zwierzęcia. Czym ją wypełnić? Sposobów jest tyle, ilu smakoszy na całym świecie.

Natura nie znosi próżni. My również. Stąd od starożytnych czasów nadziewamy i faszerujemy wszystko, co tylko da się faszerować. Pierwszy przepis na nadziewane mięsem jelita, czyli kielbasę, pochodzi z rzymskiej książki kucharskiej „De Re Coquinaria” z 228 r. n.e. Apicjusz, któremu przypisuje się autorstwo tej wyjątkowej kroniki kuchni śródziemnomorskiej, wymienia jednym tchem przepisy na faszerowanego królika, popielicę, kurę i świnię.

Wypełniacz na kryzys

Nadzenie mówi wiele o czasach, w których żyjemy. Na przykład jest papierkiem lakmusowym gospodarki. W okresach kryzysu, klęsk urodzaju czy wojen farsz grał często rolę wypełniacza. A że historia była od zawsze historią podbojów, biedny lud faszerował, co tylko było pod ręką.

Orzechy, rodzyunki, kasza, ziemniaki są tańsze niż mięso. Stąd faszerowano, by stworzyć namiastkę wykwintnego dania, wykorzystać resztki z poprzedniego dnia. I tak naprawdę, aby wypełnienie z ziarna, suchego chleba czy ogólnie dostępnych roślin strączkowych przeszło aromatem i zapachem głównego, najczęściej mięsnego dania. Potrawy mięsne wypełniano warzywami, orzechami i owocami. Warzywa – przeciwnie, wypełniano najczęściej mięsem, choć i od tego są wyjątki.



Kaligula ma apetyt

Uproszczeniem byłoby sprowadzenie faszerowania do kuchni plebejskiej. Dania nadziewane otwierają listę najbardziej wykwintnych potraw w historii ludzkości. A z pewnością najbardziej efektownych. Weźmy na przykład faszerowane „trojańskie prosię”, które olśniło cesarza Kaligulę. Gdy rozpoczęła się uczta, kucharz rozplątał brzuch prosięcia wielkim nożem. Wypływające jelita nie są najbardziej oczekiwanym widokiem przy stole, nie więc dziwnego, że część gości zasłabła lub omdlała. Cesarz jednak dał się skusić i przekonał się, że są to w rzeczywistości smakowicie przyrządzone kielbaski, ocalił życie kucharzowi. Na podstawie starorzymskich receptur podobnego prosiaka przygotował w 2009 r. słynny szef kuchni Heston Blumenthal. Z braku naczyń odpowiedniej wielkości świnia gotowana metodą sous vide wylądowała na wiele godzin w jacuzzi.

Nadziewano oczywiście nie tylko woły i świnię. Szczególnie interesujące brzmią opisy nadziewanego ptactwa (choćby gęś w szklanej flaszce, złusowanej uprzednio i nadziewana własnym mięsem). Zaskakujące nadzienia wpisały się w krajobraz polskich dworów epoki baroku. By wprowadzić gości w zdumienie, kucharze nadziewali woły na przykład żywymi perliczkami, które odrzucały po rozcięciu brzucha, ku uciesze zebranych przy stole.

Myślał indyk o niedzieli

Najpopularniejszym nadziewanym daniem na świecie jest jednak z pewnością indyk – ptak hodowany także w Polsce. Ze względów ekonomicznych wyparty u nas przez tańsze brojlery. W przeciwieństwie do tych drugich jego mięso ma smak, przyjemny kolor i jest bogate w mikroelementy. Indyk nie znosi klatki, więc mamy pewność, że jego życie upłynęło na świeżym powietrzu. Oczywiście pisaliśmy tydzień temu o naszych polskich gęsiach, które mogą być jego odpowiednikiem, ale nie zapominajmy, że przed laty z co drugiego polskiego gospodarstwa dobiegało radosne indyckie gulgotanie. Na razie w kon-

Pierwszy przepis na nadziewane mięsem jelita, czyli kielbasę, pochodzi z rzymskiej książki kucharskiej „De Re Coquinaria” z 228 r. n.e.

tempie indyków prym wiodą Amerykanie. Liczby mówią same za siebie.

Z 248 mln indyków wyhodowanych w 2011 r. w Stanach Zjednoczonych na stół trafiło aż 218 mln, z czego 83 mln zjedzono jednego dnia, mianowicie w Święto Dziękczynienia. Jak wyliczono, każdy ptak ważył średnio około 4 kg. To daje spożycie tego dnia 3,36 mln indyków! Statystyki pomijają jednak istotny składnik tego tradycyjnego dania: nadzienie.

Ameryka faszeruje

Jak każda Polka ma swój własny przepis na bigos, tak każda amerykańska rodzina ma swój sposób na udany farsz. Pokruszony chleb, duszony seler, tymianek, wątróbka, słodka kukurydza, papryczki chili, śmietana, jajka, śliwki – te składniki stanowią wierzchołek góry lodowej. Przeglądając dziesiątki blogów

Nadzienie mówi wiele o czasach, w których żyjemy. Na przykład jest papierkiem lakmusowym gospodarki.

kulinarnych w okolicy listopada, można odnieść wrażenie, że nadziewany indyk nie ma tego jednego klasycznego wydania i że rozmywa się w oceanie interpretacji amerykańskich pań domu.

– Prędzej wyobrażam sobie ucztę na Święto Dziękczynienia bez indyka niż bez farszu – mówi Anna Meckowska, której dzieciństwo upłynęło za oceanem. – Ten mistrz drugiego planu jest kultową postacią między innymi dlatego, że nadzienie uwolniło się od ptaka, w którym tradycyjnie było duszone i zamieniło się w osobną potrawę ulegającą przeobrażeniom i modnym mutacjom. W odróżnieniu od drobiu przepis na farsz ewoluje. Świeże zioła, suszone owoce z własnego ogródka, kawałki chleba własnej roboty – wszystko to, co jest na kulinarnej tapecie narodu amerykańskiego, może znaleźć się na liście składników farszu.

Nadzienie na pierwszy plan

– Najbardziej cenię klasyczny „stuffing” z dużą ilością świeżych ziół i orzechów,

obficie polany sosem z pieczeni indyczej – stwierdza Anna. Najlepiej, gdy na talerzu obok wyjętego już farszu znajduje się konfitura żurawinowa, której soki zlewają się z chlebowo-ziolowym nadzieniem, tworząc ten pyszny, charakterystyczny dla dziękczynnej kolacji, owocowo-mięsny miks.

Jeśli macie ochotę na indyka, wypróbujcie przepis pierwszy. Jeśli nie udam się go znaleźć w sklepie albo wolicie coś bardziej swojskiego, przejdźcie od razu do przepisu nr 2. A jeśli zechcecie przestrzegać zaleceń Amerykańskiego Departamentu Rolnictwa (tak, tak, to ten kraj, który uznał trawę w polskiej żubrówce za halucynogenną, a młode francuskie sery pleśniowe za nielegalne), możecie farsz upiec oddzielnie. Podobno jest to metoda zdrowsza i mamy wówczas pewność, że wysoka temperatura wykończy wszystkie bakterie. Jest to forma kulinarnej ewolucji, warto sprawdzić, czy przyjmie się na polskich talerzach.

Autor wyjade kulinarnej „Magazyn Smak”

Przepisy

Indyk faszerowany po amerykańsku

Przepis dla 10–12 osób

- 15 g suszonych borowików
- 200 g masła
- ½ kg pociętych w paski kapeluszy grzybów shiitake
- 0,75 kg pora (tylko białe i jasnozielone fragmenty)
- 6 posiekanych ząbków czosnku
- 2 szklanki białego wina
- gałązka świeżego tymianku
- półtorej bagietki
- 1 duże, roztrzepane jajko

Zalać prawdziwkami wrzątkiem. Po 30 minutach odcedzić, przełożyć na deskę i drobno posiekać. Przełożyć przez sitko wodę po grzybach i odłożyć na bok. Roztopić masło w dużym garnku z grubym dnem, dodać grzyby shiitake i pieczarki, smażyć przez 10 minut. Wrzucić pora i czosnek, smażyć 5 minut. Dodać wino, tymianek oraz namoczone prawdziwki. Gotować, aż wino wyparuje, mieszając od czasu do czasu. Grzybki można w ten sposób przygotować na dzień przed przyrządzeniem indyka. Do grzybów dodać bagietkę pociętą na centymetrowe kawałki. Posolić i przypra-

wić do smaku. Wbić jajko. Wypełnić delikatnie indyka farszem. Dodać nieco wywaru z moczenia grzybów (ok. ½ szklanki). Umieścić ptaszka w naczyniu żaroodpornym wysmarowanym masłem. Resztę farszu przełożyć do oddzielnego naczynia. Nakryć go folią natartą masłem od strony dania. Piec wraz z indykiem lub gdy indyk odpoczywa już po upieczeniu, aż będzie gorący (ok. 25 minut). Odkryć i piec dalej, aż powierzchnia będzie rumiana i chrupiąca (ok. 15 minut).

Kurczak faszerowany po polsku

- 1 kurczak
- 30 dag wątróbki drobiowej
- 1 cebula
- garść bulki tartej albo czerstwa kajzerka
- pęczek natki
- majeranek, czosnek granulowany
- sól, pieprz
- łyżka smalcu
- 2 jajka

Kurczaka natartego pieprzem, solą i czosnkiem granulowanym wstawić do lodówki na kilka godzin.



Wyjąć na godzinę przed upieczeniem. Zeszklić cebulę na tłuszczu. Namoczyć bułkę w wodzie, pokroić wątróbkę i posiekać natkę, dodać odcisniętą bułkę, podsmażoną cebulę oraz jajka (można z białek ubić uprzednio pianę – farsz będzie delikatniejszy). Doprawić i wymieszać. Nafaszerować kurczaka, zszyć nitią i piec w temperaturze 180 stopni przez ok. 100 minut.

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Święto nieświęto

Jeśli dziś druga połowa listopada, pijemy Beaujolais Nouveau.

Piją ci, którzy lubią, i pozostali też. Nie ma wina bardziej sezonowego niż Beaujolais Nouveau, dlatego – chcąc nie chcąc – nawet sceptycy wychylą kieliszek. A co to w ogóle jest? W największym skrócie – pierwsze młode wino, które pijemy z nowego rocznika (stąd nazwa Nouveau albo rzadziej używana Primeur). Pochodzi z regionu Beaujolais we wschodniej Francji, uważanego za południowy przyczółek Burgundii. Powstaje ze szczepu gamay i rzeczywiście przeznaczone jest do szybkiego wypicia – pierwsze butelki otwiera się oficjalnie w trzeci czwartek listopada, czyli niewiele ponad dwa miesiące od zbiorów, a powinny zostać wypite do Wielkanocy.

Beaujolais (nie tylko Nouveau) produkuje się specyficzną metodą zwaną uczeniem maceracją węglową. Dzięki niej wina są niemal całkiem pozbawione cierpkiego garbnika, za to mają megaowocowy bukiet i rzeczywiście są o wiele szybciej gotowe do picia niż „normalne” wino czerwone, które musi odleżeć minimum kilka miesięcy.

Tyle teorii. W praktyce święto Beaujolais Nouveau wymyśliło w latach 60. paru winiarzy jako remedium na regionalną biedę. Poza marketingowym nagłośnieniem miało zapewnić rzecz bezcenną: sprzedaż wina już w listopadzie, gdy inni winiarze muszą czekać nieraz cztery albo pięć lat, zanim dostaną kasę za swoje dzieła. Zrazu szaleństwo Nouveau objęło tylko Lyon, czyli regionalną stolicę, po parunastu latach rozprzestrzeniło się na resztę świata; pasjonatami Nouveau są np. Japończycy.

W Polsce mrawo lub niemrawo zapijamy się „bożolakiem” od 1989 r. Kiedyś butelka Nouveau zamówiona w restauracji Montmartre albo u Bliklego to był szczyt snobizmu. Dziś snobizmem jest psioczenie na Beaujolais, zwłaszcza w koneserskich kręgach. Że to jest cienkusz dla mas, a nie dla prawdziwych znawców. Że nie warto, lepiej napić się dobrego wina. Że Nouveau jest wręcz niezdrowe, bo owa słynna maceracja węglowa przydaje mu śmiechu wartych aromatów, takich jak banan i guma Donald.

Lecz właśnie o to chodzi, że jest to cienkusz. Tego jednego dnia w roku odstawmy Shirazy, Amarone i inne wina ważne i poważne. O to właśnie chodzi, by się lekko zawiąć kwaskowatym „bożolakiem” o zapachu malinowych draży, najlepiej nalewanego z dzbanka do szklanki albo i polską kielbasą. W ten jeden dzień chociaż na niby weźmy udział w winiarskim, bachicznym święcie, podobnym do tego, które symbolicznie kończy winobranie we wszystkich regionach winiarskich, gdzie wino – z pewnością nie takie ważne ani poważne – leje się strumieniami, a obcy ludzie się bratają, biorąc bezwiednie udział w winiarskim sacrum.

Zabawa jest tym łatwiejsza, że Beaujolais Nouveau jest w Polsce coraz tańsze i łatwiej dostępne. 10 lat temu butelka w knajpie kosztowała ponad stówkę, w supermarkecie – 40 zł, do wyboru były cztery etykiety. Dzisiaj możemy kupować całkiem niezłe Nouveau za 16 zł bez poczucia, że przy okazji święta ktoś chce nas puścić w skarpetkach. Również



1 Georges Dubœuf Beaujolais Nouveau 2012, co roku najsolidniejsze Nouveau, ok. 29 zł



2 Paul Sapin Beaujolais 2011, truskawka, wiśnia, pieprz, do szynki, ok. 29 zł



3 P-M. Chermette Beaujolais Cœur de Vendanges 2010, czereśnia, piwonია, jedwab, do kury, ok. 49 zł

wśród restauracji jest coraz więcej takich ze zdrowym rozsądkiem, które wyczuwają, ile takie Nouveau jest warte, i stawiają je na naszym stole za cenę rozpoczynającą się od 6, 5 albo wręcz 4. Tak powinno być, bo Beaujolais to wino tanie i absolutnie nie należy mu przypinać łatki produktu ekskluzywnego.

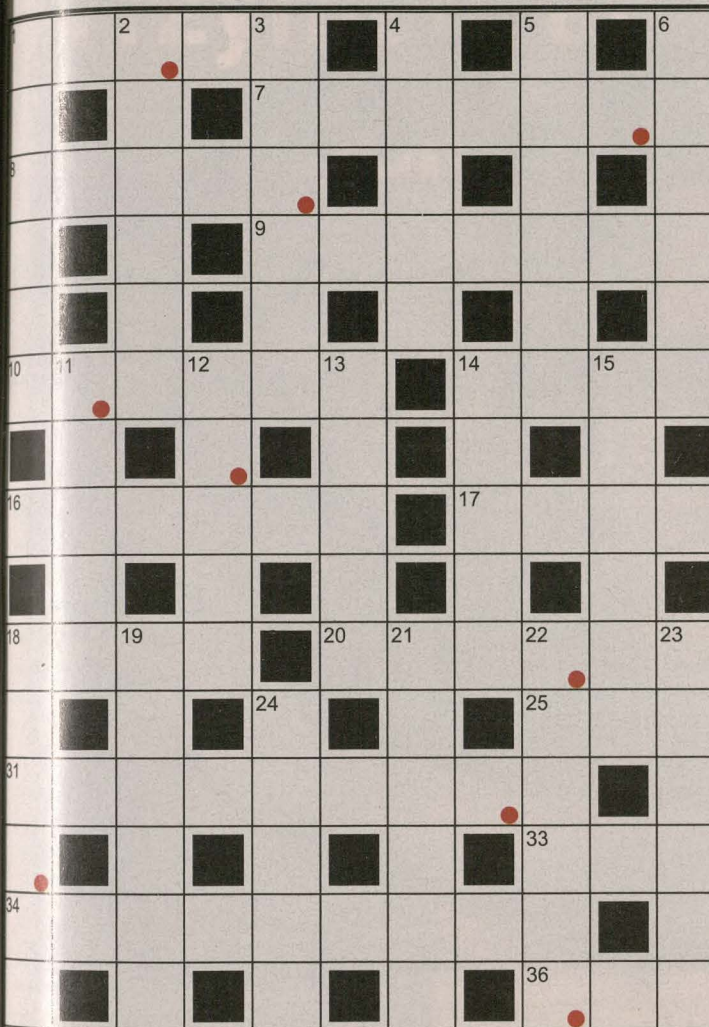
A na koniec wróćmy do naszego koneserstwa i powiedzmy sobie szczerze: tym Nouveau nie ma się co aż tak podniecać. Bo jest to faktycznie cienkusz i smakuje wyłącznie w odpowiednich okolicznościach przyrody. Im dalej od święta, tym jego wewnętrzna pustka będzie boleśnieszka. Jeden łyk i basta, a potem faktycznie przechodzimy do win poważniejszych. Wśród nich niech koniecznie się znajdzie jakieś Beaujolais nie-Nouveau. Najlepszym, co może się stać przy okazji listopadowego święta, jest bowiem zainteresowanie tym bardzo ciekawym regionem. Normalne Beaujolais, a jeszcze lepiej Beaujolais-Villages, a najlepiej Morgon, Fleurie lub Moulin-à-Vent, czyli arystokracja Beaujolais oznaczona tymi właśnie nazwami mniejszych miasteczek, to cudowne wina, urzekające kwiatowo-wiśniowym bukietem i wyrazistym smakiem, który nie ma nic wspólnego z gumą Donald. W listopadzie i grudniu pijmy więc Beaujolais z poprzednich roczników – 2011 i 2010 (ten ostatni wybitnie udany), zwłaszcza że to jedne z lepszych okazji w całej Francji – butelki najwyższej klasy kupimy często za jedyne 40–55 zł. A za 30 zł – dobre Beaujolais-Villages. Miłego świętowania!



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu winicjatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

tery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

1. WYSTRAŁOWY PRODUKT
7. KOBIETA PRZED PIERWSZYM RAZEM
8. DOSTAŁ POWOŁANIE
9. CIERP CIAŁO, JAKŻEŚ NIE CHCIAŁO
10. POPULARNY Z MAKIEM
14. HISTORIA NIM SIĘ TOCZY
15. STARE DOBRE MAŁŻEŃSTWO
17. DOBRA PANA
18. WZÓR Z DZIUR

20. WŁOSKI OWOC
21. OSIĄGA PRĘDKOŚĆ KILKU BUCHÓW
31. SŁYNNE BŁUZIANKI
32. ROŚNIE Z POCAŁUNKIEM
33. ZEZETRZE MAMARCHEW
34. PRZEJŚCIE OBOK NOSA
35. NA GŁOWIE CZŁOWIEKA Z LIŚCIEM
36. KOŁO KROSNA

PIONOWO:

1. PROSTO OD KROWY
2. W OKU CYKLOPU
3. PRACUJĄ W UNIESIENIU
4. TRZĘSIENIE W AFRYCE
5. KRĘCI SIĘ W SZKOLE
6. GRA GŁUPIEGO
11. KOLOR NAPOJU
12. DOŻYNEK
13. MASA CZŁOWIEKA
14. GWOŹDZIE PROGRAMU
15. GRUSZKA DO PUPY
18. ŁOBUZIAK BABUNI
19. DUK NA BRUK
21. NIE ZJĘĆ
22. WYŻYWSKO
23. NA FALI: BAŁE
24. PRZEDMIOT ODCZYTU
26. MY DWA, ONI TRZY
27. DO ZWIDZENIA
28. UMÓWIENIE
29. TRUJE MIĘDZY
30. POPÓŁDNI

ROZWIĄZANIE Z NR. 45

KRZYŻÓWKA: BUSZ PO POLSKU

POZIOMO: 1. WIERZCIEL – BIGOT 7. ODCZYT PRACOWNIKA ELEKTROWNI – REFERAT 8. ZADANIE Z RELIGII – MISJA 9. TRZY WŁOSY NA KRZYŻ – WARKOCZ 10. GAŁĘZIE BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO – SZALAŚ 14. BO TO NIEZŁA KOBIETA BYŁA – WAMP 16. DOSTATECZNIE SŁUCHANA – TRÓJKA 17. DUPER PUDER – TALK 18. KIMONO UDERZA W NIĄ – MATA 20. SKARANIE BOSKIE – DOPUST 25. PŁYNIE DO USZKA – BARSZCZ 31. BIS PO WESELU WYSPIAŃSKIEGO – POPRAWINY 32. KOLACJA Z GWIAZDĄ – WIGILIA 33. PRACUJE NA OKRĄGŁO – TOKARKA 34. OT, BYCIE – ISTNIENIE 35. PODANY NA TACY – DZBANEK 36. RUSKA RAKETA – KATUSZA

PIONOWO: 1. PĘDY W TE PĘDY – BAMBUS 2. CAŁA WŁADZA W RĘKACH URZĘDNIKA – GESTIA 3. ROŚNIE POD KOCEM – TRAWKA 4. KULI SIĘ NA POWIERZCHNI – SFERA 5. SZORSTKA W OBEJŚCIU – TRZODA 6. SPRZĘT DO TASOWANIA – STRZEP 11. MIGOCZE MISOIWI – ZORZA 12. JA SIĘ W NIEJ BUJAM – ŁAJBA 13. WSZYSTKO MU MÓWI, ŻE GO KTOŚ POKOCHAŁ – SKALD 14. CZYM HUTA BOGATA – WYTOP 15. SZKLANKA SPOKOJU – MELISA 18. PLANTEKA – MAPNIK 19. ZAKUŚC PAŁY – TĘPOTA 21. REFLEKS WSKHODU – ORIENT 22. TRÓJKA MNIEJ – UBYTEK 23. ZBIEGŁ SIĘ BIEGACZOWI – TRYKOT 24. KRĘCI LODY WŁOSKIE – MAFIA 26. GORYLA WE MGLE – ZARYS 27. SPORA – ZWADA 28. WYPADŁA SROCE SPOD OGONA – ZGUBA 29. KOLEM SIĘ TOCZY – GLINA 30. KLEP NA MUCHY – PACKA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Równoleżnik zero” Olgierda Budrewicza wyd. Global PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przelać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 47”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 25 listopada 2012 r. (decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 44

Jolanta Mazur, Bogadica; Edward Kupis, Radom; Danuta Kotwica, Łańcut; Anna i Kuba Zinkow, Milanówek; Alicja Dziekońska, Warszawa; Grzegorz Mieszala, Dobroszyce; Maria Plachytka-Mucha, Szczurowa; Krystyna Kerber, Poznań; Jan Zaleski, Łódź; Zofia Patela, Opole

Presspublica sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przelać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.

ROZMAITOŚCI



77 Nigdy nie czytam. Tylko oglądam obrazki. Andy Warhol



Kociak tygodnia: Oliwia ma 20 lat, studiuje w Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych na Wydziale Sztuki Nowych Mediów. Interesuje się reportażem, kocha grafikę i rap. Fot. Sonia Szóstak



glosywojejglowie.pl

Marek Ratajowski



Szarmantnie ssaki

Czy damę można sfiletować?

Od kiedy kraj ten ciut się sfrancuził, biorąc sobie do serca myśl, że losy narodów zależą od sposobów ich odżywiania, niejednego dżentelmena kwestia pokarmowa wzięła na dobre w swoje władanie. Zdarza się więc, że dżentelmen zaprasza damę i zamiast rozkminić uroki egzystencji oraz niepokoję ducha w sensie szerokim, truje jej detalicznie o piątym sposobie serwowania jestotra, który zna z najbardziej zagranicznej zagranicy na świecie. A już szczytów sięga w kwestiach winnych, popisując się erudycją w zakresie, czym się różni rodzynka od stroskanego winogrona i jak to ma się damie przysłużyć w ustach do szczęścia. Jeśli dżentelmen nie chce damy sfiletować metodą rozdrobnienia nerwowego, siedząc z nią przy stole, nie zanudza jej takimi niuansami ani wskazówkami, co ma z czym łączyć, żeby jej smakowało, tylko smakuje chwile, które może z nią spędzać, i stara się je urozmaicić. → Ula Ryciak

Trzymaj palec na pulsie



Uważam Rze – magazyn pełen ciekawej publicystyki, zaskakujących wywiadów oraz niezależnego spojrzenia na polskie sprawy.

Zamów już dziś na App Store lub w Google Play.



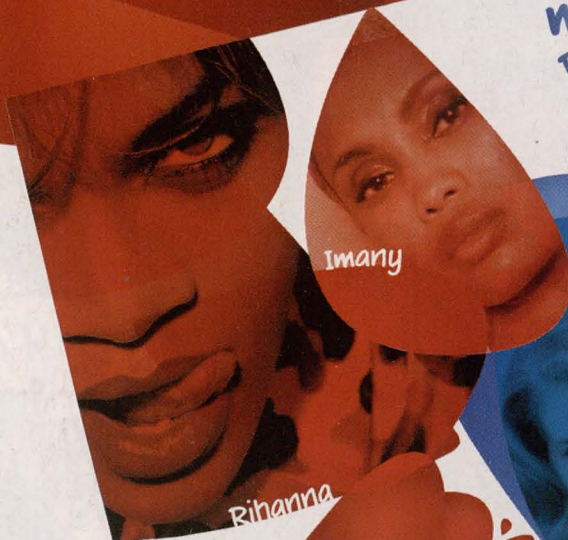
Available on the App Store



Google play



muzyka
informacje
Zabawa



Imany

Rihanna

muzyka
Radio ZET
vol. 4



Jessie Ware

Lana Del Rey

Gustavo Lima



muzyka
informacje
Zabawa

Już jest!

Najnowsza muzyczna składanka Radia ZET
„**Muzyka Radia ZET vol. 4**”.

Największe polskie i zagraniczne przeboje
ostatnich miesięcy na dwóch płytach.

Lana Del Rey Rihanna

Robbie Williams Shakira

Gustavo Lima Jessie Ware PSY

*Polecam
Wojtek Męciński*